

SEKSIE, TO U ŚKVORECKIEGO, ALE O CZYM GADAĆ Z PIŁKĄ?

PRZE

Numer 25/2974 23 czerw

KRO

na 3 zł 50 gr
(cena brutto 7% VAT)

**JACEK
KACZMARSKI
MÓWI
NAJSZTUBOWI**



9 770033 248021
Indeks 371424 • Y-9013-C

DOM & WNETRZE

NR 7(82)/2002 LIPIEC CENA 8,90 zł (w tym 7% VAT)

TEMAT NUMERU

ŁAZIENKI

- różnej wielkości
- pomysłowo urządzone przez architekta
- z modnymi detalami

WIEJSKI DOM
urok tradycji i prostota
nowoczesności



**OGRÓD
DEKOROWANY ŚWIATŁEM**
lampiony, świece, latarnie

**29 METRÓW WYGODNEGO
MIESZKANIA**
tej płyty nie kupisz w sklepie

KONKURS!
**WYBIERZ
NAJLEPSZY
PROJEKT
ROKU**
wygraj
wspaniałe
nagrody

DOM & WNETRZE

podróże
do najpiękniejszych
miejsc świata

wakacje • lato • relaks • odpoczynek

SUPERPREZENT!

WAKACYJNA PŁYTA CD

ODKRYJ ETNICZNE BRZMIENIE
MUZYCZNYCH PODRÓŻY



TEMAT NUMERU: ŁAZIENKI



MIESZKANIE: MAŁA DUŻA PRZESTRZEŃ



OGRÓD: ZAPALCIE LATARNIE



ARANŻACJE: ROZBUDŹ ZMYŚŁY

NUMER 25/2974 • 23.06.2002

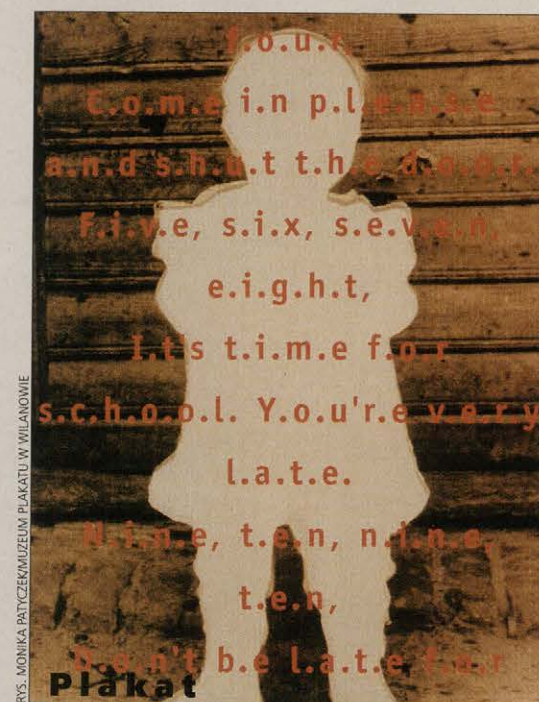


- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
- 9 Z tygodnia na tydzień
- 10 Prezydent wszystkich plemion – fotoreportaż
- 14 Życie nie jest najważniejsze – rozmowa z kierownikiem Służby Informacji o Szpitalach dla Świadków Jehowy
- 15 Okienko z wierszem Janusza Szubera
- 16 Jeszcze nie wiem, czy będę żył – z Jackiem Kaczmarskim rozmawia Piotr Najsztub
- 22 Telegramom stop – Jan Stradowski
- 24 Dobry tenisista, ale... kobieta – Olga Woźniak
- 29 Krótka przerwa – felieton Bartłomieja Sienkiewicza
- 30 Polski Brodski – Joanna Gromek Illg
- 32 Wznowiona licencja na zabijanie – Andrzej Krajewski
- 35 List z Tokio
- 36 Wywiad z piłką – Leszek Mazan
- 38 Galeria – Czy w słup! (z plakatami)
- 44 Bosa boska Évora – rozmawia z Filipem Łobodzińskim
- 45 Muzyka – „Warszawa: ścieżka dźwiękowa”
- 46 Co Prezes może – z Olgierdem Łukaszewiczem rozmawiają Świątlicki & Dyduch
- 51 Uśmiech w domyśle – Jarosława Krawczyka prywatna historia malarstwa
- 52 Mordillo i Polska Angola – Christiaan van Lierop
- 54 Film – Świat bez trzymanki – o Spider-Manie pisze Stewart Lee
- 57 Dwa tygodnie w kinie – Bartosz Żurawiecki
- 58 Książki – „Święto Kozła” Mario Vargasa Llosy
- 59 Antykwarjat Mentzla
- 60 Literatura – Josef Škvorecký „Z życia dzisiejszej młodzieży”
- 64 Kici Kici, Senniczek, Heca heca, Za 1000 złotych można...
- 65 Piątka klepka, Obraz wyrażen, felieton Małgorzaty Baranowskiej
- 66 Kulinarnie Pióro Polski
- 67 Winny Bieńczyk
- 68 Felietony Jerzego Bralczyka i Stefani Grodzkiej
- 69 Gorset do wszystkiego – Hoff
- 70 Z Andrzejem Chyrą rozmawia Maria Czubaszek
- 71 Listy
- 72 Krzyżówka, jolka
- 74 Co Pan na to, Panie Lem?
- 76 Rozmaitości
- 21, 34, 68 Pan Stanisław z Łodzi Marka Raczkowskiego

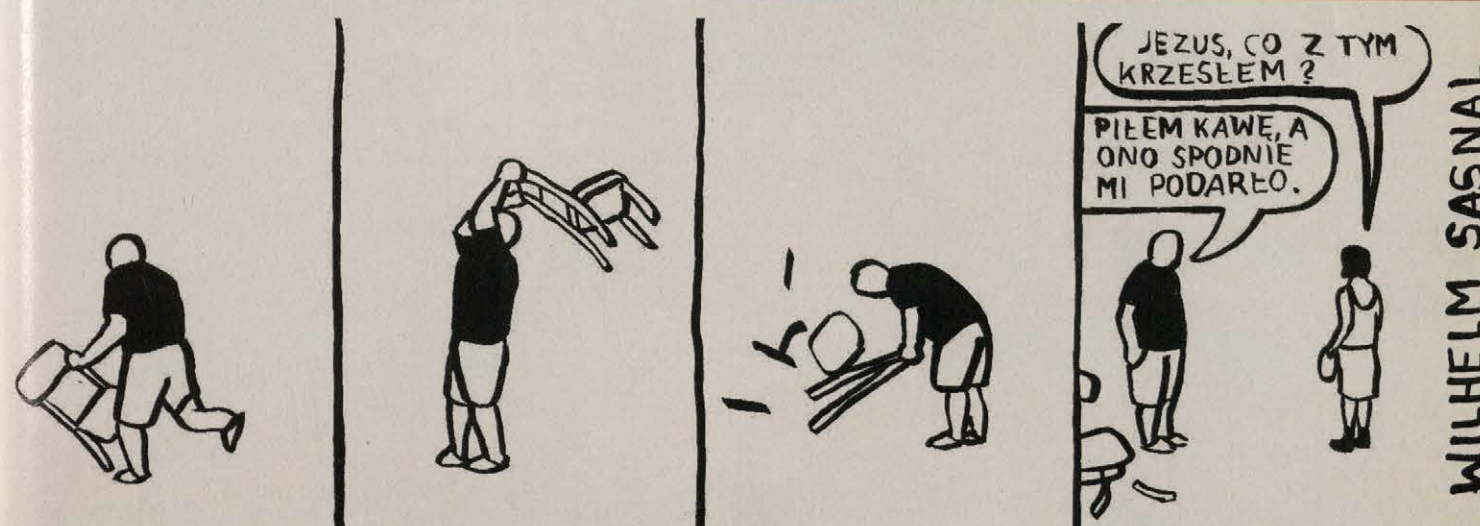


FOT. AP

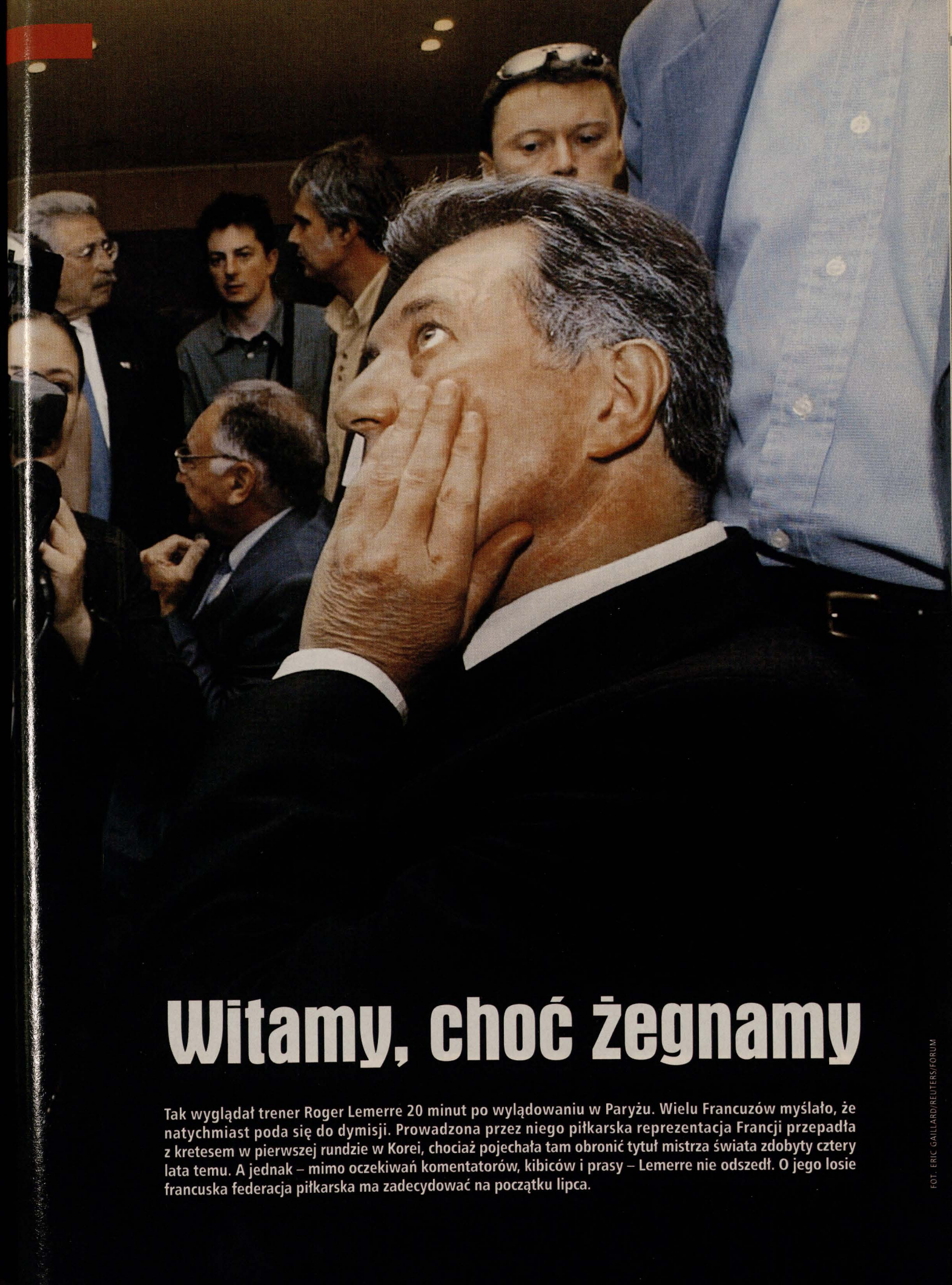
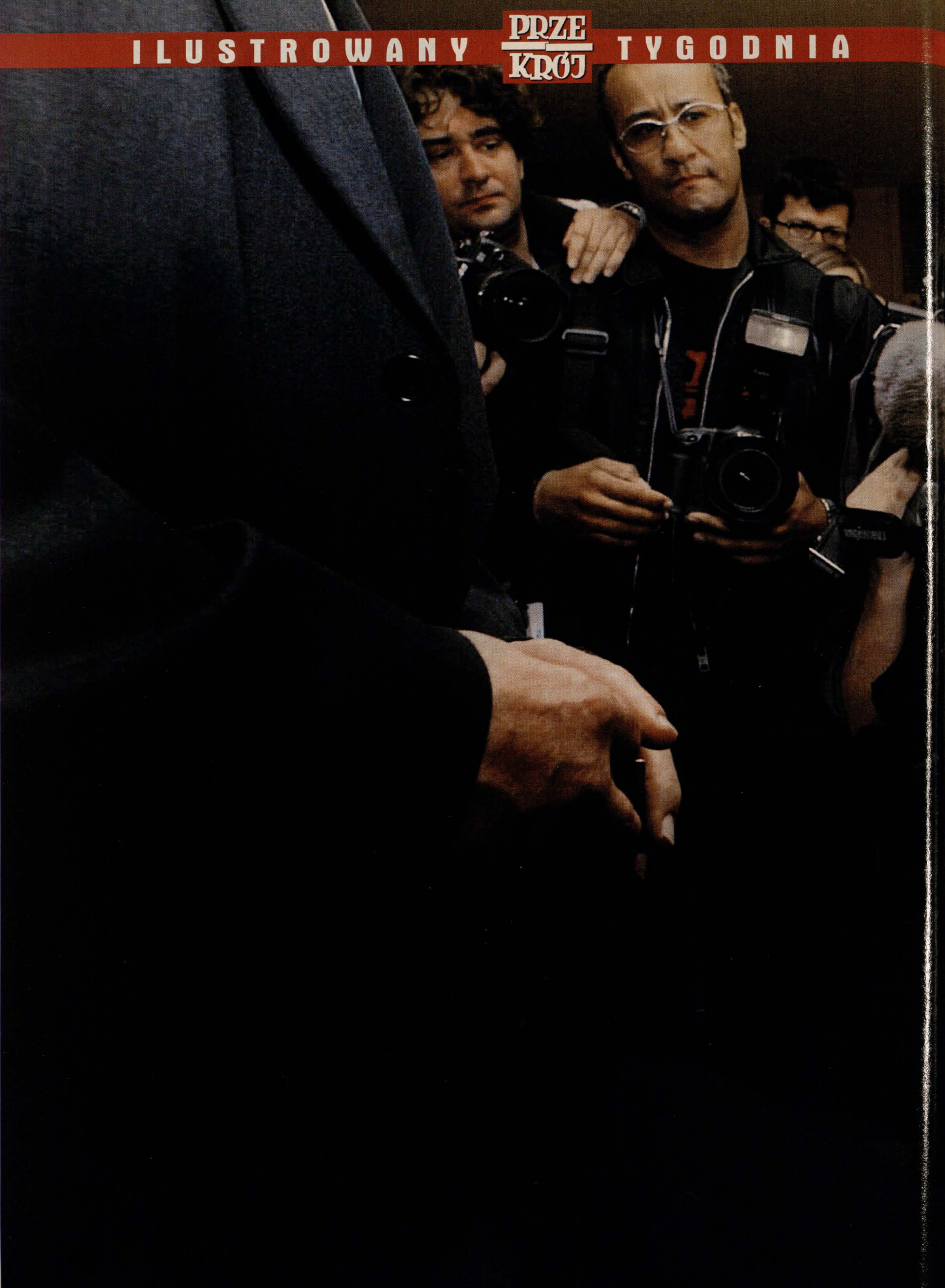
Tenisistka



RYT. MONIKA PATYCZKA MUZEUM PLAKATU W WILANOWIE



WILHELM SASNAL



Witamy, choć żegnamy

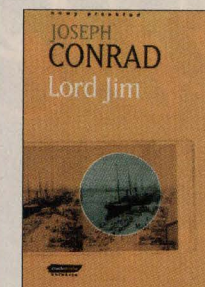
Tak wyglądał trener Roger Lemerre 20 minut po wylądowaniu w Paryżu. Wielu Francuzów myślało, że natychmiast poda się do dymisji. Prowadzona przez niego piłkarska reprezentacja Francji przepadła z kretesem w pierwszej rundzie w Korei, chociaż pojechała tam obronić tytuł mistrza świata zdobyty cztery lata temu. A jednak – mimo oczekiwań komentatorów, kibiców i prasy – Lemerre nie odszedł. O jego losie francuska federacja piłkarska ma zdecydować na początku lipca.



WYMODLILI SOBIE ŚWIĘTEGO

300 tysięcy wiernych uczestniczyło w Watykanie w kanonizacji ojca Pio. Strażacy polewali tłum na placu św. Piotra wodą, aby zapobiec omdleniom z powodu upału. Proces kanonizacyjny włoskiego kapucyna, który zmarł w roku 1968, odbył się w rekordowo krótkim jak na Kościół katolicki czasie. Watykan zazwyczaj potrzebuje wielu dziesięcioleci na zbadanie, czy kandydat rzeczywiście był świętym, zwłaszcza że niegdyś hierarchia kościelna zakazywała ojcu Pio pokazywać się publicznie przez 10 lat. Zakonnik uznawany był za stygmatyka, a lekarze nie potrafili wyjaśnić przyczyn krwawienia z jego rąk i nóg. Oficjalnie Watykan uznał tylko dwa cuda, jakie uczynił ojciec Pio: uzdrowienie 11-letniego chłopca, który zapadł w śpiączkę, i wyleczenie chorej na płuca kobiety, której lekarze nie dawali szans na przeżycie.

Nagrody „Literatury na Świecie” za rok 2001



Doroczne nagrody miesięcznika, który od ponad 30 lat zajmuje się przyswajaniem polszczyźnie wszystkiego, co z literatur obcych przyswoić warto, przyznano 11 czerwca br. Jury pod przewodnictwem Edwarda Balcerzana postanowiło nagrodzić:

- w kategorii prozy – Michała Kłobukowskiego za przekład książki Josepha Conrada „Lord Jim” (wydawnictwo Znak, Kraków);
- w kategorii debiutu przekładowego – Wawrzyńca Brzozowskiego za przekład książki Georges Pereca „Życie instrukcja obsługi” (Fundacja Literatura Światowa, Warszawa);
- w kategorii literaturoznawstwa, translatoologii i leksykografii – Annę Burzyńską za książkę „Dekonstrukcja i interpretacja” (seria „Horyzonty nowoczesności”, wydawnictwo Universitas, Kraków);
- w kategorii inicjatyw wydawniczych – wydawnictwo Universitas za serię „Horyzonty nowoczesności”;
- w kategorii poezji nagrody nie przyznano.



POGRZEB OKRĘTU, NARODZINY RAFY

Statek tonie, a marynarz patrzy. W wodach koło Florydy, które służą za cmentarzysko okrętów amerykańskiej marynarki wojennej, pogrąży się wycofany ze służby okręt „Spiegel Grove”. Jego wrak utworzy największą jak dotychczas sztuczną rafę na świecie.

Papawero

Gangster pod sąd OSTATECZNY

Wszyscy kumple „Teflonowego Dona” zebrali się przed domem pogrzebowym, w którym wystawiono zwłoki Johna Gottiego. Gotti uważany za ostatniego wielkiego bossa sycylijskiej mafii w USA zmarł na raka krtani, odsiedziawszy jedną dziesiątą stuletniego wyroku. Przydomek „Teflonowy Don” zyskał dzięki temu, że przez wiele lat wymiar sprawiedliwości USA nie był w stanie „przykleić” mu żadnego wiarygodnego zarzutu.



FOT. STEPHEN CHERNING/GETTY IMAGES/ISTOCK NEWS

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o tym, że premier Miller w czasie posiedzenia Rady Gabinetowej narzucił prezydentowi Kwaśniewskiemu na szefa banku narodowego i Rady Polityki Pieniężnej Balcerowicza, który nie chce obciążyć stóp tak, jak by sobie tego Miller życzył. Napaści Millera na Balcerowicza robią już wrażenie lekko obsesyjnych.

...o tym, że masy ludowe skupione w OPZZ też się znają na polityce pieniężnej i dlatego zapowiadają, że 25 czerwca na ulicach Warszawy wyrażą niezadowolenie z kursu i stóp Balcerowicza. Jeśli rzeczywiście wyrażą, to może napiszemy.

...o Fidelu, który wyprowadził na ulice Hawany setki tysięcy Kubańczyków, by pokazać światu, że Kuba kocha socjalizm. A tak naprawdę nie kocha.

...o tym, że PO i PiS wystartują razem w wyborach samorządowych, bo informacje o koalicjach wyborczych są nudne. I szybko się dezaktualizują.

...o symbolicznej rehabilitacji polskiej drużyny na mundialu, która efektownie nakopała Amerykanom, ale to i tak nie mogło nam pomóc.

MYŚL TYGODNIA

Polski antysemityzm jest poufaty, czasami ciepły.

Marek Weiss-Grzesiński, reżyser „Skrzypka na dachu” we wrocławskiej Hali Ludowej

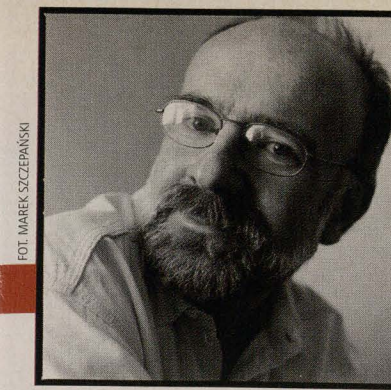


FOT. PIOTR MAŁECKI/FOTOFORUM



Napis na murze w Gorlicach

FOT. DANIEL PACIŃSKI/FOTOFORUM



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Brazylia, moja miłość

MAREK BIŃCZYK

Brazylia to nie kraj, to miłość ludzkości. Brazylia to nie kraj, to marzenie. To powszechne marzenie o młodości, niewinności, to nasz sen o radości. To raj, do którego my, spoza, nigdy nie wstąpiliśmy, to obraz tego, czym moglibyśmy być, gdyby nie całe nasze życie: te obowiązki, ta praca, rozsądek, odpowiedzialność za rodzinę i za siebie, te ciężkie ciała, znużenie, zimno. Brazylia to konto, na które odkładamy nasze najlepsze wyobrażenia, to esencja zwiewności, to lekkość bytu; to, czego nam zabrakło, na co pozwolić sobie nie możemy.

Argentyna, cóż, z mundialu właśnie dzisiaj odpadła, wielu żałuje, dzienniki tytułują: „Nie płacz, Argentyno!”, mówią do niej pieszczotliwie, głaszczą ją po jej długich, kręconych lokach (do któregoż kraju można się tak pięknie, czule zwracać?), ale Argentyna nie jest naszym marzeniem, jest raczej częścią nas samych, naszej starości, ze swym cieniem dekadencji (z Gombrowiczowskim papierosem w ustach, z kapeluszem Borgesa na głowie), z podkrążonymi oczyma u tancerzy tanga – tego piękna klęski – ze swym lekkim, lecz stałym zepsuciem, ze swą nieco włoską histerią o maniackalno-depresyjnym przebiegu: krótkim wzlocie i długim upadku.

Brazylia nie ma śladu zmarszczek, jest wieczną młodością, wieczną obietnicą, która ma się dopiero spełnić: ekonomicznie, militarne, społecznie, kulturalnie. Przyszłość należy do niej, mówi świat, przyszłość należy do jej młodości, lecz nie dodaje, że istota Brazylii w naszym marzeniu na tym właśnie polega, iż przyszłość ta nadchodzi, lecz nigdy się nie staje, musi pozostać tylko nadzieją. Brazylia to Brasil, a właściwie Braeził, jedno z najcudowniejszych słów, którego magiczne wymawianie (to przepiękne „l” portugalskie, to „a” przechodzące w „e”) jest jak ziemia długa i szeroka mantrą bez potrzeby medytacji albo słodkim pocałunkiem w naszych ustach.

Brazylia to sto milionów ślicznych, niewinnych, śmiesznych jak w dziecięcej wylizance przydomków, krótkich, lekkich, dwusylabowych, którym wzór dał Pele i które wobec naszych długich imion i nazwisk są niczym motyl przy gasienicy. Brazylia to wszystkie zgodnie połączone kolory z dziecięcych buzi na reklamie Benettona, Brazylia to wszędzie, w lambadzie i na plaży, na boisku i ulicy, na trybu-

nach i na placach, radosne podrygi kopolacyjne, te charakterystyczne u kobiet i mężczyzn taneczne ruchy miednicą zwiastujące niewyczerpaną siłę, żywioł, ochotę. Brazylia to boso, niewięzione w butach nogi i szafir czystej wody, to nagie, opalone, błyszczące torsy bez zarostu i wypreżone sutki piersi, z których spływają jak strugi życiodajnego mleka kolorowe tasienki – Brazylia to wszystko, czym chcielibyśmy być, lecz ośmielić się nie umiemy...

Kiedy Brazylia wygrywała mundial, świat oddychał z ulgą, nawet jeśli grała słabo, gdyż nie wygrywał jeden kraj, lecz cała (niemal) ziemia, nie wygrywało jedno państwo, lecz chłopiec, który w przeciwieństwie do innych, sta-

rych (Niemców, Włochów), zawsze zasługuje na nagrodę. Czy wygra w tym roku – tego nie wiem, lecz koniec końców byłoby to najlepsze dla wszystkich rozwiązanie.

MAREK BIŃCZYK

PS, które jest na temat: W dniu klęski z Koreą trafiłem do pewnej wykwintnej restauracji. Rozmowa schodziła co rusz na mecz, lecz miałem poczucie, że wciąż nie umiemy wyrazić naszych odczuć. Nagle zauważyłem w karcie: pierożki w esencji buraczanej. Esencja buraczana! Zamówiłem danie – to tak, jakbym zamówił gotową interpretację.

Z CYKLU: CZERWONA PLANETA

czecrot PRZE KROĆ



WODA NA MARSIE!

czecrot

Prezydent wszystkich plemion

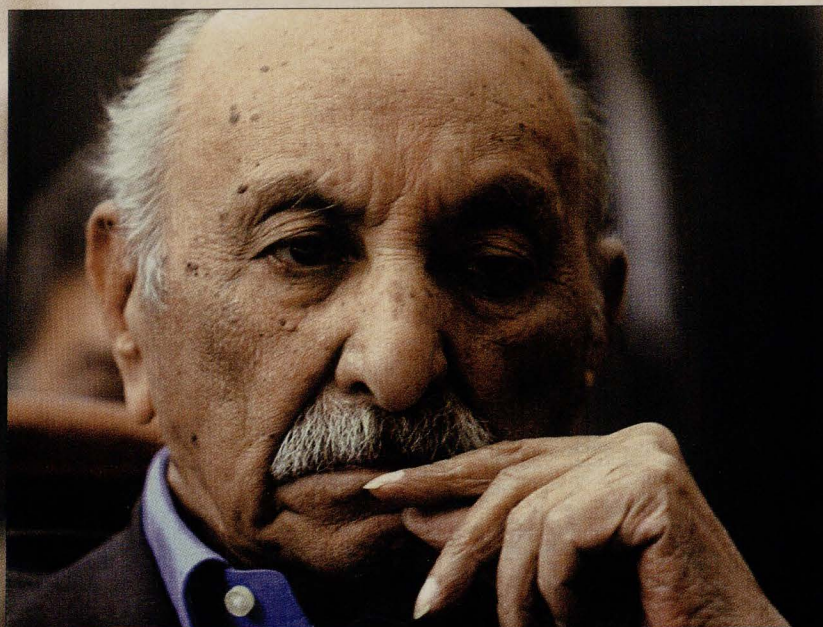
Setki plemiennych przywódców, polityków, muzułmańskich mędrców i zwykłych watażków zebrały się pod wielkim namiotem w Kabulu. Przez trzy dni dyskutowali i gardłowali, w końcu wybrali nowego prezydenta Afganistanu

Jeszcze nigdy w historii Afganistanu świat nie poświęcał tyle uwagi tradycyjnemu zjazdowi tamtejszej starszyny plemiennej. Pasztunowie, najliczniejsza narodowość Afganistanu, nazywają ten zjazd Loja Dżirga. Od setek lat pod ogromnym namiotem zasiadali zamieszkujący kraj Pasztunowie, Tadżykowie, Uzbeki, Chazarowie, a także muzułmańscy mędrzy, koczownicy i lokalni watażkowie. Jedzono, pito i debatowano, wypowiadając i kończąc wojny, uchwalając reformy, powołując lub obalając władców.

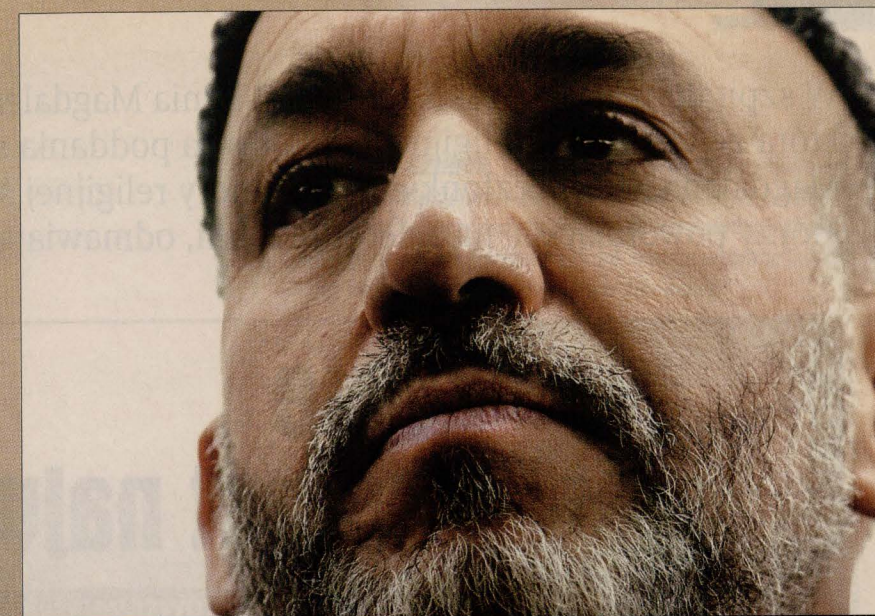
Tak było i tym razem, mimo że namiot, pod którym zebrała się Wielka Rada, przywieziono z Monachium, gdzie zazwyczaj służy piwoszom świętującym Oktoberfest. Pod klimatyzowaną kopułą zasiedli przywódcy koczowniczych plemion w turbanach, brodaci mędrzy muzułmańscy, ubrani w powłóczyście szaty szefowie górskich klanów i zbrojnych band. Obok nich zasiedli wykształceni na zagranicznych uczelniach afgańscy emigranci, których wyróżniały garnitury. Kilkadziesiąt krzeseł zarezerwowano także dla kobiet. Do mikrofonów ustawiały się długie kolejki, bo głos chciał zabrać prawie każdy z 1500 delegatów. Kontrolujący obrady Tadżykowie wyłączali mikrofony, jeśli mówcy przemawiali za długo lub nie na temat. Energia uczestników Loja Dżirgi wyczerpała się po trzech dniach jałowych sporów o to, która ze zbrojnych frakcji uzyska większe wpływy. W końcu niewyspana i wyczerpana wielogodzinnymi dysputami starszyna niemal bez zastrzeżeń wybrała na prezydenta Hamida Karzaję.

Na razie w Afganistanie panuje spokój. Ale Pasztunom z południa nie jest w smak, że ich rodak Karzaj zbyt łatwo kuma się z Tadżykami, którzy stanowią trzon armii Sojuszu Północnego namaszczonego przez USA na zwycięzców w wojnie z talibami i faktycznie kontrolują dziś Afganistan. Po latach bratobójczych wojen Wielka Rada daje kolejną szansę na trwały pokój, choć historia uczy, że niewiele trzeba, by Afgańczycy znów skoczyli sobie do gardeł.



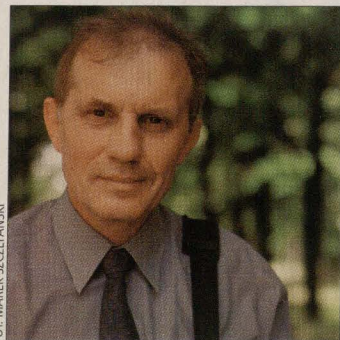


Król Mohammed Zahir Szah



Prezydent Hamid Karzaj

W szpitalu w Kluczborku zmarła 18-letnia Magdalena B. – ofiara wypadku, która ze względów religijnych odmówiła poddania się transfuzji krwi. Magdalena B. była członkiem wspólnoty religijnej świadków Jehowy, którzy powołując się na zalecenie Biblii, odmawiają przyjmowania obcej krwi



FOT. MAREK SZCZEPANIK

Życie nie jest najważniejsze

Z TADEUSZEM WIWATOWSKIM, LEKARZEM, KIEROWNIKIEM SŁUŻBY INFORMACJI O SZPITALACH DLA ŚWIADKÓW JEHOWY, ROZMAWIA DARIUSZ ROSIAK

DARIUSZ ROSIAK: Czy czuje się Pan współodpowiedzialny za śmierć 18-letniej Magdaleny B. z Kluczborka?

TADEUSZ WIWATOWSKI: To był wypadek drogowy, w którym zginęły dwie osoby na miejscu, jedna w szpitalu.

Według lekarzy ta, która zmarła w szpitalu, miała szanse na przeżycie, gdyby dokonano transfuzji. To Pana instytucja doradza świadkom Jehowy, wyjaśnia, jakie metody leczenia są zgodne z Waszą religią, a jakie niezgodne. Magdalena B. podjęła decyzję o odmowie przyjęcia świeżej krwi w związku z informacjami i naukami otrzymanymi od osób takich jak Pan. Dlatego pytam ponownie, czy czuje się Pan choć trochę odpowiedzialny za tę śmierć i śmierci innych świadków Jehowy, którzy być może na skutek Pańskiej działalności nie godzą się na transfuzję?

– To była autonomiczna decyzja Magdaleny B. Każdy człowiek ma do niej prawo.

DZIEJE APOSTOLSKIE, ROZDZIAŁ 15., WERSET 28–29

(28) Postanowiliśmy bowiem, Duch Święty i my, nie nakładać na was żadnego ciężaru oprócz tego, co konieczne. (29) Powstrzymajcie się od ofiar składanych bożkom, od krwi, od tego, co uduszone, i od nierządu. Dobrze uczynicie, jeżeli powstrzymacie się od tego. Bywajcie zdrowi!

A czy czuje się Pan współodpowiedzialny za los dzieci świadków Jehowy, które pozbawione są możliwości transfuzji na skutek decyzji rodziców?

– Z każdym leczeniem wiąże się pewne ryzyko. Zwykle istnieją metody alternatywne dla przetaczania krwi. A transfuzja nie daje przecież gwarancji uratowania życia.

Rzeczywiście, nie daje. Ale sprzeciw świadków Jehowy wobec transfuzji nie wynika przecież z niedoskonałości zabiegu medycznego, tylko z religijnego zalecenia. Dlaczego w ogóle świadkowie Jehowy sprzeciwiają się transfuzji krwi?

– Jasno to wynika z Biblii. Pierwsi chrześcijanie, kierując się nakazem ustanowionym w roku 49 na pierwszym soborze ekumenicznym w Jerozolimie, odmawiali przyjmowania krwi. To jest opisane w 15. rozdziale Dziejów apostołskich (werset 28–29). To zostało rozesłane do wszystkich zborów. Chrześcijanie nie spożywali więc krwi. Co więcej, kiedy wrogowie chrześcijan chcieli sprawdzić wyznanie danego człowieka, to mu podsuwali do zjedzenia krwawą kiskę i jeśli zjadł, to go puszczali wolno.

I na tej podstawie opierają Państwo zakaz dokonywania transfuzji?

– To jest taki sam zakaz jak „Nie cudzołóż”, „Nie kradnij”, „Nie zabijaj”.

Opowiem Panu pewną historię. Na koniec poprosiłbym o ocenę moral-

ną osób, o których mowa. Pewna dziewczynka została przywieziona do szpitala po wypadku. Lekarz wbrew woli rodziców – świadków Jehowy – nie informując ich o tym, przetoczył jej krew. Dziecko przeżyło, ale pielęgniarka, która także była świadkiem Jehowy, doniosła rodzicom o fakcie transfuzji. Reakcją było odrzucenie dziecka przez rodziców. Do dziś wychowywane jest przez babcię. To jest autentyczny przypadek z Poznania.

– Lekarz powinien zapytać o zgodę rodziców. Jeżeli dokonał zabiegu, nie pytając wcześniej o zgodę rodziców, to było to uchybienie przeciwko prawu, a konkretnie ustawie o zawodzie lekarza.

To jest ocena lekarza, a jak by Pan ocenił rodziców, którzy nie przyjęli do domu dziecka z przetoczoną krwią?

– Nie znam przypadków, aby świadkowie Jehowy odrzucili dziecko z przetoczoną krwią. Znam natomiast mnóstwo naszych rodziców, którzy przyjęli dzieci po transfuzji i je wychowują.

Czy akceptuje Pan obecnie stosowaną praktykę w wypadku dzieci świadków Jehowy, to znaczy odbieranie przez sąd praw rodzicielskich na czas transfuzji?

– Sąd opiekuńczy w Polsce kieruje się zasadą dobra dziecka. I trudno tego nie zaakceptować. To jest słuszne prawo, bo jeżeli mamy na przykład do czynienia z rodzicami narkomanami, którzy

nie łożą na utrzymanie dziecka, nie posyłają go do szkoły, to jest rzeczą jasną, że dziecko jest zagrożone.

Ale ja nie pytam o narkomanów, tylko o świadków Jehowy.

– Świadkowie Jehowy to ludzie, którzy troszczą się o swoje dzieci i kochają je. W sytuacji zagrożenia życia dziecka mogą zazwyczaj zasięgnąć opinii innego lekarza. I tak się często dzieje. Jeżeli nie ma czasu na leczenie innymi metodami niż transfuzja, to rodzice dostosowują się do prawa.

Jakie miejsca w Pana hierarchii wartości zajmuje życie ludzkie?

– Pyta pan, czy można narazić swoje życie dla ratowania drugiego? Ja bym naraził.

A oddałby Pan życie dla religii?

– Nie uznaję swojego własnego życia za wartość nadrzędną. Tak jak nie uznawali go za wartość nadrzędną Janusz Korczak, Maksymilian Kolbe, uczestnicy Powstania Warszawskiego i wielu innych. Czy należy potępiać tych ludzi?

Czy świadkowie Jehowy, którzy odmawiają transfuzji, to bohaterowie tej samej rangi – ludzie ginący za wierność wartościom?

– Ja tylko mówię, że istnieją wartości cenniejsze niż życie. I każdy decyduje, dlaczego chce żyć i dla czego chce swoje życie oddać.

JANUSZ SZUBER

Kołysanka

Gdzieś na oceanie na wyspach szczęśliwych
chronionych falą wysoką i solą
syreny łańcuchami przykute do skalistych zatok
wyją nad rzezią niewinnych naiwnych

Rzeki czerwone i opasłe kraby
padlinożercy w pierzu futrze zbroi
na stypie sypią grubymi żartami
z wież strażniczych pośród
świeżych jeszcze ciepłych mogił

Jaskrawa jaszczurka na obłych kamieniach
i wozy pancerne w pióropuszcach dymu
grzechoczą muszelki sztucznymi perłami
tak drobnym hymnem chwając topór
co świeci nad ziemią

1969

JANUSZ SZUBER, urodzony w roku 1948, zadebiutował późno, na przełomie lat 1995 i 1996, za to aż pięcioma tomami wierszy jednocześnie. Nowa książka Janusza Szubera „Lekcja Tejrzejasa i inne wiersze wybrane” ukaże się niebawem w Wydawnictwie Literackim. „Kołysanka”, jak wskazuje data, została napisana dawno temu, ale – podobnie jak kilkadziesiąt innych utworów z tamtego okresu nazywanych przez autora „wierszami z Kociej Szafy” – nie była dotąd nigdzie drukowana.



FOT. ELŻBIETA LEMPP



Jeszcze nie wiem, czy będę żył

Z JACKIEM KACZMARSKIM
rozmawia Piotr Najsztub

PIOTR NAJSZTUB: Ma Pan wyższy głos, z trudem przełyka ślinę. Śpiewanie?

JACEK KACZMARSKI: Wykluczone podczas całej terapii, być może jeszcze dłużej... albo już nigdy.

Ile ma trwać leczenie?

- Aż przyniesie skutek. Jestem po pierwszym etapie, trzytygodniowym. Po każdym takim etapie jest miesiąc odpoczynku, wtedy jestem na lekarstwach i kroplówkach. Będzie kilka takich etapów. Potem lekarz ma podjąć decyzję, czy to daje spodziewane efekty, czy trzeba jednak naświetlania i chemioterapii.

Jaka jest diagnoza lekarska?

- Nowotwór złośliwy gardła dolnego i górnej części przełyku. Polscy laryngolodzy robili mi badania i powiedzieli: natychmiast trzeba się kłaść i ciąć, nie ma alternatywy. Wyciąć wszystko razem z krtanią. To, oczywiście, eliminowałoby nie tylko śpiewanie, lecz także mówienie. Wprawdzie mówić można się potem nauczyć, ale w sposób dosyć ograniczony. Na samym początku straciłem półtora miesiąca, trzech lekarzy leczyło mnie antybiotykami na nieżyt gardła.

Ma Pan żal do tych trzech?

- Nie, przecież urodziłem się i żyłem w Polsce wystarczająco długo, żeby takie rzeczy rozumieć i wybaczać po chrześcijańsku.

Jest Pan bardzo przywiązany do mówienia?

- Bardziej niż do śpiewania. Śpiewaniem - po 25 latach - już byłem porządnie zmęczony. Natomiast kiedy w marcu, po diagnozie, wyobrażałem sobie, że mogę już nie mówić, to ta myśl była nie do zniesienia. Człowiek głosem sporo w swoim życiu załatwia, nie tylko w sensie praktycznym. Głos człowieka kształtuje. Z drugiej strony bliscy mi ludzie pisali do mnie, że być może jest w tej chorobie jakaś wskazówka od losu, że mam zająć się pisanie, nie gadaniem, śpiewaniem.

Wtedy, w marcu, wyobrażenia podsuwała Panu wizja niemego Kaczmarzkiego?

- To były wizje dosyć intensywne i nie mogłem ich zaakceptować. Nie wiem, czy zdecydowałbym się na operację i wycięcie krtani, gdyby się okazało, że nie ma żadnej alternatywy. Jestem człowiekiem dosyć leniwym i sama myśl o tym, że musiałbym się uczyć innego sposobu porozumiewania z bliskimi - na przykład na migi - była dla mnie nieznosna. Poza tym jako ekstrawertyk mam potrzebę bezustannego wyrzucania z siebie słów.

A wizja dziwnego, kosmicznego głosu à la Jerofiejew Pana nie pociągała? U niego wszystko, co się przez ten aparacik wydobywało, było ważne.

– Nie tylko barwa tego nieludzkiego głosu sprawiała, że się go słuchało. Człowiek dotknięty śmiertelną chorobą w ogóle ma skłonność do przesiewania strumienia informacji i wybierania rzeczy najważniejszych, bo ma mało czasu. Kiedy się słucha człowieka chorego, to sama świadomość jego choroby sprawia, że słucha się go uważniej. Nie wiem, jak jest ze mną, ponieważ od czasu kiedy zdecydowaliśmy się na to leczenie hipertermią, skupiam się na wychodzeniu z choroby, a nie na rozmyślaniu na tematy ostateczne.

Dlaczego nie wybrał Pan ich sposobów i nie poleciał na przykład do Tybetu, do mnichów?

– Ponieważ guz jest tak ulokowany, że nie mogłem jeść, więc nie miałbym siły na taką podróż. Najpierw musiałem zadbać o utrzymanie się przy życiu, wybrałem więc wersję zaproponowaną w Austrii, rozpoczynając się wszyciem sondy w żołądek, i teraz jem tamtędy. Jestem też wychowany w duchu racjonalnym, a opis zabiegów w klinice austriackiej budził zaufanie. To nie było namawianie i obiecywanie cudów

Skupiam się na wychodzeniu z choroby, a nie na rozmyślaniu na tematy ostateczne

Jednak kiedy dowiedział się Pan o swojej chorobie, to nie mógł Pan uniknąć myślenia o sprawach ostatecznych?

– Mam z tych myśli kilka naście stron notatek, ale kiedy po dwóch czy trzech tygodniach na nie zerknałem, to wydały mi się nieznośnie pretensjonalne. To było kreowanie siebie i własnej choroby przekazem poetyckim w stylu ostatniego tomiku Herberta czy niektórych wierszy Miłosza. Te notatki były automatycznie nieprawdziwe, historycznie minoderyjne. Zrezygnowałem z takiego zapisu na rzecz notatek reporterskich z procesu leczenia. Spotkania z różnymi bioenergoterapeutami z całego świata, od Tokio przez Tybet do Stanów Zjednoczonych, różnymi nawiedzonymi, plus funkcjonowanie naszej służby zdrowia, to jest materiał na powieść satyryczną pod tytułem „Rak”.

A co Panu proponowali bioenergoterapeuci?

– Różne seanse, obracanie tybetańskich młynków i przykładanie rąk, kontakt fizyczny bez kontaktu fizycznego. Dostałem też adresy czakramów w różnych częściach świata.

ani tak typowe w Polsce: „Proszę to zrobić, bo inaczej Pan umrze”. W Polsce usłyszałem, że jeśli nie wytnę tego wszystkiego, to się przekręcę. W połowie marca powiedziano mi, że mam przed sobą dwa tygodnie życia.

Trafiłem też na byłego kandydata na prezydenta Polski, pana Piotrowskiego. Zadzwoił i namówił mnie, żebym przyjechał do niego, do Gliwic, do Międzynarodowego Centrum Zdrowia, gdzie ma łóżko, które leczy raka. W pierwszej chwili nie skojarzyłem go z kampanią wyborczą i z wkładkami do butów dla wszystkich Polaków, ale po przyjeździe go poznałem. Po jednym noclegu i przeczytaniu ulotki, że to cudowne łóżko jest dla wszystkich, tylko nie dla tych, którzy mają raka w zaawansowanym stanie, spakowałem manatki i wyjechałem.

Nie spotkał się Pan z reakcjami, że choroba to kara za grzechy?

– Miałem taki telefon od pewnej dziennikarki. Zapytała mnie, czy nie uważam, że to jest rodzaj sprawiedliwości wyższego rzędu, ponieważ w latach 80. sprowadzałem na Zachód swoją pierwszą żonę, symulując umieranie na raka

12 czerwca 2002 roku

jąder. Nie widzę w tym jakiegokolwiek klamry czy rymu.

Jak Pan przeżył wiadomość o diagnozie?

– Przez dwa tygodnie byłem w takim stanie półświadomości. Leżałem, piłem sporo wina – jeszcze wtedy mogłem przeżywać. Użalałem się nad sobą. Z drugiej strony pojawiło się jakby uczucie pewnej ulgi.

Dlaczego ulgi?

– To jest w każdym człowieku, a przynajmniej w ludziach, którzy się zajmują twórczością, grzebią w sobie. Taka podskórna tęsknota do śmierci, tęsknota do tajemnicy albo chęć pozbycia się wszystkich ziemskich kłopotów, które na co

dzień nas obciążają. Potem stan takiego obezwładnienia, pół jawy, pół snu, odsunąłem pytaniami: co zrobić, z czego żyć i jak się obronić przed rozpaczą.

Wyszedłem z tego stanu być może dlatego, że mam elementarne poczucie odpowiedzialności, mam syna z pierwszego małżeństwa, córkę z drugiego, jest obecny związek, jakieś długi, zobowiązania, które trzeba załatwić. I przede wszystkim poczucie obowiązku wobec najbliższych. Oni cierpią najbardziej, bo chory leży i nic od niego nie zależy. Muszę nadrobić miną, żeby nie do-rzucać trosk mojemu ojcu, mamie, babci, która kończy sto lat, mojej Pani i jej córkom.

To pierwszy taki czas, kiedy śmierć Panu towarzyszy?

– Miałem takie depresje, kiedy myśl o śmierci towarzyszyła mi w sposób permanentny. To było związane z alkoholem: delirki, tepley, lęki poranne. To też nie były stany wyłącznie nieprzyjemne, odrywały od problemów rzeczywistości. Moment wychodzenia z zatrucia alkoholowego jest momentem dystansu do świata i gdyby nie przejmował tak trwogą, to byłby bardzo przyjemny.

Śmierć towarzyszyła mi od dawna: pierwszą swoją pracę na studiach pisałem o wątku śmierci w literaturze średniowiecznej, potem romantycznej, a dalej tak

się jakoś dziwnie potoczyło w mojej twórczości, że bezustannie pojawiały się kolejne epitafia poświęcone jakimś moim mistrzom.

W Pańskim świecie są jakieś zaświaty?

– Nie.

Kompletnie nic?

– Jestem zwolennikiem tezy Lema: nic nie było przedtem i nic nie będzie potem dla człowieka – bytu biologicznego. Jednocześnie wierzę w jakiś absolut czy niebywałą tajemnicę, ale ona nie przenosi człowieka poza śmierć. Nie ma tak zwanej duszy.

Nie miał Pan na wieść o chorobie takiej myśli: „Zaraz, przecież ja mam jeszcze to napisać, tamto,

nie powiedziałem jeszcze najważniejszego!”?

– Nie. Już dawno przestałem przywiązywać jakąś nadmierną wagę do swojej twórczości. Do jej znaczenia społecznego czy metafizycznego. Piszę dlatego, że jakiś temat mnie zaciękał i jestem ciekaw, co sam z tego wyniosę. Nie lędzę się co do rażącej mocy moich strof i nie uważam, że jeśli bym czegoś nie napisał, to świat, Polska czy ktokolwiek na tym straci.

Po wiadomości o raku napisałem parę wierszy klasycznym 11-zgłoskowcem z obrazami czy metaforami niewartymi nawet przytoczenia, mimo że pisząc je, odczuwałem rozkosze cierpienia.

Miał Pan wrażenie dotykania czegoś istotnego?

– Tak jak w słynnej anegdocie Michała Tarkowskiego. Przyśniło mu się w nocy, że zrozumiał istotę bytu, i błyskawicznie – prawie we śnie – zapisał to na karteczce i położył pod budzikiem. Kiedy się obudził rano i przypomniał sobie, co tam leży, odbył cały rytuał, żeby stawić czoła tej doniosłej chwili. Umył się, umył zęby, zrobił herbatę, wypił ją i podszedł do budzika. Podniósł go, odwinął kartkę, a tam było napisane: „Józef Nowak jest chuj”. To trafna opowieść. Nieraz w nocy notowałem pomysły, które oczywiście były genialne, a rano okazywały



FOT. PAVEK KLEIN



17 września 1999 roku

się nieistotnymi bazgrołami, bełkotem.

Zaskoczyło Pana to, co się dzieje wokół Pana choroby: koncerty, zbieranie pieniędzy, słowa wsparcia?

- Nie chciałem choroby rozgłaszać, ale paru osobom musiałem powiedzieć. Trzeba było odwoływać koncerty - kiedy już wiedziałem, że to rak. Musiałem im powiedzieć, że to nie mój kaprys czy przerwa alkoholowa, tylko poważna sprawa, żeby na dłużej nie wią-

zali ze mną swoich planów zawodowych. To, co się potem stało, było poza mną. Leżałem wtedy na tej kanapie, piłem wino i ta akcja solidarności ze mną była dla mnie pełnym szokiem. Prawdę mówiąc, ona jest dla mnie największym problemem, bo nie wystarczy podziękować ludziom za solidarność, pomoc, dobre myśli i pieniądze. Muszę też trochę zmienić sposób myślenia na ich temat. W swoim publicznym życiu niespecjalnie

zdradzałem się z sympatią dla ludzi - jako jednostek i społeczeństw. Swoje spojrzenie muszę teraz uzupełnić, wzbogacić o tę drugą stronę ludzkiej istoty umykała mi dotąd. Wśród tych, którzy zareagowali na moją chorobę, byli i tacy, których w życiu bym o to nie podejrzewał, których głęboko nie lubiłem, wręcz nie cierpiełem albo nimi gardziłem. Nie czuję się przez to winny, tylko jakby dotąd póślepy.

Ile ta terapia ma kosztować?

- Jedna taka sesja miesięczna kosztuje około 40 tysięcy złotych. Czekają mnie przynajmniej trzy, czyli 120 tysięcy. Do tego dochodzą jeszcze koszty wszystkich preparatów, czyli osiem tysięcy złotych, plus wszystkie uboczne koszty: przejazdy, telefony, do tego może dojść naświetlanie, chemia.

Czyli wszystkie koncerty i kwesty mają dla Pana wymiar prawdziwego ratunku?

- Absolutnie. Żyłem z roku na rok, z dnia na dzień, kiedy były lepsze lata, to nie musiałem pożyczać pieniędzy od znajomych, a w gorszych zaczynałem zarabianie od zwracania długów. Życie na tak zwany styk. Gdyby nie te pieniądze, to nie stać by mnie było na tę terapię.

Podoba się Panu Jego nowy głos?

Pan włosy - na to się trzeba przygotować". Przyjąłem to z kamieną twarzą, nie wiem, czy tak byłem wychowany, czy lata ról publicznych mi w tym pomogły. Potem bynajmniej się nie załamałem, a wręcz przeciwnie, pomyślałem: „Byłe pierdołą się nie będę przejmować, dam sobie z tym radę”. Ostateczne wyniki odbierali moi znajomi w Warszawie i moja

Nie uważam, że jeśli bym czegoś nie napisał, to świat, Polska czy ktokolwiek na tym straci

- Jest dziwny, nie mój. Zastanawiałem się nawet, czy następna płyta nie będzie się nazywała „Szeptem”. Nie przeszkadza mi, ale mnie irytuje, ponieważ nie jest moim naturalnym głosem.

Pamięta Pan moment postawienia diagnozy?

- Byliśmy z moją Panią w warszawskim szpitalu na Banacha. Lekarz w sposób naturalnie powściągliwy, bez specjalnego współczucia, roztkliwiania się, powiedział nam, że to jest naciek nowotworowy, że trzeba będzie to wyciąć podczas skomplikowanej operacji. Mówił: „Niech się Pan koniecznie ubezpieczy, bo to będzie kosztowało co najmniej 70 tysięcy złotych, no, a potem oczywiście chemia, naświetlanie, straci

Pani mi o nich powiedziała, że to jest rak, i to złośliwy. Ona pierwsza powiedziała: „Spokojnie, ty sobie ze wszystkim dasz radę, a jak nie, to sobie razem damy radę”. Razem z siostrą siadły do Internetu i zaczęły szukać rozwiązań.

A Pan pił wino.

- A ja piłem wino i leżałem na kanapie - oddawałem się wahaniom nastrojów i serfowałem po czarnej otchłani swojej wyobraźni. **Gdy jest się chorym na chorobę śmiertelną, można nie myśleć o śmierci?**

- Chyba jestem z natury takim pogodnym fatalistą, nie tracę zbyt wiele czasu na myślenie o tym, co by było gdyby. Poza tym jednym z warunków wyzdrowienia jest przekonanie, że to się uda. Leka-

rze austriaccy zalecają mi pozbycie się stresów, z odłożeniem pracy twórczej włącznie. Poza tym nieźle się czuję, mimo że nie mogę łykać - co jest pewną perfidią losu. Funkcjonuję w miarę normalnie, czytam książki, oglądam telewizję, mundial.

Kto Pańskim zdaniem wygra mistrzostwa?

- Niestety, Niemcy. Przechodzą się.

Krajowe serwisy informacyjne Pana nie denerwują?

- Słucham ich jednym uchem. Już mnie tak bardzo nie obchodzi, to już mnie nuży, bo już nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Ani negatywnie, ani pozytywnie, a i forma też już się powtarza. W tej tyrolskiej klinice żyję w sytuacji żywcem wziętej z „Czarodziejskiej góry” Manna - klinika na górskiej hali nad miastem, z niesamowitymi widokami, grupa pacjentów i lekarzy w bardzo rodzinnych stosunkach. Cały ten świat z samobójczymi czy morderczymi skłonnościami wydaje się niesłychanie daleko. Nie chce się do niego wracać.

Jak jeszcze choroba zmieniła Pańskie patrzeć na świat? Słońce świeci inaczej?

- Może trochę mocniej? Jednak przede wszystkim po raz pierwszy od 20 lat nie żyję na wysokich obrotach, od dzieła do dzieła, od występu do występu, od rozpoczęcia książki do wydania książki. To jest mój pierwszy urlop. W tej chwili nie wolno mi pracować, no i nie ma kawy, nie ma red bulla, nie ma alkoholu, papierosów. Nie

ma tego wszystkiego, co towarzyszyło życiu na wysokich obrotach. **Pustka?**

- Nie ma jej, bo są książki, jest życie rodzinne, urodziło mi się 10 psów. Natomiast muszę się przyzwyczaić do braku haju, adrenaliny, że można wszystko zrobić, ale bez tej gorączki, w sposób niesłychanie spokojny. To jest trudne. Mam poczucie jakby kastracji.

Wolniej Pan myśli?

- Chyba tak, czytam wolniej.

Zmądrzał Pan?

- Za wcześniej o tym mówić, jeśli człowiek w ogóle może mądrzeć po czterdziestce. Szukam w ludziach pozytywnych cech, może to jest element mądrości, której wcześniej nie miałem.

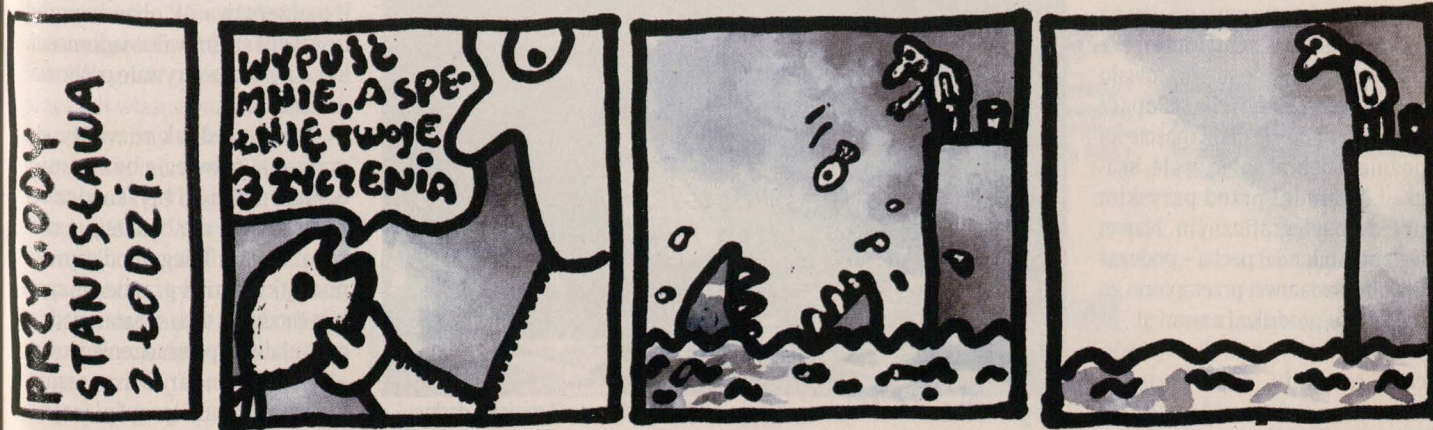
O Pańskie zdrowie martwią się Wałęsa, Krzaklewski, prezydent, wielkie gwiazdy. Nie popadnie Pan w pychę?

- Już nie mam takich artystowskich złudzeń, cieszę się, że mam przyjaciół, którzy mi pomagają.

Nie jest Pan dobrem narodowym?

- Jestem istotny dla paru młodych ludzi, dla nich jestem okularami na sztukę, historię i pewien rodzaj wrażliwości, ale takich złudzeń nie mam. Nie ukrywam, że moja próżność została bardzo mile połączona czy nakarmiona - człowiek lubi być uznawany. A przy okazji tej choroby nasłuchiwałem się też miłych rzeczy. Przyjmuję to jednak jako zdarzenia okołochorobowe.

Rozmawiał
PIOTR NAJSZTUB



RYŚ. MAREK RACZKOWSKI

Telegramom STOP!

TELEGRAF W AGONII STOP ŚPIESZ SIĘ Z WYSYŁANIEM STOP KONIEC JEST BLISKO STOP ZOSTANĄ NAM MAILE I SMS-Y

JAN STRADOWSKI

Telekomunikacja Polska SA uznała bowiem, że telegramy są już niemodne i nieopłacalne. Zostały skazane na cichą śmierć, a wyrok będzie wykonany pod koniec roku.

Pech towarzyszył temu przełomowemu wynalazkowi od początku. Claude Chappe, który w roku 1793 zbudował we Francji pierwszy telegraf optyczny (oparty na znanym do dziś semaforze), został doceniony, ale nie uratowało go to przed chorobą. Popadł w ciężką depresję i kilkanaście lat później odebrał sobie życie, skacząc do studni przed paryskim urzędem telegraficznym. Nawet jego pomnik miał pecha - podczas II wojny światowej przetopiono go i użyto do produkcji amunicji.

Nieco lepiej powiodło się twórcom telegrafu elektrycznego. Amerykanin Samuel Morse - na

co dzień profesor sztuk pięknych i znany portrecista - opatentował swój wynalazek w roku 1835, ale nie mógł pozyskać funduszy na dalsze prace. Pierwsza oficjalna transmisja odbyła się dopiero dzień lat później. I choć jego wynalazek podbił potem cały świat, Morse zarobił na nim niewiele. Podobnych problemów doświadczali William Fothergill Cooke i Charles Wheatstone - twórcy brytyjskiej wersji telegrafu.

Dopiero pod koniec XIX wieku Guglielmo Marconi udowodnił, że wynalazca też może się obłowić. Nie tylko szybko opatentował swój telegraf bez drutu (prościej mówiąc - radio), ale założył firmę, którą dziś nazwalibyśmy telekomunikacyjną. Zarabiał w niej bardzo przyzwoicie, a na dodatek w roku 1909 dostał - niebagatelny - Nagrodę Nobla.



Telegraf w XIX wieku budził niechęć, na przykład gdy szpecił miejskie dachy

Trudno dziś sobie wyobrazić, jak bardzo telegraf zmienił świat. W pierwszej połowie XIX wieku czas przesłania informacji w obrębie kraju liczono w dniach, między kontynentami - w miesiącach. Ale już w roku 1874 depesza z Londynu do Bombaju szła za ledwie kilka minut!

Natychmiast powstało nowe zjawisko przypominające do złudzenia dzisiejszą cyberkulturę internetową. Poczesne w niej miejsce zajmowała elita operatorów nadających alfabetem Morse'a z obłądną wówczas prędkością 40-50 słów na minutę. Przesyłała depesze prasowe, raporty, życzenia i zwykłe plotki. Kochankowie flirtowali online, a nawet zawierali małżeństwa. W obawie przed rywalami szyfrowali wiadomości, które z kolei owi rywale próbowali rozgryźć.

Szybko jednak rozwinęły się marzenia o świecie bez granic, w którym dzięki błyskawicznej komunikacji nie będzie już nieporozumień. Telegraf od samego początku służył przede wszystkim możliwym tego świata: rządzącym ułatwiał prowadzenie wojen, a biznesmenom - interesów. Życie znacznie przyspieszyło.

„Teraz handlowiec musi stale mieć kontakt z dostawcami. Jest w stanie ciągłej ekscytacji. Po prostu musi używać telegrafu” - narzekał w roku 1868 amerykański przedsiębiorca cytowany we współczesnej książce pod znamienym tytułem „Internet doby wiktoriańskiej”.

Monopol telegrafu skończył się w roku 1877, kiedy to do głosu doszedł wynalazek Grahama Bella (początkowo uznawany za nieszkodliwą ciekawostkę). Następne stulecie należało już do telefonu. Telegraf, oczywiście, nie poddał się bez walki - ostatecznie posługiwał się słowem pisanym, które miało wartość urzędową. Najpierw pozbył się drutu na rzecz fal radiowych, potem wskutek różnych ulepszeń przybrał wygodną formę teleksu, czyli dalekopisu.

Jego dni były już jednak policzone. Co prawda ludzie nadal mieli do załatwienia wiele spraw „nie na telefon”, ale znali wygodniejsze sposoby przesyłania tekstu. Telegramy zostały pożarte przez ich własne potomstwo: faksy, pagery, listy elektroniczne czy wreszcie komórki SMS-y.

W roku 1999 oficjalnie pogrzebano alfabet Morse'a. Kreski i kropki ustąpiły miejsca swej krewniaczce - cyfrowej informacji, czyli strumieniom zer i jedynek, których dziesiątki tysięcy można przesłać w ciągu sekundy przez zwykły telefon.



Napisanie telegramu było rzeczą niełatwą. Usługa TP SA podpowiadała więc swym klientom, jakich wyrażonych sformułowań można użyć w razie potrzeby: „Serdeczne życzenia zdrowia, szczęścia i pomyślności”, „Szczęśliwego Nowego Roku”, „Wiele szczęścia na nowej drodze”, „Wyrazy najgłębszego współczucia”. Wysłanie tego ostatniego kosztuje co najmniej 1,50 zł (zależnie od długości adresu odbiorcy).

Telegramy zaś oddają pole. Nie ma już dla nich miejsca między innymi w Austrii, Niemczech, Islandii i Finlandii. 30 marca hucznie pożegnał się z nimi Singapur. Trzymają się jeszcze za naszą wschodnią granicą. A u nas? Coraz mniej urzędów pocztowych je przyjmuje, a na internetowej stronie TP SA hasło „telegraf” figuruje wyłącznie w notce historycznej.

Gdy ostatecznie zniknie z polskiego krajobrazu, pozostaną po nim kłopoty (pracę stracić może kilkaset osób) oraz słownictwo. Nazwę biorą od niego krótkie produkcje radiowe i telewizyjne; gratulacyjne telegramy przesyłają sobie głowy państw (choć już nie używają w tym celu telegrafu); istnieje nawet krzew telegraficzny (*Codariocalyx motorius*) - azjatycka roślina o liściach skaczących jak archaiczne semafony telegraficzne. Mamy też nadal określenie „w telegraficznym skrócie”.

Niewykluczone więc, że wkrótce będziemy mówić „w SMS-owym skrócie” - o ile tej usługi nie wyprze zaraz jakaś inna. Mamy już multimedialne MMS-y (można nimi przysłać dźwięki, zdjęcia, a nawet krótkie filmy). Prowadzone są poważne eksperymenty nad przesyłaniem myśli z mózgu do mózgu. Wygląda więc na to, że w XXI wieku technologia powie STOP nie tylko telegramom, lecz także wszelkiemu tekstowi.



ZDARZENIA 2002 - WYDARZENIA!

JÓZEF SZAJNA - SPECJALNY PROGRAM JUBILEUSZOWY

PO RAZ PIERWSZY W POLSCE:
Teatro Biondo Stabile di Palermo
„Don Giovanni all' Opera dei Pupi” (Włochy)

GRUPY TEATRALNE:
z Niemiec, Francji, Kanady.

Znane i debiutujące zespoły z całej Polski w spektaklach teatralnych, plenerowych, happeningach i akcjach ulicznych.

Od 02-06.09.2002 zapraszamy na warsztaty teatralne, muzyczne, plastyczne i ceramiczne z udziałem Mistrzów polskich i zagranicznych.

Więcej informacji na naszej stronie www.zdarzenia.interia.pl

kontakt:
Biuro Festiwalowe
ul. Kołłątaja 9, 83-110 Tczew
e-mail: tck@tck.com.pl, tel. 0 (prefix) 58 531-62-43, 531-07-07

Przyjdź - Zobacz w ciągu 3 dni ponad 30 prezentacji teatralnych, plastycznych, happeningowych!!!

Dyrektor Festiwalu:

Wiesława Quella

Dyrektor Artystyczny:

Halina Kasjaniuk

Honorowy Patronat Artystyczny:

prof. Józef Szajna

Organizatorzy:

Stowarzyszenie Integracji Humanistycznej

PO-MOST w Tczewie

Tczewskie Centrum Kultury

Współorganizator:

Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku

Zarząd Miasta Tczewa

Patronat:

Prezydent Miasta Tczewa

Mecenas:

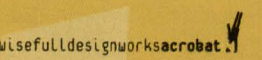
Starosta Tczewski

Marszałek Województwa Pomorskiego

Włoski Instytut Kultury

Fundacja Współpracy Polska-Niemieckiej w Warszawie

Sponsorzy festiwalu:



Patroni medialni:



Dobry tenisista, ale... kobieta

OLGA WOŹNIAK

Siostry Williams, Kurnikowa, Sabatini za tydzień zarobią na kortach Wimbledonu krocie. Zawdzięczają to uporowi i talentom Billie Jean King, która tak naprawdę chciała zostać bejsbolistką

„Zasady moralne” – to były najważniejsze słowa Ameryki lat 50. Pomysł, by kobieta zajmowała się wyczynowo sportem, traktowany był wtedy w najlepszym razie jako ekstrawagancja. Dom, dzieci, kościół, rodzina – tu bez ograniczeń mogła starać się osiągnąć mistrzostwo świata.

Lata 50. to również czas, na który przypadło dzieciństwo Billie Jean Moffit. Dziewczynki z kalifornijskiego Long Beach, córki strażaka, która bardzo chciała zostać zawodowym graczem w bejsbol.

– Billie Jean, dziewczynki nie grywają w bejsbol – tłumaczyła jej matka, przykładna gospodyni domowa. Billie Jean zwiślała smętnie z kanapy, oglądając w telewizorze rozgrywki stanowe. Z zadrwością zerkiała w stronę młodszego brata Randy’ego, który w szkolnej drużynie właśnie zaczynał stawiać pierwsze kroki w bejsbolu.

Billie Jean Moffit – lepiej znana jako Billie Jean King – 20 razy wygrała Wimbledon (do tej pory nikt nie pobił tego rekordu). Jej historia stała się legendą.

Ja wam jeszcze pokażę!

Jako mała dziewczynka bardzo chciała zostać sportsmenką. Wybicie jej z głowy sportu w ogóle nie wchodziło w grę. – Z czasem z tego wyrośnie – pocieszała się jej matka. – Skończy szkołę, wyjdzie za mąż, urodzi dzieci – nie będzie miała czasu na takie głupoty.

– W latach 50. w USA nie było normalne, że dziewczynka tak intensywnie trenuje – wspomina Billie Jean. – Nie miałam też wielkiego

wyboru. Do kobiecych sportów zaliczano golf, który był dla mnie za wolny, pływanie, którego się bałam, i tenis. Nie był to może bejsbol, ale też trzeba było biegać i uderzać piłkę. Spróbowałam. Po pierwszej lekcji wiedziałam, że to jest właśnie to, co chcę robić w życiu.

Billie Jean nie wystarczało jednak tak po prostu grać. Postanowiła zostać najlepszą zawodniczką na świecie. – Zawsze byłam inna – mówi. – Chciałam odnosić sukcesy i wiedziałam, że mi się uda. Kiedy miałam może pięć-sześć lat, powiedziałam mamie, że gdy dorosnę, mam zamiar być w czymś najlepsza na świecie. Mama się uśmiechnęła, nie przerywając obierania ziemniaków. „Tak, tak, kochanie, oczywiście” – mówiła to takim tonem, jakbym oświadczyła jej, że mam zamiar posprzątać u siebie w pokoju, albo spytała, czy mogę zjeść jabłko. Strasznie mnie to wtedy zdenerwowało. Postanowiłam, że jeszcze pokażę, co potrafię.

Nobliwa pani King

Rodzice Billie Jean nie mieli pieniędzy na dobrą rakietę ani na strój do gry. Z tego powodu podczas turnieju juniorów nie pozwolono jej pozować do zdjęcia z dziećmi z klubu. 11-latką, nosiła okulary. Była co prawda dość szybka, ale i niezgrabna. – Miałam krótkie, pulchne nóżki i kłopoty z oddychaniem – wspomina.

Sześć lat później razem ze swoją partnerką Karen Hantz wygrała debla w Wimbledonie. Były najmłodszą parą, która kiedykolwiek odniosła zwycięstwo w tym turnieju. Postanowiła zdawać na studia w California State University w Los Angeles. Gdy wróciła z Anglii, stała się najbardziej znaną osobą w uniwersyteckim kampusie.

W Stanach studenci odnoszący sukcesy w sporcie mogą liczyć na stypendia naukowe. Ale na początku lat 60. nie dotyczyło to dziewczyn.

A tymczasem wygrywała turniej za turniejem. W roku 1962 pobiła na kortach Wimbledonu najlepszą tenisistkę świata Margaret Smith Court. Od początku lat 60. była w pierwszej dziesiątce zawodników. Została w niej przez niemal 17 lat.

– Świat, w którym przyszło mi dorastać, był wypełniony sztywnymi zasadami i konwenansami: rodzina, szkoła, sport, studia. Staralam się płynąć z prądem, ale zawsze jakoś tak się działo, że klinowałam się w poprzek. Już choćby samo to, że byłam dziewczyną i tak intensywnie uprawiałam sport, robiło ze mnie swego rodzaju dziwadło – wspomina.

W roku 1965 Billie Jean wyszła za mąż, została panią King. – Chciałam mieć dzieci, dużo dzieci – wspomina. – Miałam zamiar rzucić tenis i poświęcić się rodzinie. Dwa tygodnie po ślubie myślałam, że jestem w ciąży, i byłam tym zachwycona. Ale nawet potem, gdy okazało się, że to nie-

prawda, cieszyłam się z bycia żoną. Gotowałam obiady i zanosila *lunch* mężowi, który pracował wtedy w fabryce produkującej lody. Nie miałam co marzyć o karierze sportowca. To nie było dla kobiet. A tym bardziej mężatek. Traktowałam więc tenis jako zabawę – o pieniądzach z tego w ogóle nie było mowy. My, amatorki, brałyśmy nieoficjalnie niewielkie gaże. Określane to było jako „zwrot wydatków”.

Te niewielkie zarobki sprawiały, że pani King nie rezygnowała z gry. Każde pieniądze przydawały się młodemu małżeństwu, zwłaszcza że Larry studiował prawo. – Nie był sportowcem. Trochę grywał w tenisa, ale był co najwyżej mierny – opowiada Billie Jean. – Gdy dostał sportowe stypendium i mógł studiować za darmo, było to dla mnie jak policzek. Po raz pierwszy zrozumiałam, jak bardzo kobiety dyskryminuje się w sporcie. Czułam się obywatelką drugiej kategorii.

Gwiazda nieznana i źle opłacana

W roku 1967 była jedyną kobietą, która przed trzydziestką wygrała potrójną koronę – odniosła zwycięstwo w meczach singlowych, deblach i mieszanych deblach na Wimbledonie i turnieju US Open. Była niekwestionowaną gwiazdą sportu. Stała się też nieformalnym rzecznikiem praw kobiet. – Bardzo trudno było znaleźć sponsora. Choć wygrywałam najważniejsze turnieje tenisowe, oficjalnie robiłam to wyłącznie dla własnej satysfakcji. To było strasznie irytujące! – mówi King. – Byłam lepsza od większości facetów, którzy zgarniali za to grubą kasę.

Z kilkoma tenisistkami złożyła protest w US Lawn Tennis Association (USLTA). Odpowiedź brzmiała: „Kobiety nie potrzebują zarabiać tyle, ile mężczyźni”. Tego było za wiele! Billie Jean King zorganizowała pierwszy turniej dla kobiet, w którym oferowano im wysoką wygraną – pulę nagród wynosiła 777 tysięcy dolarów. Sponsorem

został koncern tytoniowy Philip Morris. Zawody okazały się sukcesem medialnym. Organizatorzy US Open ugięli się i zrównali stawki nagród dla obu płci. Wpłynęła na to także zapowiedź coraz sławniejszej Billie Jean, że nie będzie brać udziału w turniejach, w których mężczyźni zarabiają 10 razy więcej niż kobiety.

W roku 1968 jako najlepsza tenisistka amatorka została pierwszą sportsmenką, która podpisała profesjonalny kontrakt. W ciągu trzech lat stała się także pierwszą kobietą, która na sporcie zarabiała sto tysięcy dolarów rocznie. Szalejące w tych latach ruchy feministyczne uznały ją za symbol swych dążeń.

A jednak opinia publiczna nadal traktowała tenisistki z pogardą. – Trzy razy wygrałam Wimbledon, ale poza kilkoma osobami ze środowiska nikt o tym nie wiedział – mówi King. – W 1968 roku, gdy wygrałam na Wimbledonie singla, debła i mieszane debła, nikt nie witał mnie po powro-

cie do Stanów. Gdyby powiedziano jej wtedy, że za sześć lat stanie się jedną z najbardziej znanych osób w Ameryce – zaśmiałyby się gorzko.

Pojedynek ze świnia

– Po co kobiety walczą o równe prawa w sporcie, kiedy żadna z nich nigdy nie dorówna umiejętnościami mężczyźnie?! Miejsce kobiet jest w domu, przy dzieciach! – wykrzykiwali przeciwnicy równouprawnienia. Jednym z najgłośniejszych krzykaczy był Bobby Riggs, zwycięzca Wimbledonu z roku 1939. Za punkt honoru obrał sobie wyzywanie kobiet na pojedynek.

Był rok 1973. Riggs cztery miesiące wcześniej wygrał z mistrzynią Wielkiej Brytanii Margaret Court. Teraz postanowił zagrać z Billie Jean. W singlach kobiet wygrywała na Wimbledonie w 1972 i 1973 roku. W deblach pań odnosiła sukcesy od 1970 do 1973, w parach mieszanych wy-

grywała rokrocznie w latach 1971–1973. Była także zwyciężczynią US Open, French Open i Australian Open.

55-letni Riggs wyzwał na pojedynek 29-letnią King. Nagroda wynosiła sto tysięcy dolarów. Zwycięzca brał wszystko. – Riggs mnie zezłościł. To bufon – powiedziała King w wywiadzie dla „Los Angeles Times”. Przyjęła wyzwanie.

20 września 1973 r. mecz rozgrywany w Aerodromie w Houston zgromadził ponad 30-tysięczną widownię. Choć gra szła o duże pieniądze i kobiecy honor, cała historia nie wyglądała zbyt poważnie. – Oprawa imprezy przypominała zawody *wrestlingu* – wspomina King. – Wniesiono mnie na arenę na łożu ubraną w złoty płaszcz, niczym Kleopatrze.

Riggs wjechał w powozie ciągniętym przez piękne dziewczyny. – Bardzo się bałam, że się spoczę i stanie się to pożywką do stosownych komentarzy – mówi King. – Staralam się nie podgrzewać atmosfery, a to mogło się stać, gdybym na przykład spadła z tego łoża, na którym mnie nieśli. Mam lęk wysokości – wyznaje.

Zanim rozpoczął się mecz, Billie Jean podarowała Riggsowi świnia. – On sam to prawdziwa szowinistyczna świnia – skomentowała to potem.

Mecz reklamowany jako „pojedynek płci” transmitowały telewizja i radio. – To był cyrk – mówi King po latach. – Ale gdy tylko rozpoczął się mecz, przestałam o tym myśleć. Skoncentrowałam się. Nie znałam Riggsa, a najbardziej obawiałam się, że mnie czymś zaskoczy. Zaskoczył. Nie spodziewałam się, że będzie tak słabym przeciwnikiem. Wiedziałam, że gdy on przegra, męskiemu tenisowi to nie zaszkodzi. Gdy ja przegram – cofnę wszystko, co wywalczyły sobie kobiety w sporcie, o 50 lat.

Billie Jean wygrała – 6:4, 6:3, 6:3. Choć może całość wyglądała dość głupio, ten mecz zmienił historię sportu. A Billie stała się ikoną feminizmu.

Jestem kobietą

– Sześć lat temu nikt mnie nie znał, a wtedy, w Houston, każdy wykrzykiwał moje imię. Każdy też czegoś ode mnie chciał – pieniędzy, poparcia. Nazywali mnie radykalną feministką, mistrzynią. Dzień po meczu obudziłam się i pomyślałam: „O rany, Billie Jean, kim ty teraz właściwie jesteś?”. Czułam się tak, jakbym obudziła się w łóżku innej osoby.

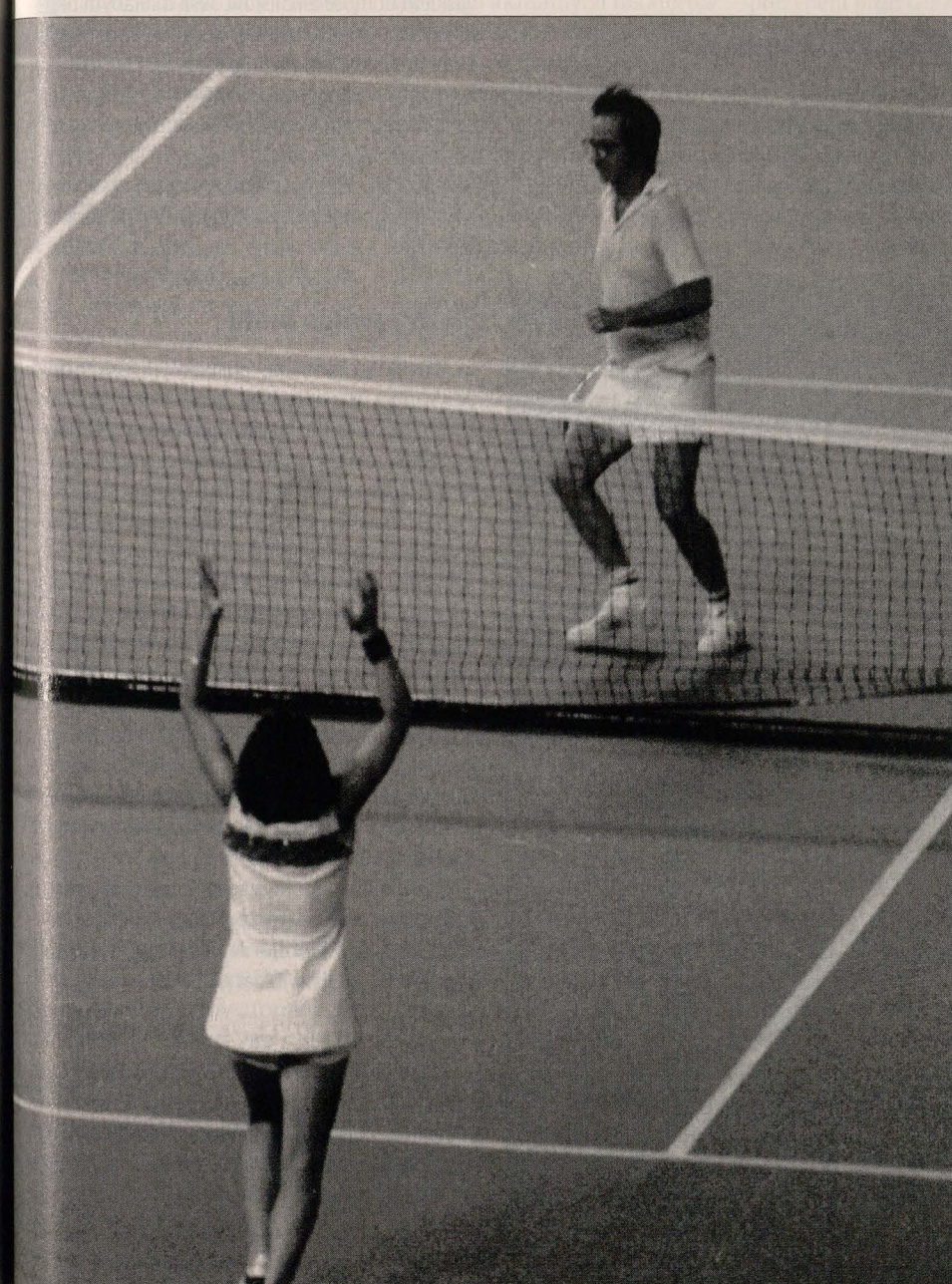
Tymczasem pojawiły się zarzuty, że mecz nie zrobił na niej wrażenia. Ludzie myśleli, że jest gruboskórna. Nie mówiliby tak, gdyby byli świadkami sceny, która rozegrała się kilka dni potem.

– To było jakiś tydzień po „pojedynku płci” – mówi Dick Butera, przyjaciel tenisistki. – Oglądałem w telewizji mecz futbolowy między

Wygrana Billie Jean w „pojedynku płci” z Bobbym Riggsem zmieniła historię sportu



FOT. CORBIS/REX AP



„Chciałam grać w bejsbol, ale to nie był sport dla kobiet. Miałam do wyboru golf, pływanie lub tenis”. Pierwsza z prawej Billie Jean King

drużynami uniwersyteckimi, kiedy przyszła Billie Jean. Minęła pierwsza połowa, przygrywała w przerwie jakaś orkiestra, zaczęliśmy rozmawiać. Billie chyba faktycznie nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie znaczenie miała dla ludzi jej wygrana z Riggsem. Naraz zamilkła. Wpatrywała się w ekran, a po jej twarzy płynęły łzy. Podążyłem za jej wzrokiem. Orkiestra zaczęła grać „I Am Woman”, a czirliderki ustawiły się na boisku w inicjały BJK. Billie Jean King stała się legendą.

Najszybszy rewolwerowiec na Dzikim Zachodzie

Przyczyniła się do przegłosowania poprawki do konstytucji zabraniającej dyskryminacji ze względu na płeć w szkołach, w nauce i sporcie. Założyła Women's Tennis Association. W roku 1974 pomogła w ukonstytuowaniu się Women's Sports Foundation. Wspomagała założenie koedukacyjnego World Team Tennis (w roku 1989 została jego przewodniczącą).

W tym samym czasie została także trenerką koedukacyjnej drużyny tenisowej Philadelphia Freedoms. Przygotowywała ją do mistrzostw świata. Był to pierwszy przypadek, że kobieta trenowała także mężczyzn. Jeden z jej największych fanów – Elton John – napisał na jej cześć

piosenkę „Philadelphia Freedom”. Ten singel jest jednym z najszybciej sprzedanych w historii.

W roku 1975 w rankingu najbardziej znaczących kobiet świata opublikowanym przez magazyn „Seventeen” Billie Jean King zajęła pierwsze miejsce. Na drugim była premier Izraela Golda Meir. – Pytano mnie wtedy, czy czuję się raczej kobietą, czy sportowcem – wspomina King. – To absurdałne. Mężczyznom nie zadaje się takich pytań. Jestem sportowcem. Jestem kobietą.

W wywiadzie dla „Playboya” w marcu roku 1975 na pytanie, jak czuje się ze swoją sławą, odpowiedziała: – Przekonałam się, że zostanie Numerem Jeden nie przynosi takiej chwały, jak oczekiwałam. Myślałam, że kiedy stanę się już najlepsza, będę mogła po prostu się tym cieszyć. Nic bardziej błędnego. To tak, jakby być najlepszym rewolwerowcem na Dzikim Zachodzie. Cały czas musisz się pojedynkować z kimś, kto chce ci udowodnić, że jest lepszy.

Alimenty od kochanki

Wydawać się mogło, że Billie Jean King osiągnęła wszystko, o czym marzyła jako mała dziewczynka. Była najlepsza, robiła to, co lubiła, zarabiała na tym pieniądze. Jak jednak zwykle bywa – ta idylla miała się niebawem skończyć.

Był rok 1981. W mediach gruchnęła wieść: „Billie Jean King jest lesbijką!”. Marilyn Barnett, wieloletnia sekretarka tenisistki, ujawniła ich intymny związek. I podała ją do sądu, domagając się alimentów. – Obiecała, że będzie mnie wspierać i mi pomagać – przekonywała sąd. Media wrzały. Nawalnica przetoczyła się też przez rodzinę tenisistki.

– Byliśmy z Larrym normalnym małżeństwem tylko kilka lat – opowiada Billie Jean. – Normalnym w powszechnym znaczeniu tego słowa. Potem zaczęło się psuć. Może to była moja wina? Nigdy nie czułam się u siebie w ogromnym świecie małżonków.

Po aferze jej małżeństwo ostatecznie się rozpadło. – Czy jestem lesbijką? – zastanawiała się potem w jednym z wywiadów. – Wiele osób tak o mnie mówi. Ale dla mnie to tylko kolejna etykieta. Nie znoszę szufladkowania. Nigdy też nie potrafiłam się specjalnie identyfikować ze środowiskiem homoseksualistów. Jeśli miałabym określić sama siebie, to myślę, że najlepszym epitetem będzie: samotnik. Nie znoszę, kiedy druga osoba chce mi narzucić swój styl życia. Sprzecznosc tkwi jednak w tym, że nie lubię być samotna zbyt długo.

Prasa się odczepiła. Od czasu do czasu brukowce donosiły tylko o kolejnych partnerkach Billie Jean. Jedną z nich była Martina Navratilova.

Siostra swego brata

Gdy Billie Jean King postanowiła zakończyć swą karierę na korcie w roku 1984, miała puchary zwycięzcy z 71 turniejów singlowych. Pięć razy zostawała mistrzynią świata. Mistrzynią USA była siedem razy.

Co robi teraz 59-letnia gwiazda tenisa? Trenuje kadrę Stanów Zjednoczonych, działa w licznych organizacjach sportowych, sędziuje. Wciąż walczy o równouprawnienie. Ma jeszcze o co. Nagroda dla kobiet na turnieju w Wimbledonie wciąż jest niższa niż męskie trofeum.

W roku 1990 magazyn „Life” umieścił ją wśród stu najważniejszych Amerykanów XX wieku. W kwietniu 2001 roku amerykańska telewizja nakręciła film „When Billie Beat Bobbie” opowiadający o słynnym meczu King – Riggs. Billie zagrała Holly Hunter.

Choć Billie Jean King została legendą sportu, najbardziej lubi, gdy przedstawia się ją jako siostrę Randy'ego Moffita. Jej młodszy brat został słynnym bejsbolistą. 12 lat grał w pierwszej lidze.

OLGA WOŹNIAK

PS W roku 1985 67-letni Bobby Riggs jeszcze raz wyzwał tenisistki na pojedynek. Tym razem w parze z Vitasem Gerulaitisem zagrał przeciwko Martinie Navratilovej i Pam Shriver.

Kobiety wygrały.

Przy pisaniu tego artykułu korzystałam z tekstów z „Times'a”, „New York Times'a”, „Life'a” oraz zapisów czatów internetowych z Billie Jean King.

O konserwatystach i konserwatorach

Łaciński rzeczownik *conservator* oznaczający obrońcę – dał nazwę szlachetnemu zawodowi ludzi ratujących cenne pamiątki z przeszłości. Inne łacińskie słowo – czasownik *conservo* – dobrze określa misję tego zawodu: zachowywać, dochować bez zmiany, nietkniętym zostawić.

Pamiętam swoje zaskoczenie, gdy jako świeżo przybyły do Warszawy krakowianin zobaczyłem w roku 1990 trwającą właśnie konserwację płaskorzeźb na placu Konstytucji wzniesionych tam – podobnie jak cały plac – za czasów niezapomnianego Bolesława Bieruta. Specjaliści poddawali socrealistyczną Kółkożnicę, Górnik, Prądkę zabiegom, jakie w mieście mojej młodości zarezerwowane były dla romańskich kapiteli czy gotyckich portali. W ten właśnie sposób odkryłem, że w Warszawie działa również jakiś konserwator, która to funkcja w połączeniu z miejscem jej wykonywania wydawała mi się zabawnym oksymoronem.

Przez następną dekadę mieszkania w Stolicy czytałem i słyszałem wiele o działalności tutejszego urzędu konserwatorskiego. Nie były to pochlebne opinie: a to, że pozwolił na rozbiórkę jakiegoś przedwojennego „baraku”, a to, że pozytywnie zaopiniował wyprucie wnętrza z cudem ocalałej starej kamienicy, a to znowu, że dopuścił do wzniesienia muru oddzielającego pałacyk Sobańskich od ulicznej

gawiedzi (właściwie nie pałacyk, lecz jego aktualnych lokatorów – Polski Klub Biznesu, który w odróżnieniu od swoich arystokratycznych poprzedników wołał, by z ulicy nie patrzono mu na ręce...). Toteż nic dziwnego, że z czułością wspominałem krakowskich konserwatorów poświęcających się prawdziwym zabytkom, walczącym jak lwy z McDonald'em usiłującym się wedrzeć do Starego Miasta, marszczącym groźnie brwi na każdą próbę naruszenia tak zwanej zabytkowej substancji. Mówiło się – i nie bez racji – że w Krakowie rządzą właściwie konserwatorzy na spółkę z Kardynałem (a może odwrotnie, już nie pamiętam).

Jakież było więc moje zdumienie i przerażenie, kiedy niedawno wszedłem na krakowski Rynek i zobaczyłem, że został obwieziony granitową powierzchnią do złudzenia przypominającą wszechobecne włoskie zestawy łazienkowo-ogrodowe, do tego ozdobione wzorkami z czerwonej kostki – zapewne, aby nikt się w tej miejskiej łazience nie poślizgnął. Po dekadach zeszpecenia Rynku „płytą” projektu prof. Zina zafundowaną miastu za czasów upadłego reżimu, teraz, w wolnej Polsce, pozwolono na tak niewyobrażalne ahistoryczne paskudztwo! Gdzież się podziiali słynni z bezkompromisowości miejscowi konserwatorzy? Dobrze poinformowani znajomi szybko mi wyjaśnili, że nowa płyta Rynku to efekt niezłomnej woli upiększania

miasta, jaką kieruje się obecny prezydent prof. Gołaś. Zdążył on już wybudować dwa mosty przez Wisłę prowadzące donikąd, a teraz, tuż przed końcem swojej kadencji, swoją niepomąganą energię skierował na Stare Miasto i nakazał przebudowę Rynku bez zatwierdzonych szczegółowych planów. A konserwatorzy? Siedzą cichutko jak myszki pod miotłą, bo to – wiadomo – o posadę teraz trudno, szepczą krakowscy znajomi. Co mi przypomniało powiedzonko paryskiego adwokata mojej rodziny, gdy demonstracyjnie poddał naszą sprawę w sądzie: „Recesja, proszę państwa, a w recesji morale się obniża...”.

Rzecz jest o tyle niezwykła, że Kraków to miasto uchodzące za ostoję konserwatyzmu (słowo od łacińskiego *conservo* – patrz wyżej), niechętnie zmianom i nowinkom. Potwierdza tę opinię obecność czołowego polityka konserwatywnego w Polsce – zmieniającego co sezon przynależność partyjną, ale za to niezłomnego w przywiązaniu do zasad i wpływu w mieście.

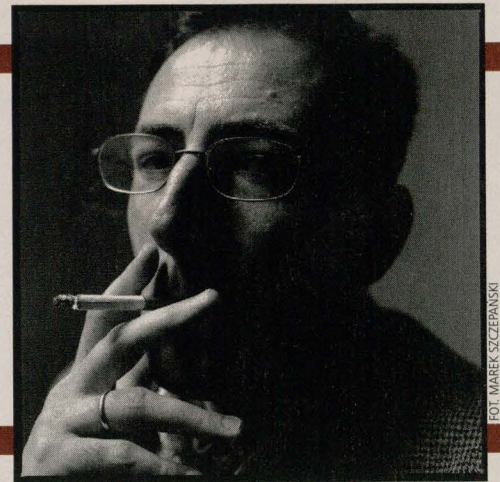
Zasady konserwatystów dałoby się sprowadzić do jednego: lepiej już było – co mimo ewidentnie prawicowego charakteru wszystkich konserwatystów zbliża ich w Polsce do elektoratów SLD, PSL, Samoobrony – żywią podobne przekonanie. Gdy się tak na to popatrzy, to „niekonserwatyści” stanowią w naszym kraju zdecydowaną mniejszość. I być może to właśnie przywiązanie do zasad, w tym wypadku estetycznych,

jakie wynieśli z czasów młodości projektanci przebudowy Rynku i prezydent miasta, który tę decyzję przevorsował, dało tak fatalny efekt.

Przypomnijmy: młodości, która upłynęła w powszechnej szarzyźnie, gdzie jakkolwiek przedmiot z Zachodu wydawał się objawieniem piękna doskonałego, pełnym szlachetności kształtu i barwy. Włoski styl wyposażenia łazienek (na przykład płytki granitopodobne) jawi się z perspektywy młodości pokolenia 50–60-latków jako absolutny ideał estetyczny. Toteż nie należy się dziwić, że został wzięty za wzór przebudowy średniowiecznego placu – ostatecznie niech po nas też coś ładnego zostanie!

Zwykle kiedy wyjeżdżam z Krakowa, z ciężkim sercem myślę o nieuchronnie czekającym mnie widoku Dworca Centralnego w Warszawie, lśniącym słupie hotelu Marriott oraz Prądkę z Górnikiem na placu Konstytucji. Tym razem wracałem z poczuciem radosnego oczekiwania. Oczekiwania na miasto bez konserwatystów, bez złudzeń i utraconych nadziei, miasto równie sceptyczne wobec przyszłości, jak i przeszłości. Gdzie nikt nie udaje, że ratuje „substancję”, bo i tak wszyscy widzą, że jej nie ma, że ją dopiero trzeba stworzyć. Pierwszy raz uśmiechnąłem się w myślach z życzliwością i zrozumieniem do warszawskich konserwatorów...

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI



Martina Navratilova i Billie Jean King, 2000

Polski Brodski

„Boże prawy,
o mnie piszą
w »Przekroju«!
– wykrzyknął
Josif Brodski,
kiedy w roku 1987
wydrukowaliśmy
wiersze i portret
Noblisty

Brodski urodził się 24 maja 1940 roku w Leningradzie, który wolał nazywać „Pietrem”, jak kiedyś z sympatią mawiali o swoim mieście mieszkańcy Petersburga. 21 czerwca, 56 lat później, pochowano go na cmentarzu San Michele na Wyspie Umarłych w Wenecji, którą pokochał, zanim przyjechał tam po raz pierwszy. Na jego pogrzebie spotkało się, jak zwykle w przypadku emigrantów bywa, towarzystwo wielonarodowe i wielojęzyczne. Ze zdziwieniem można było stwierdzić, jak wielu miał przyjaciół Polaków. Jego związki z Polską, a raczej z Polakami, były bardzo serdeczne i zaczęły się w początku lat 60. w Leningradzie, kiedy o przyjeździe do naszego kraju nawet nie miał co marzyć.

W jednym z wieczorów poetyckich organizowanych w prywatnym mieszkaniu w roku 1960 brała udział studiująca w Leningradzie Polka Zofia Kapuścińska. Zachwyciła ją poezja recytowana

przez natchnionego młodzieńca, a znajomość przerodziła się w wieloletnią przyjaźń. Zofia przesyłała Brodskiemu polskie czasopisma i książki, również łatwiej w tym czasie dostępną w Polsce klasykę literatury angielskiej i amerykańskiej w oryginale. To ona też miała przyjemność dostarczenia mu pierwszych przekładów jego wierszy.

Debiut nad Wisłą

Polskie przekłady Brodskiego opublikowano wcześniej niż wersje oryginalne, tak więc prawdziwy debiut późniejszego noblisty miał miejsce w roku 1963 we „Współczesności”. Tłumaczem wydrukowanych wówczas wierszy był Andrzej Drawicz; rok później w „Odgłosach” ukazały się trzy sonety w przekładzie Eugenii Siemaszkiewicz.

Brodski, wspominając lata 60., często podkreślał, że polskie czasopisma, które wówczas czytał, były dla niego oknem na świat. Żeby móc w pełni z nich korzystać, nauczył się polskiego. Jeszcze wiele lat później, kiedy na co dzień posługiwał się angielskim, rozumiał wszystko i nieźle mówił po polsku, choć robił to niechętnie, nie chcąc kaleczyć języka. W Związku Radzieckim można było kupić między innymi „Przekrój” i „Szpilki”. Te właśnie gazety zachwyciły Brodskiego swoją lekkością, poczuciem humoru i brakiem namaszczenia, szczególnie na tle śmiertelnie poważnej prasy radzieckiej.

Zofia Kapuścińska (po mężu Ratajczakowa) wspomina, jak Brodski i jego znajomi obnosili rozmaite powiedzonka zaczerpnięte z „Przekroju”. „No, popatrz – coś takiego można sobie nie tylko pomyśleć, ale jeszcze wydrukować”. Absurdalne i abstrakcyjne żarty na łamach „Przekroju” były dla niego ucieleśnieniem radosnego ducha swobody. Pociągały go oczywiście nie tylko żarty – z polskich czasopism poznawał naszą kulturę oraz literaturę francuską i sztukę nowoczesną. Szczególnie w „Przekroju” w tym czasie nie brakowało tego typu materiałów.

Kiedy w roku 1987 Jerzy Illgjechał na uroczystości wręczenia

Brodskiemu Nagrody Nobla, zabrał ze sobą numer „Przekroju”, w którym opublikowano zdjęcie i wiersze poety. Noblista nie mógł się nadziwić i nacieszyć! „Boże prawy, o mnie piszą w »Przekroju«!”.

Zachód w Leningradzie

W wywiadzie udzielonym właśnie w czasie swoich „dni noblowskich” w Sztokholmie dla „Tygodnika Powszechnego” powiedział: „W tym czasie – mówię o końcu lat 50. i początku 60. – informacja kulturalna docierająca do Rosji była niesłychanie ograniczona, tzn. informacja z Zachodu. Tłumaczono dosyć mało i o tym, co się dzieje, dowiadaliśmy się głównie z czasopisma »Polska« albo z »Przekroju«, albo z innych polskich pism, nawet ze »Szpilek« – czytaliśmy je nadzwyczaj uważnie. To naturalnie rozbudzało fantazję. Dzisiaj już zupełnie nie jestem w stanie pisać po polsku. W tamtych czasach moja polszczyzna była dużo lepsza; tłumaczyłem dość dużo z polskiego. Pamiętam, że zaczęło się od przekładów z Gałczyńskiego, Harasymowicza, Herberta. (...)

To było dla mnie niesłychanie interesujące, przede wszystkim dlatego, że była to poetyka zasadniczo, radykalnie różniąca się od rosyjskiego idiomu poetyckiego w tamtych czasach. (...) Gdzieś w 1971, 1972 roku odkryłem Miłosza, co wywarło na mnie bardzo wielkie wrażenie. (...) Na pewno ponad połowę współczesnej literatury zachodniej przeczytałem po polsku, kogo tylko chciałem: Ionesco, Malcolma Lowry’ego, częściowo Faulknera, Sartre’a. Jeśli się nie mylę, to wszystko wychodziło w Czytelniku. Pamiętam żółte książeczki, które kupowałem w Leningradzie, w księgarni krajów demokracji ludowej – tam był polski oddział i w tym polskim oddziale ja po prostu pasłem się całymi miesiącami”.

Polscy znajomi i przyjaciele Brodskiego często namawiali go na recytowanie po polsku „Zaczarowanej dorożki”. Nie kazał się długo prosić, bo bardzo to lubił. Recytował ją na modłę rosyjską,

z zaśpiewem, szeroką gestykulacją i zapalem większym chyba niż sam autor. Zofia Ratajczakowa wspomina swoje spotkanie z Josilem w Nowym Jorku, w czasie którego właśnie, w herbaciarni, wyrecytował z pamięci po polsku „Zaczarowaną dorożkę”. I choć w Ameryce trudno kogoś zaszkokować, to jednak kelnerka zapytała, w jakim to egzotycznym języku napisano ten wiersz.

Polak honoris causa

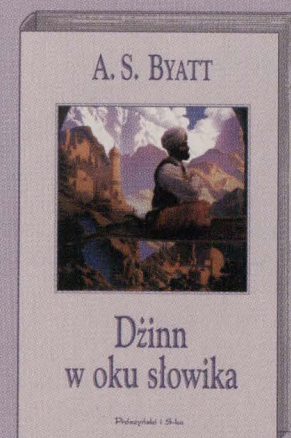
Kultura polska obdarowała Brodskiego jakby mimo woli. A jednak cenił ten dar i często o nim mówił. Swoje przemówienie z okazji wręczenia doktoratu honoris causa Uniwersytetu Śląskiego w roku 1993 rozpoczął frazą: „Dziękuję ci, Polsko”. I kontynuował: „Jeśli cokolwiek naprawdę usprawiedliwia moją tu obecność, to fakt, że sztuki oporu nauczyłem się głównie od was: od pokolenia waszych rodziców. Mówię to nie po to, by wam schlebiać, lecz dlatego, że gdy spoglądam na

swoją młodość, pojmuję, iż w tamtych czasach, jakieś 40 lat temu, nie można było znaleźć innego wzoru postępowania – przynajmniej w moim kraju ojczystym. W tym sensie być może rzeczywiście kwalifikuję się do roli honorowego Polaka”.

Obdarzył przyjaźnią wielu Polaków. Na uroczystości pogrzebowe w Wenecji – odbywające się przeszło rok po jego śmierci, w rocznicę urodzin – przybyli: Czesław Miłosz, Adam Zagajewski, Barbara Toruńczyk i wielu innych. Byli też poeci i przyjaciele Rosjanie: Jewgienij Rejn, Anatolij Najman, Michaił Barysznikow, była Susan Sontag. W kaplicy cmentarnej recytowano jego wiersze po rosyjsku, angielsku i włosku, wspomniano zmarłego – dla jednych był Osią, dla innych Joe. Wszystkich połączył wtedy w Wenecji, być może na chwilę, swoją przyjaźnią.

Gdyby żył, obchodziliby właśnie 62. urodziny.

JOANNA GROMEK ILLG



Prószyński i S-ka

A.S. Byatt
DZINN W OKU SŁOWIKA

Młody dzielny bohater, piękna dziewczyna w potrzebie, zagadkowe i tajemnicze istoty znane nam z dzieciństwa w rękach mistrzyni opowieści, A.S. Byatt, stanowią cudowny pretekst do snucia rozważań o sztuce, społeczeństwie i wolności. Każda z przedstawionych bajek jest barwną, intrygującą historią, pełną nie od razu widocznych znaczeń – a także małą rozprawką o sekretach związków między literaturą i życiem.

O tak... urzekające wizje autorki wspaniałego „Opętania” (Prószyński i S-ka 1998 r.) niejednemu sułtanowi nie pozwoliłyby zasnąć przez tysiąc i jedną noc...

A.S. Byatt pisze krystalicznie i ze wspaniałą wyobraźnią... To są perfekcyjnie uformowane baśnie.

Washington Post Book World

Cudowna przyjemność... To jest nie tylko niezwykle, ale zaskakujące i wspaniałe.

Boston Globe

Patronat medialny: **PRZE KROJ** **ZYCIE onet.pl** **www.merlin.pl**

KSIĄŻKI MOŻNA KUPIĆ TANIEJ

ZADZWOŃ, NAPISZ – PRZEŚLEMY CI KATALOG KKKK

adres: Garażowa 5, 02-651 Warszawa

tel.: 0-801-120-121, fax: (0-prefixs 22) 843-41-61

e-mail: klub@kkkk.com.pl

oraz w księgarni internetowej www.merlin.pl



Wznowiona licencja na zabijanie



Po lewej: martwy Lew Trocki – jedna z ofiar KGB; powyżej: Mr Q w filmie o Jamesie Bondzie „Goldeneye” pokazuje jeden ze swoich wynalazków do zabijania

To nie film, politycy naprawdę proszą o pomoc killerów

Świat po krótkiej przerwie wraca do epoki, w której państwa trzymały w swych tajnych arsenalach śmierć skrytobójczą. Tą bronią nikt się nigdy nie chwalił, ale sięgali po nią wszyscy. Nie tylko dyktatorzy – także państwa demokratyczne, gdy czuły się przyparto do muru, desperacko próbowały zgładzić tych, którzy im zagrażali. Dziś, po zamachach na WTC, przyparte do muru czują się Stany Zjednoczone.

– Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) utworzyła jednostkę paramilitarną, której zadaniem jest podejmowanie walki z terro-

rystami poza granicami kraju – poinformowała w pierwszych dniach czerwca praga zachować anonimowość osobistość amerykańska. – Jednostka ta podejmuje walkę z terrorystami w ich sanktuariach, takich jak Afganistan – stwierdził ów funkcjonariusz państwowy, jednak odmówił podania nazw innych krajów, w których jednostka działa.

O sposoby walki z wrogiem, jakie ten oddział stosuje, nikt nawet nie próbował się dopytywać. Można jednak przypuszczać, że są to metody stare i dobrze sprawdzone.

Dobry dysydent to martwy dysydent

To, że z polecenia Stalina rozrąbano w Meksyku czekanym głowę jego politycznemu konkurentowi Trockiemu, nie było w dziejach Związku Radzieckiego niczym szczególnym. Również po zakończeniu ery stalinowskiej w żadnym zakątku świata przeciwnicy komunizmu nie mogli czuć się bezpiecznie. W Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego (KGB) istniał wydział oznaczony numerem XIII, którego głównym zadaniem było plano-

wanie, przygotowywanie i wykonywanie akcji sabotażowych w krajach uznanych przez ZSRR za wrogie. Oprócz działalności dywersyjnej ta komórka zajmowała się także likwidowaniem ludzi niewygodnych dla Sowietów.

Po śmierci Stalina pierwszą znaną akcją mającą na celu zgładzenie dysydenta był zamach na Gieorgija Okołowicza, mieszkającego we Frankfurcie nad Menem lidera Ludowego Związku Pracy (NTS). Organizacja ta skupiała rosyjskich emigrantów o poglądach socjaldemokratycznych, a zajmowała się przede wszystkim wydawaniem pism i biuletynów, między innymi znanego miesięcznika „Posiew”. Wydział XIII otrzymał zadanie przygotowania dyskretnego pozbycia się Okołowicza.

Na zabójcę wytypowano wyróżniającego się czekistę Nikołaja Chochłowa, który w ramach przygotowań do akcji przeszedł intensywny kurs walki wręcz (uczył go pięciokrotny mistrz ZSRR w dżudo) oraz strzelania. W tym czasie warsztat rusznikarski KGB konstruował broń, której nie powstydziliby się sam James Bond. Było to pudełko papierosów z zamontowanym samopalmem strzelającym pociskami zatrutymi cyjankiem potasu.

Aby psychicznie bardziej umotywować Chochłowa do morderstwa, w trakcie szkolenia kazano mu czytać wywrotowe publikacje NTS. I to był błąd. „KC KPZR przysłał mnie, abym pana zabił, ale ja tego rozkazu nie wykonam” – powiedział Chochłow, wchodząc 18 lutego 1954 r. do mieszkania Okołowicza. Publikacja NTS zrodziła wątpliwości w mózgu młodego czekisty, które pogłębił wyjazd na Zachód.

Zamiast zabić dysydenta, Chochłow oddał się następnego dnia w ręce CIA. Jego opowieść była tak nieprawdopodobna, że na początku nie chiano mu wierzyć, ale „wystrzałowa” paczka papierosów stanowiła niezbitą dowód. Dwa miesiące później o swoim zadaniu agent KGB opowiedział dziennikarzom na otwartej konferencji prasowej.

Po tej kompromitacji wydział XIII, który przeszedł gruntowną rewolucję kadrową, postanowił się zemścić na NTS. Na kolejnego zabójcę wyznaczono Bogdana Staszynskiego. On też przeszedł specjalistyczne przeszkolenie, zaś broń, którą otrzymał, była jeszcze bardziej wymyślna: rozpylacz strzelający strumieniem trującego gazu – cyjankali. Staszynski mógł go wypróbować w ośrodku KGB zbudowanym pod Karlshorst niedaleko Berlina. W pobliskim lesie strzelał z rozpylacza do przywiązanych przy drzewach psów. Zwierzęta konały po kilkudziesięciu sekundach.

Przed wyjazdem do RFN w październiku 1957 roku przyszły morderca dowiedział się, że jego pierwszą ofiarą będzie Lew Rebet, główny ideolog NTS. Na ofiarę Staszynski czekał w ciemnej klatce schodowej obok jej miesz-

kania. Gdy Rebet wszedł, wystrzelone z rozpylacza cyjankali uderzyło go w twarz. Lekarze po oglądzinach zwłok stwierdzili, że mają do czynienia ze zwykłym zawałem.

Sukces rozzuchwiał KGB – dwa lata później Bogdan Staszynski w ten sam sposób zabił Stepana Bandę, twórcę UPA, a wówczas przewodniczącego Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) na emigracji. I tym razem po sekcji zwłok stwierdzono zawał.

Za zasługi Staszynski otrzymał w grudniu 1959 roku Order Czerwonego Sztandaru. Morderstwa zapewne nigdy by nie wyszły na jaw, gdyby nie kobieta. Młody agent poznał w NRD swoją przyszłą żonę. W sierpniu 1961 roku, gdy małżonkowie dowiedzieli się, że łąda dzień Berlin ma podzielić mur, żona namówiła Staszynskiego do ucieczki na zachodnią stronę. Tam przyznał się do zbrodni i w październiku roku 1962 stanął przed sądem w Karlsruhe. Zachodnioniemiecki wymiar sprawiedliwości skazał go na osiem lat więzienia. Sędzia uznał, że głównym winowajcą był rząd ZSRR, a Staszynskiego określono jako współuczestnika zbrodni.

Zabójczy parasol

Na KGB wzorowały się służby specjalne innych państw Europy Wschodniej. Celowali w tym zwłaszcza Bułgarzy i ich bezpieczeństwa (Drżawna Sigurnost). W roku 1974 DS porwał z Danii emigranta Borisa Asowa, który redagował emigracyjne pismo „Levski”. Wkrótce potem sąd w Sofii skazał go na 15 lat więzienia. Dwa lata później znaleziono go martwego w celi. W tym samym czasie w Wiedniu zastrzelono troje emigrantów bułgarskich, którzy pomagali wcześniej innym w ucieczkach na Zachód. Zabójca wykryty przez austriacką policję zbiegł do Sofii.

Sam szef bułgarskiej partii komunistycznej Todor Żiwkow szczególnie nienawidził dysydenta i pracownika BBC Georgi Markowa. Ośmielał się on publicznie naśmiewać z „władcy” Bułgarii na antenie angielskiego radia, którego słuchali jego rodacy w kraju. Zapadła więc decyzja o likwidacji Markowa.

Tym razem bułgarskie tajne służby oficjalnie poprosiły o pomoc radzieckich towarzyszy. Ówczesny szef KGB Jurij Andropow nie za bardzo miał ochotę wciąć się w tę sprawę, ale przezwyciężył argument, że odmowa zostanie potraktowana jako objaw lekceważenia Żiwkova. KGB dało więc sprzęt i instruktorów. Jako narzędzie mordu wybrano samopalm zamontowany w parasolu, który – aby ukryć powiązania broni z ZSRR – specjalnie kupiono w Waszyngtonie. Parasol z zamontowanym tłumikiem strzelał śrutem zawierającym śmiertelną dawkę silnie trującej toksyny.

7 września 1978 r. Georgi Markow, niczego nie podejrzewając, czekał jak zwykle na

FOT. BEA/W

autobus na londyńskim moście Waterloo. Nagle poczuł ukłucie w prawe udo. Gdy gwałtownie się odwrócił, nieznajomy mężczyzna z parasolem przeprosił go i wszedł do czekającej taksówki. Markow źle się poczuł dopiero następnego dnia, zmarł zaś 11 września. W czasie sekcji znaleziono w udzie mały śrut, nie wykryto jednak toksyny, która zdążyła się już rozłożyć. O tym, że ta akcja stała się powszechnie znana, nie zdecydowało jej złe przeprowadzenie, lecz niedyskrecja bułgarskich tajnych służb w późniejszych latach.

Gdyby nie ta norweska policja

Państwa totalitarne nie mają jednak monopolu na zabójstwa. Także służby specjalne krajów demokratycznych w przypadkach zagrożenia mogą skłaniać się do takich rozwiązań.

Podczas igrzysk w Monachium we wrześniu 1972 r. terroryści z palestyńskiej organizacji Czarny Wrzesień zabili dwóch izraelskich lekkoatletów i uprowadzili dziewięciu innych. Porwani zginęli w czasie próby ich odbicia przez policję niemiecką.

Premier Golda Meir dała Mossadowi wolną rękę. Grupa specjalna Mossadu w krótkim czasie zabiła dziewięciu czołowych przedstawicieli Czarnego Września, al Fatah i OWP. Jednak w ostatniej fazie tropienia szefa Czarnego Września agenci pomylili osoby i zamiast terrorysty zabili w Norwegii Bogu ducha winnego marokańskiego kelnera Ahmada Bucziki. Sześciu agentów Mossadu trafiło na wiele lat do więzienia. Zaszokowana rozmiarami kompromitacji tajnych służb premier Golda Meir wstrzymała dalsze akcje.

Jak oskubać brodę Fidelowi

W styczniu 1959 roku oddziały Fidela Castro obaliły na Kubie reżim Fulgencia Batisty. Udało się to im między innymi dzięki poważnemu wsparciu finansowemu udzielonemu przez CIA. Amerykanie przejeżdżali na oczy

dopiero, gdy ich „romantyczny demokrata” Castro podczas sesji ONZ we wrześniu 1960 roku padł publicznie w objęcia Nikity Chruszczowa.

Rozwścieczona blamażem CIA od tego momentu wszystkimi siłami próbowała, korzystając z wzorów stosowanych w innych republikach bananowych, zdestabilizować i obalić rząd Castro. Ten jednak dzięki sowieckiej pomocy szybko wyszkolił i uzbroił tajną policję, która zapewniała mu bezpieczeństwo i mocną pozycję.

Aby ratować twarz, szef operacyjny CIA Richard Bissell zwrócił się do pułkownika Sheffielda Edwardsa (szefa bezpieczeństwa Agencji) o znalezienie odpowiedniego zabójcy zdolnego zlikwidować Castro. Sprawa miała być nieformalna i odbyć się bez wiedzy prezydenta Eisenhowera. Jak wynika z zachowanych dokumentów, ówczesny szef CIA Allen Dulles nie powiadomił go o całej akcji.

Pułkownik Sheffield skontaktował się z byłym pracownikiem FBI, a wtedy już prywatnym detektywem Robertem A. Maheu, prosząc go o kontakt z mafią. Detektyw Maheu jako zaufanego człowieka polecił Filipa Saco (alias Johna Rosselliiego), który za 150 tysięcy dolarów obiecał zlikwidować Castro. Kubańskiego przywódcę miał otruć członek mafii pracujący w hawańskim biurze dyktatora. W tajnym ośrodku CIA Fort Detrick (stan Maryland) naukowcy przygotowali specjalne pigułki zawierające jad kiełbasiany, które miały zaaplikować Fidelowi Salvatore Giancano.

Gdy jednak mafia wzięła pigułki, oświadczyła, że nie może dokonać zamachu, bo jej człowiek został właśnie zwolniony z pracy. Ta kolejna kompromitacja umocniła tylko w uporze szefów CIA, tym bardziej że ich analitycy donosili, iż Castro „w miarę upływu czasu wydaje się rosnąć w siłę”. W pośpiechu sfinalizowano zatem plan inwazji na Kubę zaakceptowany przez nowego prezydenta Johna F. Kennedy’ego. Operacja, którą rozszyfrował wywiad radziecki i kubański, zakończyła się

pogromem uzbrojonych przez CIA emigrantów z Kuby w Zatoce Świń.

Po tej katastrofie szef Agencji Dulles podał się do dymisji, zastąpił go John McCone. Jednak Fidel pozostał na celowniku. CIA opracowała aż kilkadziesiąt planów zamordowania go lub zdyskredytowania w oczach Kubańczyków. Pracownicy Agencji wykazywali się nieprawdopodobną wyobraźnią, o czym można przeczytać w raporcie inspektora generalnego CIA z 25 sierpnia 1967 r.

Za ciekawsze koncepcje pozbycia się Castro można uznać pomysł rozpylenia w studiach radiowych, gdzie Fidel występował, substancji chemicznej wywołującej halucynacje podobne do zażycia LSD. Inny fortel polegał na nasączeniu cygar środkami wywołującym, jak pisano, „czasowe zaburzenia osobowości”. Chyba jednak najlepszym pomysłem była propozycja nasypania do butów Castro soli talu, od której straciłby brodę, co zdaniem analityków CIA zniszczyłoby jego wizerunek w oczach społeczeństwa. Najbardziej zaś ambitny plan zakładał wystrzelenie u wybrzeży Kuby fajerwerków, tak by utworzyły na niebie wizerunek Jezusa, co miało być danym mieszkańcom wyspy znakiem, że Bóg nie lubi Castro.

Następca zamordowanego prezydenta Kennedy’ego Lyndon B. Johnson zakazał dalszych prób eliminacji Fidela.

Dziś, ponad 10 lat od końca zimnej wojny, znów chyba wracają nieciekawe czasy. Miejmy nadzieję, że przywódcy państw demokratycznych nie dadzą służbom specjalnym całkowitej swobody działania. Choćby po to, żeby nie zaglądać ze strachem do własnych butów.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

Przytoczone historie zaczerpnąłem między innymi z: Roger Faligot, Remi Kauffer „Służby specjalne. Historia wywiadu i kontrwywiadu na świecie”; Ronald Kessler „CIA od środka”; Władimir Bukowski „Moskiewski Proces”; Christopher Andrew i Wasilij Mitrochin „Archiwum Mitrochina”.

W poszukiwaniu chuliganów

Japończycy mówią do mnie: „Cześć, chuligan!”. Tylko dlatego, że interesuję się futbolem

Przez sześć lat życia w Tokio byłem po prostu *gaijin*, czyli obcy. Ostatnio zmienił się mój status. Teraz koledzy w pracy mówią do mnie: „Cześć, chuligan!”. To przez mundial. Z jego powodu młodzi chłopcy zamienili koszulki bejsbolowe na buty z korkami i każdy marzy, aby podążyć śladem Hidetoshi Nakaty i zostać gwiazdą futbolu. Jeszcze kilka lat temu w Japonii królował bejsbol. W jego promocję zaangażowane były sieci największych domów towarowych, takich jak Seibu czy Mitsukoshi, które są zarazem właścicielami drużyn bejsbolowych japońskiej ligi. Bejsbol promowały też filmy animowane i komiksy.

Teraz to się zmieniło. Obecnie 10-latek nie chce już stać biernie przez połowę meczu na czwartej bazie, akcja i tempo spotkań piłkarskich to wyzwanie dla przyszłych gwiazd stadionów. Ruszyła maszyna znanej skądinąd zasady „zachodnie idee i japońska strategia” i w szkołach jak grzyby po deszczu zaczynają powstawać piłkarskie kluby sportowe. Na niedzielnych spacerach w pobliskim parku ojcowie kopią piłkę, zamiast wymachiwać nad głowami pociech kijami bejsbolowymi, a bohaterowie komiksów i kreskówek przechodzą dramatyczne perypetie podbramkowe.

W Japonii na piłkę nożną mówi się *saka*. Jest to zjapończona wersja amerykańskiego określenia *soccer*. *Saka* to europejska gra wykonywana w azjatyckim stylu o nazwie z amerykańskim rodowodem, co jest dosyć charakterystyczne dla japońskiej logiki traktowania z dużym dystansem nowinek z Zachodu. Dlatego w Tokio brak piłkarskiej gorączki i emocji w stylu latynoskim czy południowo-europejskim. Miasto żyje codziennym rytmem kosmopolitycznej metropolii, gdzie kilkanaście milionów ludzi szczerlnie wypełnia najgłębsze zakamarki i zaułki. Mundial jest dla nich tylko jednym z wielu wydarzeń.

Nie oznacza to braku zainteresowania, atmosfera mistrzostw jest wyczuwalna, przypomina to jednak bardziej azjatycką kontemplację niż brazylijskie parady w rytmie samby. Ta kontemplacyjna atmosfera zaprawiona jest szczyptą tradycyjnego japońskiego szowinizmu.

Telewizja już dwa miesiące przed mistrzostwami napędzała spiralę strachu przed hordami zdziczałych kibiców – chuliganów, których miliony miały opanować Japonię. Dla uspokoi-



Policja japońska podczas ćwiczeń na stadionie w Jokohamie, gdzie odbędzie się finał mistrzostw świata

jenia narodu systematycznie pokazywano treningi tutejszej policji przygotowujące funkcjonariuszy do ewentualnych starć z zagranicznymi chuliganami. Chuliganów udawały poprzebierane wyrostki uzbrojone w papierowe atrapy kamieni, puste puszkę po piwie. Wyposażeni w tarcze policjanci urządzali sobie z nimi regularne manewry transmitowane dwa razy w tygodniu przez telewizję.

W centrum miasta bary okupują zachodni kibice, piją, śpiewają piosenki, czasami tańczą na stołach, ot, normalna zabawa opętanych piłką brzuchatych panów po pięćdziesiątce. Nikogo jednak nie zaniepokajają. Zresztą, z kim mieliby się tu bić? Z młodzieżą, która dla dodania otuchy zagranicznym kibicom przyjaźnie wymachuje europejskimi chorągiewkami? Spo-

dziewany od miesięcy najazd barbarzyńców nie nastąpił. Mimo to właściciel sklepu z tasakami i nożami kuchennymi w pobliżu stadionu Saitama na wszelki wypadek zabił deskami swoją wystawę. Ze strachu przed *hooligans*. To obok *saka* nowy japoński anglicyzm. Słyszę go przy niby-żartobliwym powitaniu albo jak wychodzę z restauracji, a ludzie szepczą za moimi plecami: „O! Idzie chuligan”.

Trochę mnie to wkurza, bo żaden ze mnie piłkarski kibic, a tym bardziej chuligan. Poszedłem więc na Roppongi, tam gdzie zazwyczaj bawią się mieszkający i goszczący w Tokio obcokrajowcy, i kupiłem sobie koszulkę z logo mundialu i podpisem: „I’m not a hooligan”. Nie jestem przecież chuliganem.

ALEKSANDER OBIŃSKI



Dama bez cycka

Fevernova – najszybsza piłka w dziejach futbolu stworzona z myślą o publiczności i napastnikach. Dla bramkarzy jej cień jest zwiastunem nieszczęścia. W pełni finałów mistrzostw świata 2002 z Fevernovą rozmawia Leszek Mazan

LESZEK MAZAN: Nie ma Pani najlepszych recenzji...

FEVERNOVA: Wyłącznie dobre recenzje miewiają tylko miernoty. Wielcy i nieprzeciętni muszą od czasu do czasu oberwać. I ja, i wszystkich moich pozostałych 619 dostarczonych do Japonii mundialowych sióstr mamy świadomość naszej misji dziejowej i to nam zupełnie wystarcza do dobrego samopoczucia.

Ejże? Mundialowi bramkarze nie zostawili na Paniach suchej nitki. Gianluigi Buffon jeszcze przed rozpoczęciem mistrzostw nazwał nowe piłki Adidas – w tym, oczywiście, Panią – wręcz „szalonymi”.

– Coś mu się pomyliło, jak to Włochom. Szalone to mogą być krowy, nie współczesne, precyzyjnie wymodelowane futbolówki. Prawda jest taka, iż rzeczywiście jesteśmy znacznie, bo aż o 10 procent, szybsze niż dotychczasowe, potrafimy wpadać do siatki z szybkością ponad 130 kilometrów – to efekt milionów bąbelków syntetycznej pianki poliuretanowej, z której nas wykonano... Sześć warstw, w tym trzy z tkaniny z naturalnego lateksu. Łatwiej dokładnie podać nas na głowę napastnika, łatwiej perfekcyjnie podkręcić, co sprawia, że ubodzy duchem bramkarze przy każdym rzucie wolnym czy kornerze znoszą jajko. Ale już bramkarz reprezentacji Danii Thomas Sorensen jest zdania, że to właśnie dzięki naszej nowej konstrukcji mecze „są tak ekscytujące”.

On powiedział dokładnie tak: „Jako bramkarz muszę pogodzić się z faktem, że producenci stworzyli piłkę, która sprzyja napastnikom”. Podobnego zdania o faworyzowaniu przez Panią zawodników z pola jest bramkarz Hiszpanii Pedro Contreras. Nasz Jerzy Dudek skarżył się, że dostaje Pani „dziwnych wibracji” i że trzeba Panią „dobrze poznać, żeby opanować”. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” dał do zrozumienia, że o tym, gdzie polecą Fevernova, nie decyduje wcale siła uderzenia, tylko aktualny, można by rzec: niewieści, kaprys.

– Pan Dudek i cała polska reprezentacja dostali już pół roku przed mundialem sto piłek

i mogli się z nimi oswoić. Być może jedna z moich sióstr nie wytrzymała mu tak palców przy drugiej bramce Koreańczyków.

I przy dwóch Portugalczyków. A tak w ogóle, to dlaczego nas Pani tak nie lubi?

– Pan wybaczy, ale jak mogę was lubić? Ja lubię tych, którzy potrafią mnie popieścić, a przynajmniej dobrze przyjąć i oddać, gdzie trzeba.

pokrywania naszej skóry syntetyczną wykładziną durlast, nie nasiakamy. Uderzenia nami są 25 procent bardziej precyzyjne niż tradycyjną futbolówką. To właśnie kolejny efekt wykorzystania tej poliuretanowej, wypełnionej gazem pianki. Nie może już być mowy o półmetrowych dewiacjach z kursu strzału wykonywanego z odległości 26 metrów, jak to bywało przed czterema laty we Francji. No, chyba że – jak to się mówi – zawodnikowi

wybiera mnie przed meczem spomiędzy kilku przedstawionych mu kandydatek – wobec producenta, organizatorów i zawodników. I jeśli nie stanie się nic nieobjętego gwarancją...

Na przykład?

– Na przykład – wiem ze szkolenia – jeśli nie trafi się taki zawodnik jak w roku 1956 wasz polski Mieczysław Gracz, który przebiję szczyrym piłkę w 10. minucie meczu Wisły z brazylijskim Bello Horizonte. Wracając do tematu: jeśli mnie właściwie napompują...

Sądziłem, że przynajmniej na mundialu jest to regułą.

– Niestety, nie. Moja siostra obsługująca eliminacyjne spotkanie w grupie D między Stanami Zjednoczonymi a Portugalią latała zbyt nisko i dostawała w czasie lotu trudnych do przewidzenia rotacji. Portugalczycy obarczyli ją pełną odpowiedzialnością za swoją przegraną (3:2), co było bzdurą, bo przecież sama się nie mogła dopompuwać choćby do tego regulaminowego minimum 0,6 atmosfery. Ale informacja poszła w świat.

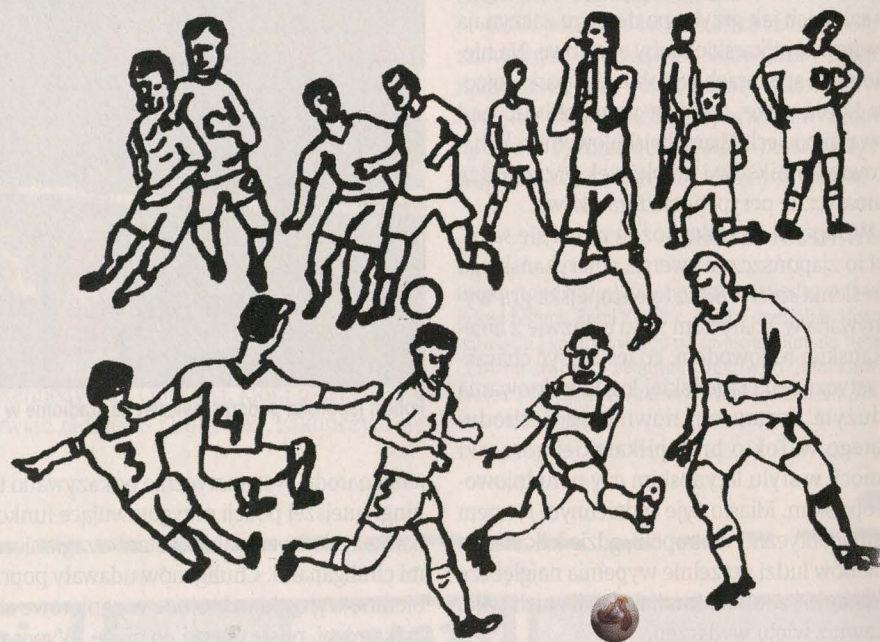


FEVERNOVA – najnowsze cudo piłkarskiej techniki – urodziła się w roku 2002 z okazji 17. finałów mistrzostw świata. Waży 435 – no, góra 440 – gramów, choć norma dopuszcza i 450. W pasie mierzy 68–70 centymetrów i jest idealnie okrągła. Przy uderzeniu jej krągłość odkształca się minimalnie i natychmiast wraca do stanu pierwotnego. To efekt poliuretanowej, wypełnionej gazem pianki, z której wykonano Fevernovę.

uczyl nas pierwszej dokładnej daty meczu piłkarskiego na Wyspach Brytyjskich: 15 maja 217 r. Czym kopali wtedy owi Brytowie czy Rzymianie? Orzechem kokosowym? Gumi nie mieli, szmaty były drogie, sam pęcherz świński szybko pękał. Pewnikiem była to wypełniona czymś skórą, po kąpiel w jednej kałuży ciężka jak siedem nieszczęść. I twarda.

Angielskie piłki do lat 70. były nie tylko większe, lecz także cięższe niż gdzie indziej,

WYTEŻ WZROK...



Z Portugalią zawił deszcz. Zdaniem kapitana Włochów Paolo Maldiniego, żeby Panią dokładnie operować, potrzebna jest sucha i gładka murawa. W deszczu lata już Pani z mniejszą maestrią.

– Ach, ci makaroniarze! Przecież owa, jak pan słusznie określił, maestria, widoczna jest zwłaszcza wtedy, gdy płyta boiska przypomina basen kąpielowy. My już od roku 1970, od

„przeszkadza piłka”. No cóż, ja nie jestem szmacianką, na której uczył się grać pan nomen omen Buffon.

Widzę, że potrafi być Pani złośliwa nie tylko na boisku.

– Nie jestem złośliwa. W czasie meczu powinien być jeszcze bardziej obiektywna niż sędzia, lojalna wobec niego – w końcu

...i znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Piotra Młodożeńca. Rozwiązanie na s. 73.



Pani babci wyciągało się z czeluści piłki, przepraszam za wyrażenie, długi cycek, który po napompowaniu wciskało się z powrotem w skórzany płaszcz. Na powierzchni piłki pod pracowicie zaciśniętym szwem z rzemienia widać było spore wyrzuczenie. Dostać czymś takim, osobliwie w głowę, brrrrrr...

– Wie pan, sama się zastanawiałam, jak czymś takim można było grać. Na szkoleniach

zrobione z solidnych, prostokątnych płatów skóry, szczelnie pokrywających gumową dętkę z tym, jak pan to nazwał, cyckiem. Dopiero w roku 1970 Adidas jako pierwszy zastąpił prostokąty pięciokątami. Mundial w Meksyku – i sensacja! Zamiast w tradycyjnych kolorach brązowych czy ciemnobrązowych moje babcie wystąpiły nieczym biedronki w czarno-białe ciapki.

Wcześniej, pamiętam, Pani przodkinie wystąpiły na biało. To była sensacja chyba większa niż ta w Meksyku. Wie Pani, czemu ów przywołany przez Panią Mieczysław Gracz tak okrutnie potraktował prababcię? Bo polscy zawodnicy wtedy, w roku 1956, nie umieli grać taką białą piłką, w dodatku sprężystą i szybką w stopniu wówczas na polskich boiskach niespotykanym.

– Ha, dosyć to, jak na cywilizowany świat, oryginalna forma protestu, ale jestem w stanie zrozumieć szok. Mr Gracz nie wiedział zapewne, że te zmiany kolorów wymusiła telewizja, dla której brązowa piłka, osobiście przy pierwszych, pionierskich transmisjach, była zbyt mało widoczna, ginęła w szarościach. No, więc dwa lata po krakowskim występie Bello Horizonte moja biała babunia wystąpiła już na mundialu w Szwecji. Potem krótko ubierała się na pomarańczowo. Ale wszystkie te zmiany kreacji to, powtarzam, efekt wymogów telewizji.

Nie dokucza Pani w czasie meczu samotność? Przecież, w myśl tych samych przepisów, na boisku może znajdować się tylko jedna piłka. Znikąd szeptu pociechy, znikąd dobrej rady, a w dodatku te bezustanne kopnięcia.

– Na szczęście nie tylko. Są jeszcze uderzenia głową i – zazwyczaj nader dyskretne – ręką. Ach, to zagranie Maradony na mundialu 1986, do tej pory żywa legenda wśród nas wszystkich... Jednym słowem: właściwa reakcja na kopnięcie to nasz zwykły obowiązek, zagranie nami ręką to coś nietypowego, rodzaj zboczenia, więc jak każda perwersja nieco wstydlive, lecz fascynujące.

Kreacja, w której występuje Pani na tegorocznych mistrzostwach, wzbudza u niektórych podobne kontrowersje jak Pani zachowanie. Te kolory! Te kompozycje plastyczne!

– Malkontenci, których nigdy i nigdzie nie brak, na przykład bramkarze belgijscy, rzeczywiście krytykowali te kolory, ale już waszemu Jerzemu Dudkowi wystarczyły dwa tygodnie, żeby się do nich przyzwyczaić. Złoty kolor, przypomnę, symbolizuje zaangażowanie i energię, z jakimi Japonia i Korea przystąpiły do organizacji tego mundialu. Czerwony płomień nawiązuje do tradycji ognia jako siły napędowej ludzkich poczynań. Jest też, co oczywiste, logo sponsora. Rzeczywiście, trochę tego dużo, ale uważam, że całość wypada bardzo ładnie.

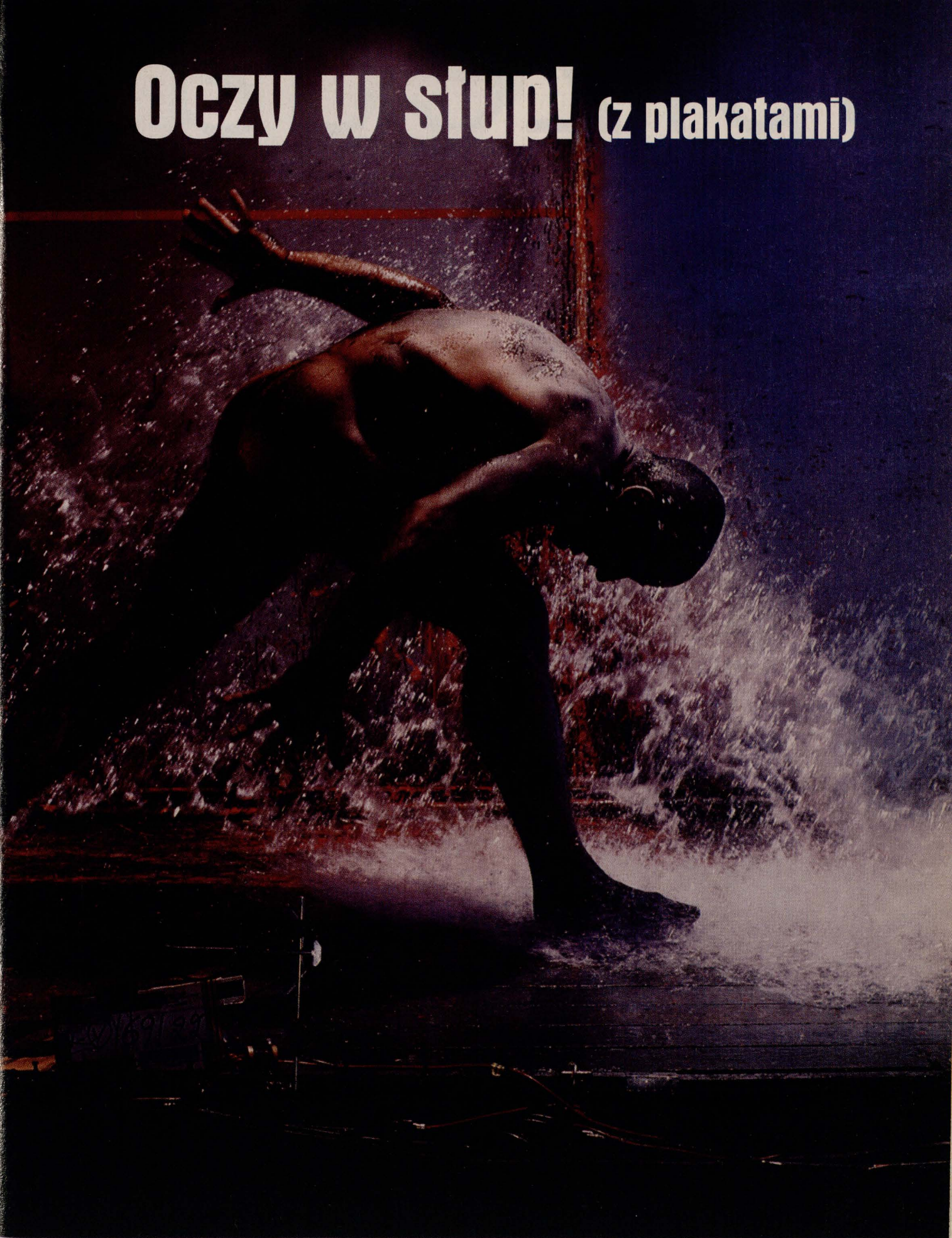
Jaki będzie wynik finału?

– Odpowiem podobnie jak papież Jan Paweł II w wigilię meczu Polska – Włochy: Oczywiście, że znam już wynik, ale zdradzę wam go dopiero jutro.

Rozmawiał LESZEK MAZAN



Gladde jongens



Oczy w stóp! (z plakatami)

„Mili chłopcy używają prezerwatyw najlepszej jakości i odpowiednio nawilżanych”, N.V. Imagine, Belgia

Gladde jongens gebruiken condooms van prima kwaliteit en doende glijmiddel op waterbasis

sensoa

Sprzedam przyjaciela

3 lata gwarancji, raty

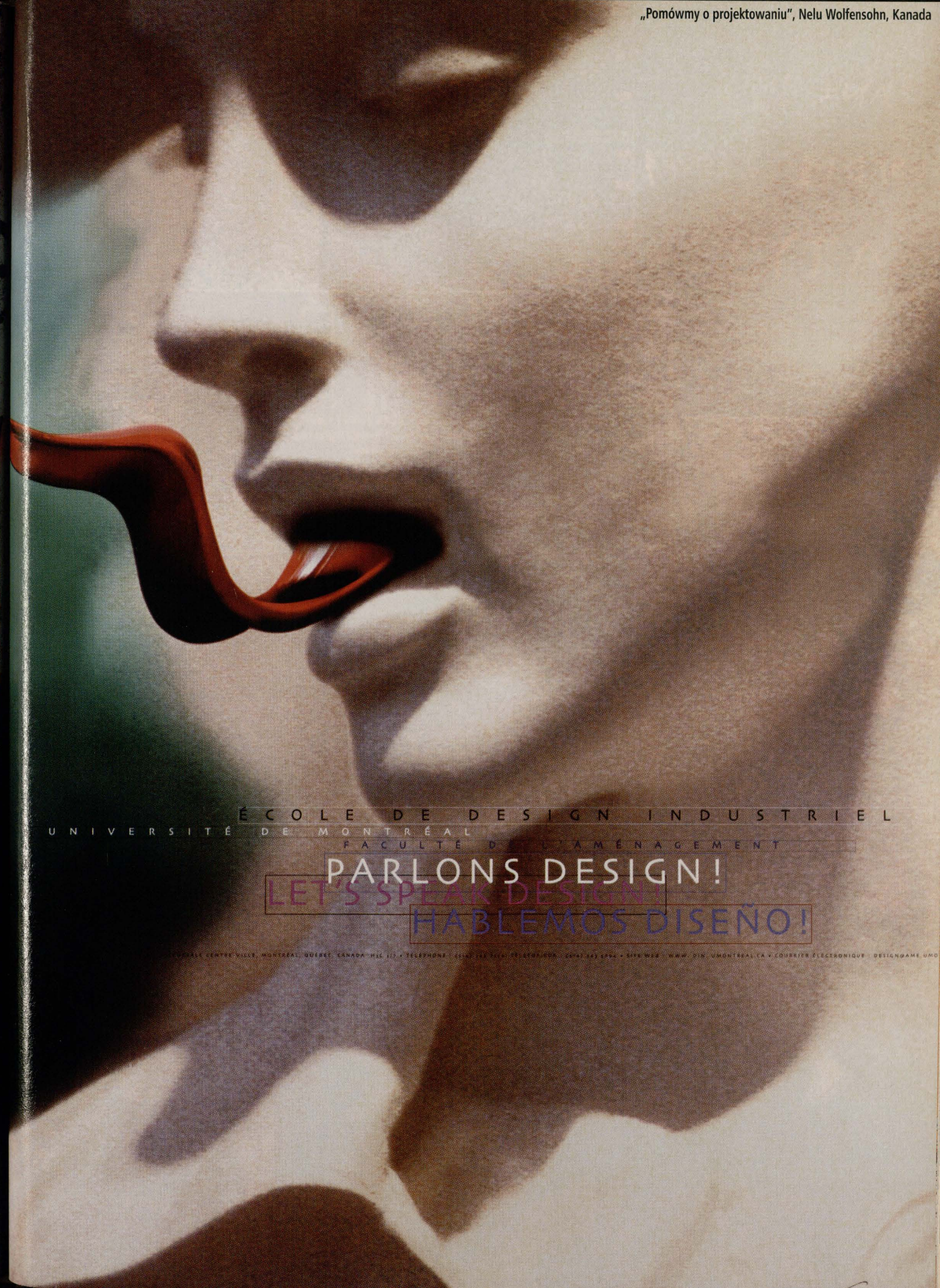
tel. 0-501 76 40 32

„Sprzedam przyjaciela”, Aleksandra Ubukata, Polska



KLONEN
Xiseller K8mmentar znr Bisknzi80 H8er die G8nterhoik
KTONEN

„Klon”, Jianping He, China



„Pomówmy o projektowaniu”, Nelu Wolfensohn, Kanada

ÉCOLE DE DESIGN INDUSTRIEL
UNIVERSITÉ DE MONTRÉAL
FACULTÉ DE L'AMÉNAGEMENT

PARLONS DESIGN!

LET'S SPEAK DESIGN!

HABLEMOS DISEÑO!

1000 RUE DU CENTRE VILLE, MONTRÉAL, QUÉBEC, CANADA H3C 1J7 • TELEPHONE: (514) 343-7441 • TELEFAX: (514) 343-7442 • SITE WEB: WWW.DIN.UMONTREAL.CA • COURRIER ÉLECTRONIQUE: DESIGN@DIN.UMONTREAL.CA

PANIE BOŻE
JESTEM CZARNY
A TY?



Fest auf dem Bertramshof
1.-3. September 2000

Freitag, 1. September

17.00 Wechseljahre einer Kaiserin
von und mit Susanne Weinhöppel

19.00 Ich pack's
Ein Solo über Frauen von und
mit Simone Solga

21.00 Wie is'n die in echt?
Ein Kabarettprogramm von und
mit Lisa Fitz & Band

Samstag, 2. September

16.00 Luxus - Damensole in Rot
von und mit Anka Zink

17.30 Nur keine Angst
von und mit Martina Brandl
Am Piano: Martin Rosenkranz

19.00 Satisfaktions
Aus dem Tagebuch einer Kabarettistin
von und mit Gabi Ledermeier

21.00 Hängelatten de Luxe
von und mit Désirée Nick
Am Piano: Volker Sondershausen



BIENNALE 2002

Od góry: „SISI Moda”, Agata Bogacka, Polska;
„Król Henryk IV”, Andrey Ribakov, Rosja;
„Ku Klux Klon”, Lex Drewinski, Niemcy;
„Zdrowie i uroda”, Pierre Emmanuel Meunier, Francja;
„Znikający obywatel”, Gerard Paris-Clavel, Francja;
„Lautrec”, U.G. Sato, Japonia

Na stronie obok od lewej:
„Panie Boże, jestem czarna, a Ty?”,
Katarzyna Grupińska-Kiryłło, Polska;
„Święto w Bertramshof”, Dirk Streitenfeld, Niemcy;
„Ręka”, Andrew Mockett, Wielka Brytania;
„Nowe wydanie. Teraz w sprzedaży”,
Koji Mizutani, Japonia;
„To jest po chińsku”, Magallanes Alejandro, Meksyk;
„Process Center Co., Ltd.”, Shuzo Kato, Japonia;
„Ty i ja”, Małgorzata Burakowska, Polska;
„Nowość”, Paweł Myszka, Polska

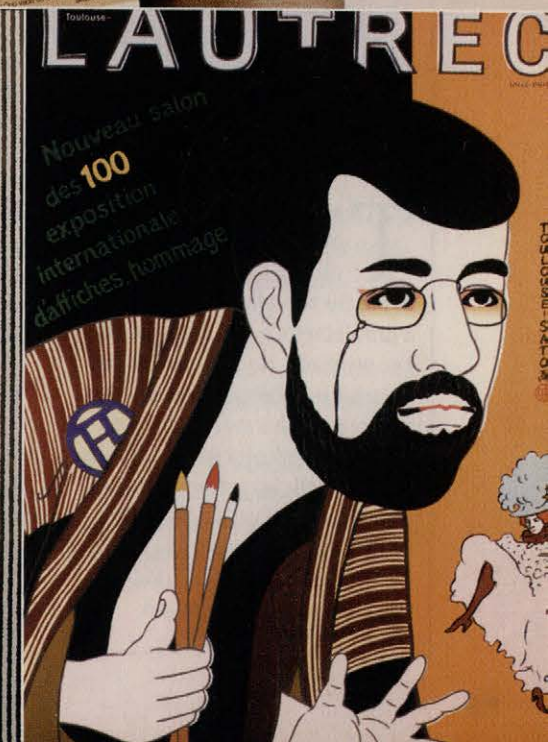
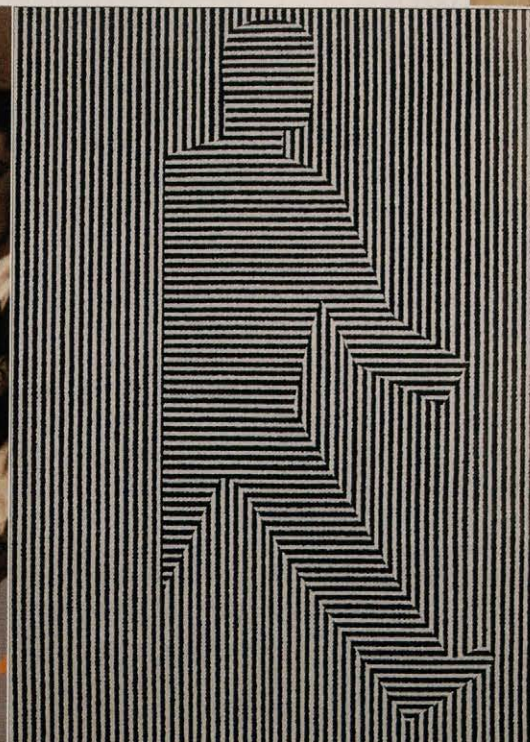
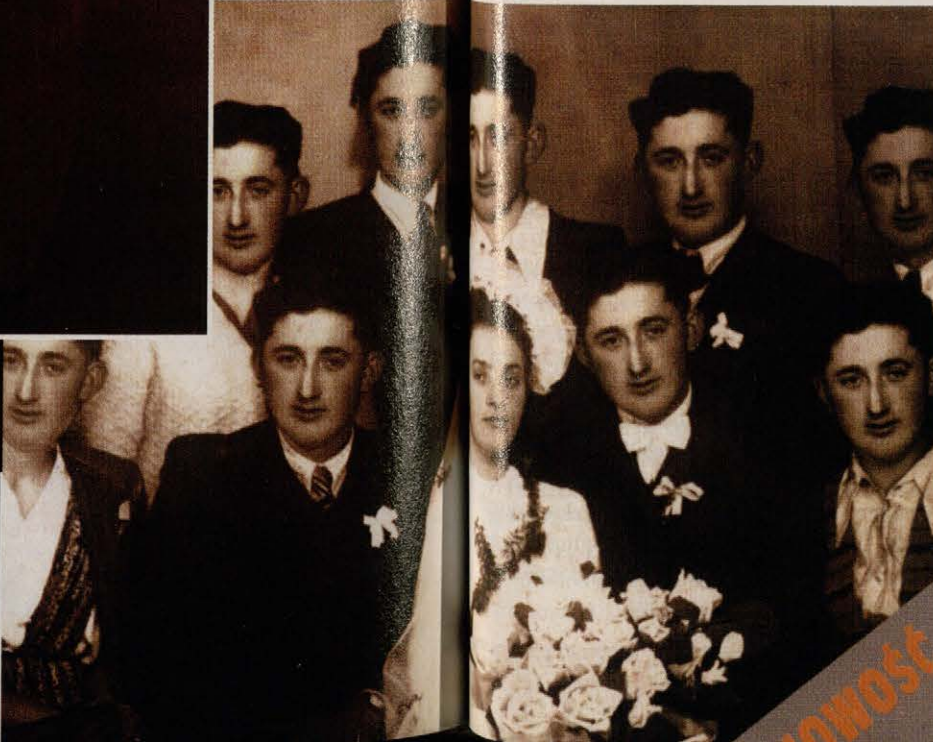
Dziękujemy Muzeum Plakatu w Wilanowie za udostępnienie materiałów

Międzynarodowe Biennale Plakatu odbywa się w Warszawie od roku 1966. Jego inspiratorem i wieloletnim organizatorem był profesor Józef Mroszczak. Biennale było jedynym wydarzeniem plastycznym o randze międzynarodowej, które odbywało się w tamtym czasie w Polsce. Do dziś sytuacja właściwie się nie zmieniła.

W pracach jury biorą udział najsłynniejsi graficy z całego świata. Tu zaczynała karierę wielu znanych dziś plakacistów, na przykład graficy japońscy, którzy przez wiele lat traktowali imprezę jako swoje okno na świat.

Tegoroczne – 18. – biennale odbywa się w swojej stałej siedzibie, w Muzeum Plakatu w Wilanowie, od 8 czerwca do 30 września.

W „Przekroju” przedstawiamy nasz subiektywny wybór najciekawszych plakatów. Warto jednak obejrzeć całą ekspozycję.



Bosa boska Évora

— rozmawia z Filipem Łobodzińskim

Najpierw było lanie w Korei (0:4), potem w Polsce (ulewa). A Césaria Évora mimo rzewnego nastroju piosenek znów przywiozła nam atlantyckie słońce

Tylko szyba oddziela nas od zalanej warszawskiej ulicy. Obsługa hotelu wreszcie zdołała sobie poradzić z problemem, gdzie mają się odbyć wywiady. Na stole przed pieśniarką pojawiła się od dawna wyczekiwana kawa. Jestem zachwycony od pierwszej chwili – jej oczami, jej ustami i uśmiechem. A także tym, że przypomina mi pewną przyszywaną ciotkę – tamta też lubiła mieć dużo ze smakiem dobranej biżuterii.

Césaria ciężko podnosi powieki, mówi powoli i spokojnie. Nie ospale, tylko z jakąś buddyjską zadumą. Myślałem przez chwilę, że to zmęczenie wywiadami.

– Nie, jestem przyzwyczajona, to część mojego życia.

Czy to już gwiazdorstwo? Raczej proste stwierdzenie. Musiała zaakceptować fakt, że jest swego rodzaju dziwolągiem na światowym rynku – kobietą, która po latach śpiewania w małym zakątku egzotyki nagle staje w światach

wielkiej rampy. Dziś rzadko kto tak robi karierę. Zresztą nie tylko dziś.

– Ja zaczęłam śpiewać w wieku 16 lat, więc też byłam młodzieńką, jak współczesne gwiazdy. I nagle, na początku lat 90., odkryto mnie we Francji. Jeździłam tam wcześniej, śpiewałam dla emigrantów z Wysp Zielonego Przylądka, ale kariera międzynarodowa to było otwarcie na świat. Nagle znalazłam przyszłość. Na Wyspach trudno jest robić plany na przyszłość, bo tam w ogóle nie jest łatwo żyć. Dzięki karierze wydobyłam się z marazmu.

Śpiewa od lat na całym niemal świecie: w Europie, w Ameryce Łacińskiej, w Afryce, nawet w Azji i Australii. I wszędzie jest otoczona

szacunkiem i uwielbieniem. A śpiewa „raptem” piosenki z Wysp Zielonego Przylądka, republiki, o której istnieniu 10 lat temu pewnie nikt w Polsce nie wiedział. Jak to się dzieje? Czy łatwo przełożyć tamtą rzeczywistość na język zrozumiały gdzie indziej? W zalanej deszczem Polsce?

– Przekazuję emocje związane właśnie z tamtą kulturą. Nie sposób sprawić, by słuchacz w Polsce mógł poczuć się mieszkańcem Wysp, ale wystarczy, że odczuje silne emocje choćby trochę podobne i zadanie jest spełnione. Nie próbuję przekazać informacji o rzeczywistości Wysp, śpiewam po kreolsku, a więc w języku nierozumianym szerzej. Sama muzyka i głos muszą przekazać emocje.

Césaria mnie w dłoniach pudełko po papierosach i spogląda melancholijnie na zmokniętych przechodniów.

– Najcieplej odbierana jestem we Francji, bo tam właściwie zostałam „odkryta” dla świata. Francja stała się też takim punktem odbicia, dzięki niej mogę na przykład przyjeżdżać też do Polski – z Wysp Zielonego Przylądka nie mogłabym o tym marzyć.

Tęsknota mieszka w morzu / ono nas oddziela od innych krajów / ono nas oddziela od naszych matek i przyjaciół – śpiewa w piosence „Mar é morada de sodade”. Chyba więc niełatwo znieść rozłąkę, nawet jeśli jej powodem są koncerty albo nagrania w studiu...

– Nagrywałam płyty w różnych krajach. Brazylijczycy i Kubańczycy są podobni wrażliwością do nas, więc czuję się tam prawie jak w domu. Oni są jak krewni. Studio ze swoim sprzętem nie jest w stanie tego zabić. Natomiast we Francji czy w Stanach mieszka bardzo dużo moich rodaków, więc czuję wsparcie duchowe. Nie, nie jestem wyobcowana.

Niektórzy radzą sobie inaczej. Wożą ze sobą maskotkę albo szukają ulubionej potrawy... Césario, na pewno ma Pani jakieś danie, które szczególnie lubi, taki symbol domu rodzinnego. Ja sam najbardziej za granicą tęsknię za żurkiem.

– Uwielbiam gotować, rzeczywiście głównie potrawy z Wysp Zielonego Przylądka. Nie mogę się równać z moją matką, ona była kucharką z prawdziwego zdarzenia, natchnioną rozpoznawano i chwalać jej potrawy. Mamy tam dużo dań na Wyspach, ale takim najbardziej typowym, które towarzyszy nam często cały dzień, jest *cachupa* z kukurydzy i fasoli. Rano jadamy to w postaci gęstszej, później w ciągu dnia *cachupa* staje się czymś w rodzaju zawiesistej zupy. To oczywiście biedna potrawa, dlatego też jest najłatwiejsza i najpowszechniejsza. Każda kucharka z Wysp potrafi *cachupę* ugotować. Jadałam ją w różnych krajach: na Kubie, we Francji, w Stanach, nawet w Australii – wszędzie przygotowaną przez kucharki pochodzących z Wysp Zielonego Przylądka, wszędzie też smakowała tak, jak powinna, to

znaczy przypominała mi mój kraj rodzinny... – i znów ten uroczy, tajemniczy uśmiech. – Ale najlepiej spożyć ją na moich Wyspach.

Dopiero co śpiewała w Zabrzu, po kilku tygodniach znów gościmy Césarię w Polsce, tym razem w Warszawie. Koncert do koncertu niepodobny, zapewne... Może są jakieś momenty w trakcie występu, na które czeka szczególnie, punkt kulminacyjny? Samo wyjście? Albo końcówka? Zaprzecza. Można się było spodziewać.

– Cały koncert. Od początku do końca, kiedy jestem przed ludźmi. Różnicuję emocje, ale żaden moment nie jest mniej ważny.

Césaria bawi się złotą bransoletką próżno odbijającą szare światło dnia. Deszcz jakby się wściekł, zaczyna walić o szyby.

– Mój głos i atmosfera na koncercie to jest moje tworzywo, jak dla rzeźbiarza kamień. Sama nie tworzę, raczej szukam piosenek, szczególnie lubię te starsze, napisane przez nieżyjących już dziś kompozytorów. W nich jest więcej uczuć. Te stare wzory są wciąż aktualne, dzisiejsze piosenki są bardziej pisane z myślą o rynku. Nie wiadomo, czy przetrwają. Chociaż... – zawieszła na moment głos. – Jest jedna melodia, którą sama ułożyłam, a mój przyjaciel ją zapisał. Na ostatniej płycie, piosenka „Ponta de Fi”. Opowiada o pewnym barze na rogu w mieście São Vicente.

Jej znaki rozpoznawcze to pieśni, głos, wywołane emocje, ale także ten drobny element scenografii: bosa stopy. Od lat wychodzi na scenę bez butów, chcąc dać wyraz solidarności z ubogimi kobietami Trzeciego Świata. Ale przecież nie chodzi na bosaka cały czas... Spoglądam pod stół: ma na nogach zwykłe „wsuwki”.

Wybucha śmiechem.

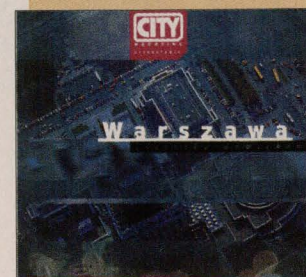
– Chodzę boso od urodzenia... Ale to nie tak, że nie lubię butów. Kiedy jestem poza Wyspami, wożę ze sobą mnóstwo butów. Nie mam ulubionej pary, ale mam ulubiony rodzaj – klapki!

Césario, tu jest zimno.

Obydwoje patrzymy na siekane atakiem ulewy kałuże.

– No – przyznaje w końcu – tu boso... byłoby jeszcze gorzej. ■

Próba wyobraźni



„Warszawa: ścieżka dźwiękowa”

– bierzesz do ręki płytę i myślisz o filmie dokumentalnym o wielkim mieście pierwszych lat trzeciego tysiąclecia. O reporterze z ukrytym mikrofonem, który nagrał dźwięki miasta: autobusowego barda

– staruszka wyśpiewującego *a cappella* w ikarusach i neoplanych oszołomską pieśń o „farbowanych” demaskującą Michnika, Geremka i Piskorskiego; dziadka Hendriksa – gitarzystę z siwą brodą, który pod Rotundą na zwykłej akustycznej gitarze podłączonej do przetworników wygrywał niekończące się solówki; ruską kapelę bałałajkową grywającą „Whiskey In The Jar” Thin Lizzy na Centralnym; indiańskie grupy produkujące Beatlesów w peruwiańskiej aranżacji pod Juniolem; wreszcie stada Cyganiątek z akordeonami wsiadające i wysiadające z tramwajów na Jana Pawła. Kosmopolis.

Ale to nie ten film. I nie ta muzyka.

Tutaj – Staszek Śnieżko przepitym głosem praskiego menela opowiada historię szajki złodziei sklepowych, choć tylko on. Nowoczesne, elektroniczne dźwięki stanowiące dlań w tym utworze podkład dominują na tej składankowej płycie, tylko w trzech z 13 nagrań głos pełni równorzędną rolę. Więc czujesz się tak, jakby ktoś zaprosił cię nie na reporterski dokument, lecz fabularyzowany obraz zrealizowany przez awangardowych artystów.

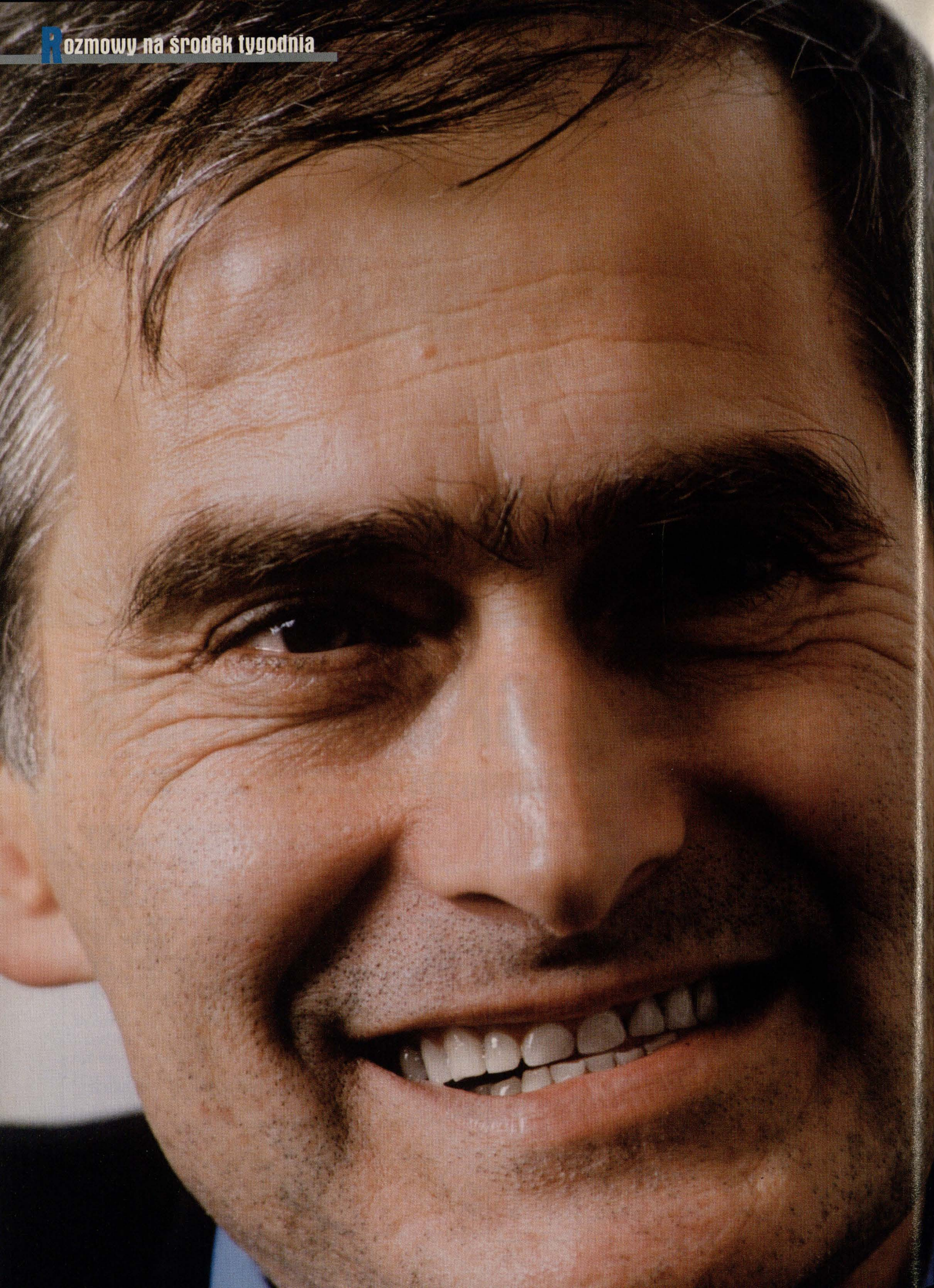
„Warszawa: ścieżka dźwiękowa” zainspirowana przez miejskie pismo „City Magazine” jest wyjątkowym u nas projektem. Młodych stołecznych muzyków znanych głównie z koncertów w alternatywnych klubach zaproszono do zilustrowania swoimi kompozycjami nieistniejących filmików o ważnych dla nich miejscach.

I wszystko teraz zależy od twojej wyobraźni. Czy wylowisz z towarzyszącemu Śnieżce nagrania Cpt. Sparky dzieciaki kojarzące się z milicyjnym serialem „07 zgłoś się” o dzielnym poruczniku Borewiczu? Czy skoczna melodyjka w „Osiedlu Przyjaźni” zespołu Baaba wywoła obraz sowieckich budowniczych Pałacu Kultury i Nauki zabawiających się w drewnianych domkach wzniesionych dla siebie na czas budowy hen, daleko, na Jelonkach? Czy w monotonnych dźwiękach Poche zobaczysz powtarzalne ruchy siatkarki z neonu na placu Konstytucji? A angielski wokal kosmopolitycznej Nuno śpiewającej z Modfunkiem roztoczy przed tobą wizje dalekich podróży rozpoczynających się właśnie na Okęciu?

Tego nie wiem, ale chyba warto spróbować...

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Patryk Zakrocki, Cpt. Sparky, Baaba, Elektrolot, Pustki, EA, Jacek Sienkiewicz, Poche, Membrana, Arkona, Adamus, Nuno + Modfunk, Małysz. „Warszawa: ścieżka dźwiękowa”, koncepcja i redakcja Tomasz Plata, City Magazine/Sony Music Polska, 2002. Bohaterowie płyty wystąpią 21–22 czerwca na festiwalu „City Magazine” w warszawskiej galerii Off (koło Teatru Nowego).



z OLGIERDEM
ŁUKASZEWICZEM
prezesem Związku
Artystów Scen Polskich
rozmawiają
Świetlicki & Dyduch;
zdjęcia Bogdan Krężel



Co Prezes może



Pan Prezes Olgierd Łukaszewicz przyjął nas po prezesowsku, w sali prezydialnej. Czyli godnie. Żadnego fraternizowania się. Prezes w naszym życiu to był raczej egzotyczny, toteż nie ma co ukrywać, że straciliśmy rezon i sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż to sobie imaginowaliśmy. Cały kunsztowny zestaw 21 pytań leżał w gruzach jak miłość Wokulskiego do Łękiej. Nowa życiowa funkcja Pana Łukaszewicza przesłoniła wszystko. Zanim zdołaliśmy o cokolwiek zapytać, Prezes zagał, myśl rozwinął, a zakończył tak oto:

– A ja powiedziałem tak: ile razy wleżę na mównicę, tyle razy będzie z ambony, bo po to dostałem tę ambonę, żebym w tym tonie mówił. To jest czas, w którym trzeba walić młotem, jak powiedziałby Wyspiański.

W tej sytuacji nie pozostało nam nic innego, tylko podjąć wątek prezesury:

Czy grał Pan kiedyś prezesa?

– Grałem przewodniczącego rady zakładowej w filmie według opowiadania Himilsbacha.

Jak Pan się czuł jako filmowy prezes?

– Bardzo zaangażowany.

Czy to aby dobrze być zaangażowanym?

– Uświadomiłem sobie, że gdyby nie nasz etos pionierów z czerwona chustą, rocznik 1968 nie pojawiłby się pod krakowskim i warszawskim Mickiewiczem, aby rozliczyć z bajki ideologicznej te szuły z rządu. Jest przerażające, że wielu nie ma w sobie tego instynktu społecznego. Okazuje się, że bajka propagandowa, z jednej strony taka komunizująca, z drugiej ministrancka, i cały ten etos katolicki, który w sobie mam, nie są sprzeczne. Poświęcenie dla wspólnego dobra, pewien rodzaj idealizmu – to wszystko w naszej generacji jest zakorzenione.

Czy uważa Pan, że został prezesem w najgorszym dla świata aktorskiego momencie?

– Oczekiwania związane z moją osobą wyniosły mnie do roli kandydata w sposób dosyć rewolucyjny. Pan Minister Kultury twierdzi, że nam chciał pomóc, tuż przed zjazdem. Dopomógł – dał kopa. Ja z etosem pioniersko-ministranckim, nauczony pewnej mimikry i nauczony pewnego sposobu rozmawiania z władzą, zastanawiałem się nad tym, jak można by było to, co jest obecnie, obrócić na dobre. Wygłosiłem przemówienie, w którym stwierdziłem, że uratować nas mogą tylko marzenia. Marzenia z fantazją. Im biedniej, tym odważniejsze marzenia. Pan Minister wyznał, że śledził z uwagą to, co mówiłem na zjeździe.

Przy tak radykalnym stanowisku pojawia się pytanie: co prezes może?

– Prezes rzucił hasło: Związek Scen Polskich, bo może być Związek Artystów Scen Polskich, może być stowarzyszenie dyrektorów, tylko scen polskich nie będzie.

Na pewno Pańska kadencja potrwa długo i zapisze się złotymi zgłoskami w przeciwieństwie do kadencji Pana Ministra, zważywszy, że Pan Prezes jest mężczyzną przystojnym, co, niestety, nie jest dla prezesów normą.

– Dziękuję za zaufanie, widzę, że panowie należą do tych, co pokładają nadzieje w tymże prezesie. Prezes służy pokornie wszystkim. Ogłosiłem taki list pasterski do wszystkich dyrektorów teatrów, do wszystkich artystów zrzeszonych i niezrzeszonych scen polskich, także do siebie, że bym w pełni zrozumiał swoje zadanie i abym je wykonał. Coraz śmieiej marzę. To brzmi troszkę narodowo, tak jakby z XIX wieku, sceny polskie, pachnie tutaj Osterwą, z tą rotą przyrzeczenia, które zaczynało się od słów: „Wstępując w szeregi aktorstwa polskiego, ślubuję...” Te reduty, wojskowe placówki, które walczyły dosłownie o kulturę polską, o język. Wydawałoby się, że to zamknięty

rozdział. Dzisiaj jednak ogłaszam, że reduty są aktualne. Najgorzej będzie z samorządami. A co robiły warszawskie teatry, kiedy likwidowano operetkę warszawską, klasyczną operetkę? Czy ktoś wyszedł na ulice i demonstrował jak we Freiburgu, pałac opony? A co robią polskie teatry, jak wyrzucają ich koleżę, w Rzeszowie? A co robią polskie sceny, kiedy raptem samorząd województwa lubuskiego ogłasza weryfikację wszystkich pracowników instytucji kulturalnych?

Gdybyśmy się zjednoczyli, może moglibyśmy wychować jakiegoś Jaracza...

Jak wiadomo, ma Pan Prezes pomysł na zupełnie nową scenę...

– Prezes chce odpowiedzieć na od dawna artykułowane, jeszcze w roku 1934, pragnienia, aby istniała jakaś scena, na której artyści ZASP będą mogli się pokazać. Aktorzy bez etatu mogliby tam wejść. Bo co robią ci aktorzy? Jest pewna aktorka z Gdańska, która ma akurat przerwę w obsadzie przez miesiąc, jest kolega, który jest kelnerem, gra w teatrze lektur, mamy innych kolegów, którzy zajmują się winem albo smażeniem frytek, biegają po różnych *castingach*, może coś złapią. Pomyślałem więc: postawmy tych wszystkich, a jest ich już kilkuset, w ogniu kamer, w ogniu wywiadów, a przedtem niech wejdą na teren fabryki przy ulicy Białostockiej w Warszawie, niech wyczyszczą tę fabrykę po pioniersku, po ministrancku, niech świątynię swoją tam przygotują.

Plany Pana Prezesa mają swój korzeń ewidentnie w tradycji romantycznej...

– Dokładnie tak. Krzysztof Warlikowski, który jest tytanem pracy tak jak Jarzyna, mówi: dla mnie prawdziwy teatr to jest jak wyciąganie ręki do Boga i choćby się odżegnywał od całej tradycji romantycznej, to mówi tym językiem, tym kluczem, bo wszyscy z niego jesteśmy.

Rozmawialiśmy z różnymi znanymi aktorami i wszyscy oni mieli taki oto epizod w młodości: albo studiowali, albo myśleli o polonistyce.

– Jakbym się nie dostał do szkoły, tobym zdawał na polonistykę. Bałem się gramatyki.

Czemu ta polonistyka i szkoła aktorska często idą w parze?

– Polonistyka – to pewien typ wrażliwości na słowo. Bardzo jest mi przykro, czasami czuję się zażenowany w moim własnym artystycznym środowisku, kiedy się mówi: „słowo”, i tutaj się przedrzeźnia tym „I” przedniojęzykowym, że niby chodzi o jakąś recytację, o pustosłowie. Nie znam innego instrumentu dla porozumiewania się między ludźmi, dla wyjaśniania sobie pewnych spraw, lepszego, wyraźniejszego niż słowo. A dla artystów teatru nie zawsze jest to jasne...

A czy pisał Pan kiedyś wiersze?

– Tak.

Ta dosyć zaskakująca – jak na Pana Prezesa – deklaracja oszłomiła nas niezmiernie. A Prezes z niezmaczonym spokojem oszłomił nas jeszcze precyzyjniej:

– Teraz popelnilem tekst, który był mi potrzebny, tekst o placu Teatralnym. Potrzebowałem pieśni à la Demarczyk, żeby tam Anna Chodakowska śpiewała, wyrażne naśladowanie tych wszystkich klimatów krakowskich. Chętnie bym panom pokazał...

Grzecznie poprosiliśmy o chwilę zwłoki, gdyż obawialiśmy się, że tekst autorstwa Pana Prezesa pochłonie nas całkowicie, a wszak nie po to z Krakowa do Warszawy przyjechaliśmy, by się kunsztowną frazą rozkoszować. Chcieliśmy jednak rzecz wyjaśnić, dlatego musieliśmy paść pytanie takie:

Czy literatura romantyczna, Wyspiański, modernizm to rzeczy szczególnie Pana inspirujące?

– Mówi pan z grafomanem.

To straszna deklaracja jak na prezesa!!!

– Tak. To znaczy z człowiekiem wrażliwym na słowa. Nie dam się sprowokować do żadnych rozmów na temat świadomości mojego warsztatu literackiego, to byłaby czysta uzurpacja i bzdura jakaś. Ale jak mi brakuje tekstu do takich wyczynów, któreśmy robili, to walę i sam piszę.

Pan Prezes był łaskaw zrewolucjonizować nasz pomysł na wywiad i zburzyć plan misterny.

Chcielibyśmy jednak zgodnie z pierwotnym założeniem porównać drogę zawodową i życiową Pana Prezesa i Pana Rektora Jerzego Stuhra... Nie możemy nie wspomnieć o „Seksmisji”. Czy zdarzyło się, że postać, którą Pan w tym filmie zagrał, w jakiś sposób Panu ciążyła?

– Przecież to jest rodzaj auto-parodii właśnie, rodzaj pogodnej kpiny z mojego etosu pioniersko-ministranckiego. Ten etos był już znany wcześniej wielu moim kolegom, odkąd w szkole krakowskiej byłem starostą na roku, a później w Teatrze Powszechnym za dykcji Hübnera zwano mnie stójkowym, ponieważ za kulisami namawiałem do zachowania ciszy, która ułatwiała życie aktorowi twórcemu.

A w szkole podstawowej był Pan przewodniczącym samorządu?

– Ja byłem harcerzem, naprawdę. Byłem też przewodniczącym samorządu. Tak się dobrze złożyło, że te filmy śląskie Kutza też były autentyczną kontynuacją tego, co jako kilkunastolatek przeżywałem.

Co Pan Prezes jako młodziwiec śląski raczył przeżywać?

– Zdobywając odznakę harcerską Służby Ziemi Śląskiej, zrobiłem na przykład wystawę pamiątek z III powstania śląskiego w VII Liceum Ogólnokształcącym w Katowicach-Ligocie i w tejże jednej klasie znalazło się, śmiem twierdzić, więcej eksponatów niż na równoległej wystawie w urzędzie wojewódzkim u Ziętka...

Jeżeli się firmuje czyjś interes, czyjś skok na kasę, to trudno mieć twarz, w którą spojrzymy szczerze i głęboko

– Z beczelnością koloruję swoje role jakimś rysem charakterystycznym, na przykład kolega Stuhra bardzo mi gratulował „Magnata”. Swoją nową rolę życiową traktuję z fantazją i wyobraźnią, także aktorską, zawodową. Niewątpliwie to kwestia języka, którym rozmawiam. Mówiłem już o tej ambonie. Wracam teraz

Pan Prezes po raz pierwszy zwilżył usta wodą mineralną. Zwilżywszy, rzekł:

– Przepraszam, może ta godzina, o której się spotykamy, te ilości narad, powodują, że ton moich wypowiedzi jest dosyć frywolny. Nam się wydaje bardzo zasadniczy...

I tu oblicze Pana Prezesa rozpromienił znany z ekranu urwioskowski uśmiech. Wykorzystaliśmy ten moment słabości i zboczyliśmy z torów okotoprezesuralnych:

Czy uważa się Pan bardziej za aktora teatralnego, czy filmowego?

– Moje ambicje są niespełnione, jeżeli chodzi o plan zdjęciowy. Ale mam już swoje lata, w których nie wypada ani kokietować siebie, ani mieć specjalnych złudzeń. Marzy mi się, że jeszcze to i owo zagram, na razie przeszedłem szkołę pokory dla prezesa. Wziąłem udział w wielu próbach „Wniebowstąpienia” według Tadeusza Konwickiego w reżyserii Macieja Englerta w Teatrze Współczesnym, a mówię tylko cztery słowa. Oby tylko obowiązki prezesa pozwoliły mi być uczciwym i pilnym partnerem dla reżyserów.

Czy jeżeli Pan ma jakieś zadanie przed sobą, to mu się Pan tak poświęca, że przestaje Pan być kimś innym? Czy potrafi się Pan rozdzielić?

z wywiadu dla Radia Zet. Szczególnie mówiąc, wahałem się, bo jak widzę mojego ukochanego kolegę z tym zielonym jęzorem wywalonym, w tych lokach, akurat Radio Zet reklamuje...

tykułować potrzeby duchowe narodu, jego marzenia dotyczące suwerenności, niepodległości politycznej, a także aspiracji kulturalnych, jeżeli to, co było przynależne wyłącznie poetom, intelektualistom, stało

chodu, uważamy się za zaściankowych, za nie dość postępowych. **Czy marzy Pan o reżyserii?** – Reżyserowałem te zdarzenia uliczne, marzenia pewne mam, czy je spełnię, czy nie, może dzie-

nie jako artysta od ministra, urzędnika tym, że nie muszę wyłącznie myśleć o pieniądzu. Ja jako prezes dołożę wszelkich starań, aby i w sejmie, i w parlamencie mówić o potrzebach środowiska, o potrzebie stworzenia warunków do powstawania arcydzieł. Minister kultury nie ma takiej szansy, ponieważ on rozmawia z innymi ministrami. Ale myślę, że etos harcerski upodobał mi się do pana ministra.

Odnosimy nieodparte wrażenie, że Pan Prezes udźwignąłby nas swych barkach i funkcję ministra kultury, czego oczywiście życzymy.

– Pozwól panowie, że nie będę komentował panów wypowiedzi.

Chwilę porozmawialiśmy na tematy polityczne, ustalając przynajmniej nasze poglądy polityczne nie powinny interesować Czytelnika, niemniej podaliśmy w wątpliwość czytanie i wrażliwość popularnego polityka. Prezes zareagował następująco:

– To dziwne, co mówicie, bo panowie przyjeżdżacie z Krakowa, a my mamy relację, że w Krakowie odbyło się spotkanie z przedstawicielami rządu w klubie Pod Jaszczurami, gdzie...

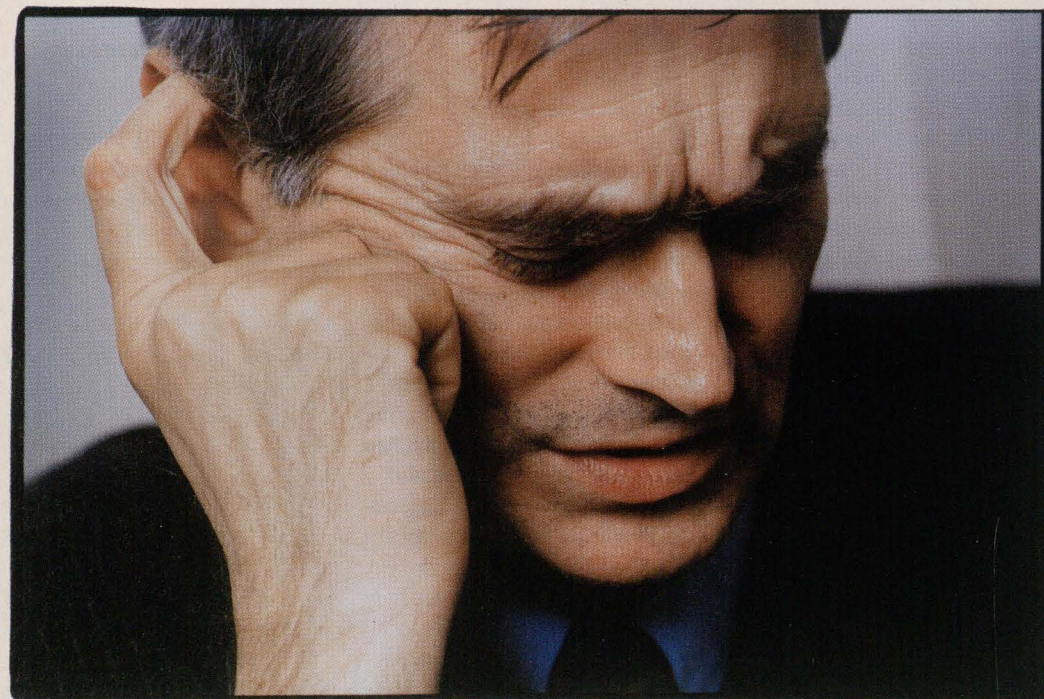
Tu wpadliśmy, po raz pierwszy i ostatni, Panu Prezesowi w słowo:

...nie było nikogo z Krakowa.

– Jak to?

Pokrótkę wyjaśniliśmy kulisy odwiedzin Włodarczy w naszym mieście. Pewne zdziwienie wywołała informacja, że licznie zgromadzoną publiczność stanowili głównie przyjezdni – albo z Warszawy, albo z miejscowości podkrakowskich. Rdzenni krakowianie odnieśli się do owej wizyty umiarkowanie entuzjastycznie. Przepiwszy wodą mineralną, złożyliśmy Panu Prezesowi najserdeczniejsze życzenia owocnych następnych kadencji i słonecznych wielu dni. Wspomnienie uścisku dłoni Prezesa towarzyszyło nam do rogatki Krakowa...

Rozmawiali
MARCIN ŚWIETLIŃSKI
i **GRZEGORZ DYDUCH**



Te ilości narad powodują, że ton moich wypowiedzi jest dosyć frywolny

I tu Pan Prezes był łaskaw wyrazić się nieprecyzyjnie, gdyż Pan Bogusław Linda na inkryminowanym plakacie jest rzeczywiście zielony na gębę, ale język ma w kolorze świeżej hiszpańskiej pomarańczy. Musieliśmy zaprotestować:

Wszak czyni to dla chleba...

– Ja mu życzę jak najlepiej, niech zje, ile może. Ale w tym momencie już nie mówimy o skutkach dla jego talentu, bo on ma nieprzebrane ilości tego talentu i po paru sekundach, oglądając jego rolę, zapominam wszystko, co jest obok, natomiast jeżeli się firmuje czyjś interes, czyjś skok na kasę, to trudno mieć twarz, w którą spojrzymy szczerze i głęboko.

Czy udział w reklamie stawia wiarygodność aktora pod znakiem zapytania?

– Są ludzie, którzy twierdzą, że tak. Jeżeli ten zawód był w stanie ar-

się udziałem także aktorów, mojego środowiska, to zawdzięczamy to pewnym postawom politycznym czasu wojennego. To był olbrzymi kapitał, który został zmarnowany. Ten obraz się zaburza.

Czy w dzisiejszych czasach ta romantyczna wizja aktora jest nadal aktualna?

– Nie chcę być Savonarolą i kiedy w pewnym momencie namawiano mnie na jedną, drugą rolę, odmówiłem, aż wreszcie dałem się namówić na udział w „Plebani”. W „Matysiakach” też mógłbym zagrać. Póki aktor jest aktorem, to jest dobrze, ale kiedy wychodząc ze swojej roli, staje się narzędziem propagandy, a nie sztuki ani nawet nie rozrywki czy kultury popularnej, to zaczyna być niebezpieczne. Mechanizmy handlowe przeniesione do świata kultury mogą zniszczyć naszą tożsamość, kulturę, tradycję. Mamy kompleksy Za-

ki prezesurze przełamie pewne nieśmiałości. Aspiracje są, ale czy będą możliwości?

Czy objąłby Pan Ministerstwo Kultury, aby nie tylko teatr, ale i kulturę uzdrawiać?

Pan Prezes, odchrząknąwszy, zachnął się i rzekł:

– Szanowni panowie, wolno mi mówić i wolno mi się chwalić, że mam drzwi otwarte do premiera bez pośrednictwa innych ministrów, po to, abym przedkładał potrzeby polskiego teatru, a kiedy rozmawiamy w cztery oczy, mówimy nie tylko o teatrze, mówimy także o filmie. Otrzymałem gratulacje od Pani Labudy, rozmawiałem z Panem Kaliszem, wszyscy oczekują ode mnie rozwiązań modelowych, bo sami ich nie mają. Taka też była moja idea. Z próżnego i Salomon nie należy. Ja się róż-

Uśmiech w domyśle

JAROSŁAW KRAWCZYK

Stanowczo twierdzą, że miejsce danego obrazu w przyjętej hierarchii artystycznej wyznacza nie jego wartość czysto malarska, lecz jakiś tekst, który doczepił się do niego i – niczym piękny statek – niesie go przez ocean historii. Przecież na Piera Della Francesca wciąż patrzę przez okulary Bernarda Berensona, a na Witolda Wojtkiewicza – przez okulary Wiesława Juszczaka, mego mistrza i przyjaciela. Po prostu, człek wykształcony nie potrafi skasować w swej pamięci „ścieżki lektur”, którą zapisała w nim kultura.

Oczywiście taki tekst ma, bo mieć musi, najsłynniejszy obraz świata, „Mona Liza” Leonarda, najwspanialsza z wszystkich „kobiet fatalnych” historii sztuki, symbol niedocieczonej kobiecości, melancholijnej, miękkiej, przewrotnej, z wiecznym uśmiechem na pięknej buzi. Rzecz w tym, że Leonardo nie zaprojektował wizerunku żony florenckiego kupca jako portretu wampa. Przeciwnie, chciał namalować – wiemy to z pewnego źródła – całkiem indywidualne, niemal „fotograficzne” oblicze. Tajemniczy uśmiech dobiegał do warg Giocondy dopiero Anglik Walter Pater (1839–1894). Był to oksfordzki profesor, człek cichy i spokojny, ale to właśnie on wymyślił pewien wielce ryzykowny typ piśmiennictwa o sztuce, który zowie się „krytyką estetyczną”, a polega na tworzeniu na kanwie obrazu małych poematów prozą. Najsłynniejszy z nich poświęcił właśnie Monie Lizie. Oto jego fragment w przekładzie moim i profesora Juszczaka:

„Ta obecność, która tak dziwnie wzeszła tu u wód, wyraża to, ku czemu na szlakach tysiącleci szły ludzkie pragnienia. Jej jest ta głowa, na którą wszystek koniec świata przyszedł» i powieki są nieco zmęczone. To piękno z wnętrza wydobyte na powierzchnię ciała jest depozytem, gdzie – komórka po komórce – spoczywają dziwne myśli, fantastyczne rojenia i rozkoszne namiętności (...). Cała myśl i doświadczenie świata działały

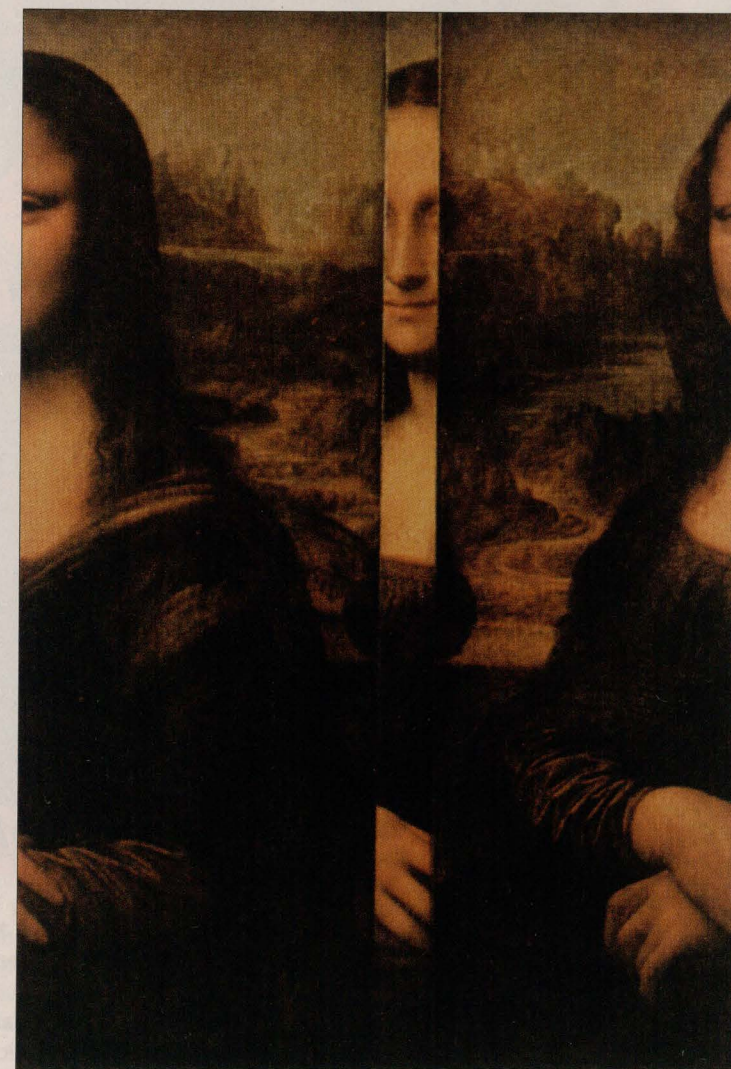
tu jak rytownik i rzeźbiarz, aby wedle danej im mocy oczyścić i uczynić wyrazistą formę zewnętrzną: animalizm Grecji, rozwiązłość Rzymu, mistycyzm średniowiecza z jego duchowymi ambicjami i idealnymi miłościami, powrót

niej ledwie jak dźwięki fletów i lir, i żyje tylko w tej delikatności, która ukształtowała jej zmienne rysy i zabarwiła powieki i ręce...”

Kiedyś rozkręciłem ten tekst jak stary zegarek, pokazując wszystkie mechanizmy jego odniesień. Przykładowo: ów „koniec świata przyszedł” to ukryty cytat z Listu św. Pawła do Koryntian, który odnosi się między innymi do starotestamentowej opowieści o karze, jaką zesłał Pan na lud Izraela, gdy ten w mieście Syttim począł masowo cudzołożyć z Moabitkami i wyjarzmił się kompletnie. Podtekst erotyczny jest tu oczywisty, jak też i wizja wszetecznej, a jednocześnie macierzyńskiej kobiecości, która – przecież kobieta zmienną jest – tajemniczo przepoczwarza się przez wieczność. A uśmiech? No, uśmiech jest w domyśle.

Skądinąd sam Pater miał fizjonomię niezbyt pociągającą – Paul Valéry nazywał go nawet „kochankiem czarodziejki Kirke przemienionym w doga”. Jednakże jego obraz oblicza Giocondy zachwycił oksfordzkich uczniów. Wielki poeta William Butler Yeats pociął ów purple passage (bo tak nazywają ten fragment Angliki) na rytmiczne wersy i uczynił z niego manifest młodej poezji lat 80. XIX wieku, zaś „medialny” przywódca tej generacji Oscar Wilde zwykł przepowiadać go sobie przed oryginalnym obrazem, głośząc, że nie masz Patera nad Patera, a Oscar Wilde jest jego prorokiem...

A dalej to już potoczyło się w historii jak śnieżna kula, oblepiając się kolejnymi warstwami nowych znaczeń. Dlatego też po dziś dzień Mona Liza uśmiecha się tajemniczo i będzie uśmiechać dalej, choć beczelny Marcel Duchamp domalował jej wąsy. ■



Roman Ciesiewicz „Mona Liza”, kolaż, 1969

©ADAGP, PARIS 2002

W radiu widać najlepiej



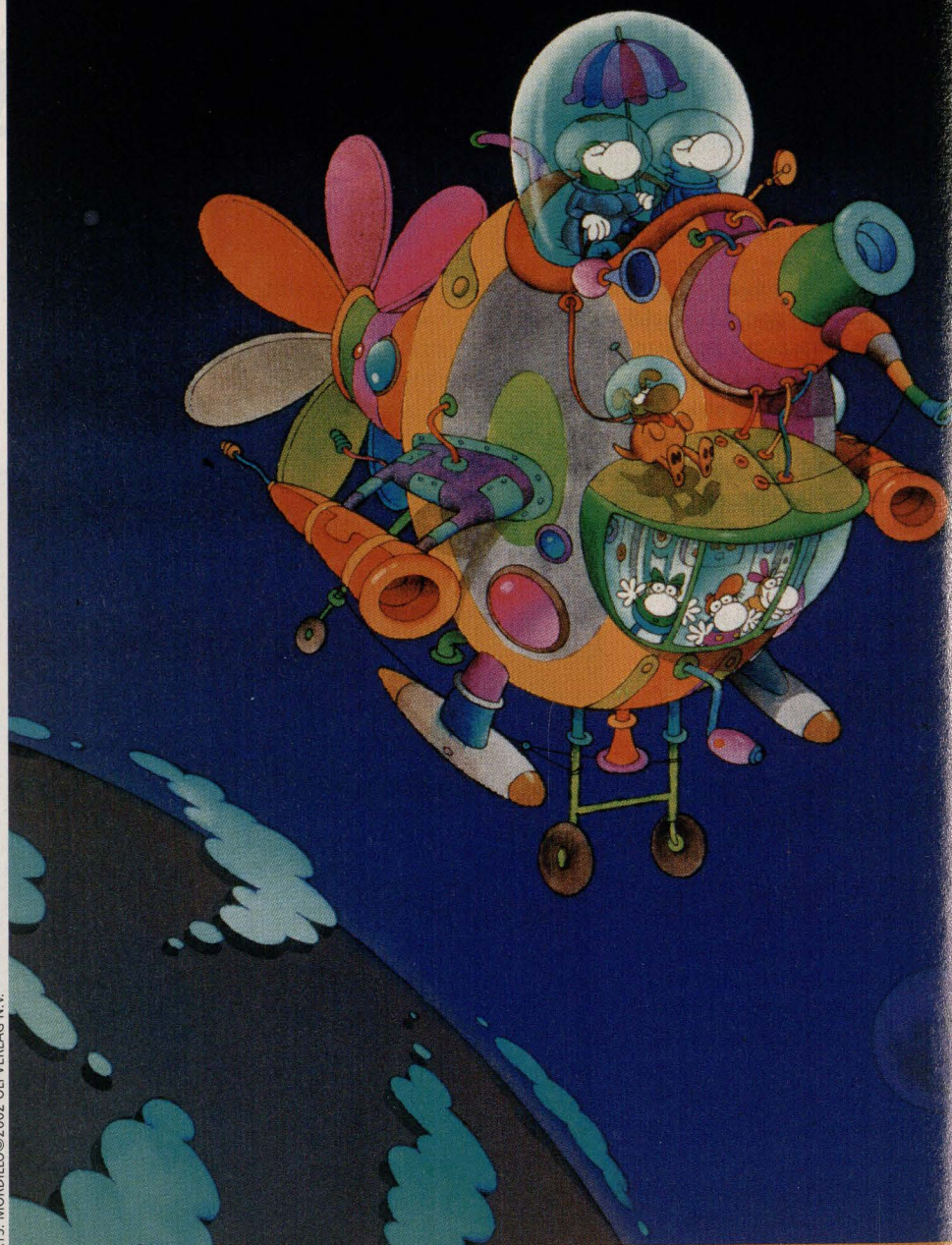
Rzadko słucham polskiego radia, ale tym razem nie miałem wyboru. Oczywiście to skandal, że meczów angielskiej reprezentacji nie można oglądać na żywo w polskiej telewizji – co z równouprawnieniem dla Angolii? – ale co zrobić. Tak naprawdę to trochę się bałem, jak to będzie z tym radiem. Bałem się przede wszystkim bariery językowej, tego wstydu, że ja jako jedyny nie będę rozumiał komentatora. Zupełnie niepotrzebnie. Po wysłuchaniu relacji z meczu jestem przekonany, że były chwile, kiedy wielu słuchaczy nie rozumiało, o co chodzi.

Komentator rozumiał, że bez niego nic nie zobaczymy, że jego oczy to nasze oczy, a może raczej uszy. Czuł więc obowiązek opisywania nam dosłownie wszystkiego, co miał przed sobą.

Początkowo skupiał się na strojach piłkarzy. „Długie białe getry, ładnie kontrastujące z czerwonymi koszulkami Anglików” – ciągnął nasz komentator, malując dla nas piękny obraz widowskiego. Jednak z biegiem meczu mogliśmy się delectować coraz to dokładniejszymi opisami. „Ma czuprynę krótką, przypominającą kilkudniową trawkę na działce, jest lekka, miękka – ale to nieważne” – obrazował nasz komentator.

Nieraz konkluzje sprawozdawcy były zaskakujące. „Obaj mają długie włosy, obaj je związa- li w gumkę – obaj więc mają końskie ogony”. Komentator okazał się mistrzem porównywania. Czarnoskóry angielski obrońca Sol Campbell zrobił na nim duże wrażenie. „Jego białe oczy niczym śnieżynki straszą” – ciągnął nasz komentator. Chwilę później zaś powiedział: „Te jego gałki oczne – tak jak mówiłem: jak śnieżynki – biegną z lewej do prawej strony główki”. Nie wiem, jak to widział z wysokości trybun, ale to już szczegół. I chyba on jedyny wiedział, dlaczego akurat śnieżynki.

Oczywiście, granica pomiędzy dokładnym opisywaniem sytuacji a gadaniem o czymkolwiek jest bardzo niewyraźna – często jest tak, że trzeba po prostu jakoś wypełnić czas. Stąd też te zaskakujące stwierdzenia. „Nadal nie ma goli – nadal zero do zera” – wyjaśniał. A jak już mecz dobiegał końca: „Zostały dwie minuty – a zatem 120 sekund”. Szczególnie mi się spodobała jedna z ostatnich złotych myśli naszego sprawozdawcy: „Gdyby wygrała Argentyna, to szaleliby Argentyńcy”. Podobną sentencję wygłosił komentator meczu Polska – Korea, mówiąc, iż „to szkoda, że Polacy przegrywają”.



Guillermo MORDILLO

Na pewno polscy komentatorzy nie muszą się obawiać, czy dorównują swoim europejskim kolegom, czy nie. W Anglii przejęzyczenia sprawozdawców sportowych stały się tak samo tradycyjną częścią relacji z mundialu jak informacja o liczbie zaarrestowanych angielskich kibiców. Z okazji tegorocznych mistrzostw świata popularne pismo satyryczne „Private Eye” wydało nawet specjalną książeczkę pełną przeróżnych gaf najbardziej znanych brytyjskich sprawozdawców sportowych. Mogliśmy sobie więc przypomnieć, jak J. Greaves powiedział nam, żebyśmy „zamknęli oczy i zobaczyli, co się wydarzy”, lub wspomnieć następującą mistrzowską mowę J. Motsona: „Prawie wszyscy brazylijscy kibice noszą żółte koszule. To przepiękny kalejdoskop koloru”. Więc naprawdę się

ucieszyłem, że w Polsce tradycja robienia gaf przez komentatorów jest równie silna jak w Anglii.

Jak się okazało, mogłem wieczorem obejrzeć powtórkę meczu w Polsce. Rzeczywiście grali pięknie, ale to było dla mnie wielkie rozczarowanie. Nic nie było widać. Ani gałek ocznych „śnieżynek” Campbella, ani czupryn przypominających kilkudniową trawkę. Po pięciu minutach zdegustowany wyłączyłem telewizor. Zostanie wyłączony na resztę mundialu. Bo już wiem, że jak naprawdę chcesz dobrze obejrzeć mecz, to tylko w radiu.

Christiaan van Lierop

Autor z powodu specyficznej sytuacji życiowej kibicuje/kibicował drużynom Anglii i Polski.

TEKST REKLAMOWY

Medycyna równowagi

Ostatnio coraz częściej pacjenci pytają o leki ziołowe. Zainteresowanie dotyczy nie tylko ziół z naszych rodzimych pól, popularne są także preparaty naturalne pochodzące ze Wschodu: Chin, Mongolii czy Tybetu

lek. med. MAGDALENA BRZOSKA

O d niepamiętnych czasów Tybet uważany był za kraj medycyny i roślin leczniczych. Medycyna tybetańska to jeden z najstarszych, w ciągły sposób praktykowanych, systemów medycznych. Nierozdzielnie wiąże się z buddyjską filozofią widzenia świata. Jest medycyną holistyczną i zakłada dążenie do zrównoważenia sił w organizmie. Człowiek widziany jest w niej jako część natury, w której świat roślin, ludzi i zwierząt tworzy jedność. Funkcjonowanie każdej istoty żywej polega na utrzymaniu płynnej równowagi. Zdrowy ustroj podobnie do wahadła zmierza zawsze do punktu środkowego. To położenie jest obszarem harmonii, czyli zdrowia i dobrego samopoczucia. Zgodnie z tymi założeniami celem leczenia i funkcją leków tybetańskich jest przywrócenie równowagi ustroju.

Lek tybetański odznacza się różnorodnością składników. Mogą to być wysuszone części roślin, produkty roślinne, składniki mineralne i związki nieorganiczne. Mieszanek są tak dobrane, że główne i pomocnicze substancje wspierają się wzajemnie, tworząc tak zwany synergizm działania. Zawartość poszczególnych składników w porównaniu z innymi lekami ziołowymi jest bardzo niewielka, na granicy lub poniżej działania farmakologicznego. Końcowy efekt jest znacznie lepszy, niż wynikałoby to z prostej sumy działania jego składników. Kombinacja starannie dobranych składników tworzy nową substancję aktywną o większej mocy leczniczej, w optymalny sposób tolerowaną przez organizm.

Taka kompozycja wyzwała w naszym organizmie delikatne impulsy samoregulacyjne. Jest to szczególnie ważne w przypadku chorób przewlekłych – ze względu na różnorodność czynników, które doprowadziły do rozwoju choroby.

Lekarzowi wykształconemu zgodnie z kanonami współczesnej medycyny zachodniej wiele aspektów medycyny



tybetańskiej może wydawać się zagadkowe, a nawet mistyczne. Wynika to z różnicy kultur i zupełnie odmiennych spojrzeń na zagadnienie zdrowia i choroby. My przyzwyczajeni jesteśmy do opisów budowy chemicznej składników, ich aktywności farmakologicznej i biochemicznej oraz ich efektów klinicznych. Stworzyliśmy choroby, grupując poszczególne objawy i nadając im nazwy chorób, do których dorobiliśmy teorię ich powstawania, posługując się anatomią, fizjologią i patologią, tak jak umieliśmy w danym momencie rozwoju medycyny.

W ciągu kolejnych lat rozdrabnialiśmy się na specjalności i specjalności w specjalnościach. Stąd specjaliści od każdego niemal narządu. Stąd leki na wątrobę, nerki, serce, oko.

Niekwestionowane osiągnięcia nauki z ostatnich lat dotyczące rozwoju immunologii przyniosły nam jednak zupełnie nowe spojrzenie na zagadnienie terapii we wszystkich działach medycyny. Poznanie działania układu immunologicznego i jego ścisłych powiązań z układami nerwowym i hormonal-

nym dowodzi, że organizm ludzki jest całością. Choć jesteśmy zbudowani z wielu różnych wyspecjalizowanych komórek i układów, to cokolwiek się dzieje w jednym z układów, ma wpływ na cały organizm. Musimy także uświadomić sobie, że jesteśmy częścią środowiska i jesteśmy od niego uzależnieni.

Być może zbliża się przewrót w dziedzinie nauk medycznych uznający całościowe spojrzenie na organizm człowieka i jego problemy zdrowotne. Może właśnie immunologia stanie się pomostem, który ułatwi zrozumienie i wzajemną akceptację wielkich kultur medycznych Wschodu i Zachodu. Dalajlama mówiąc: „Nie sądźmy, że tylko buddyści mogą mieć korzyści z medycyny tybetańskiej, również zachodni lekarze mogą korzystać z tej wiedzy”, potwierdza, że medycyna tybetańska nie jest zamknięta w kręgu swego pochodzenia i religii, lecz działa niezależnie i warta jest szerokiego naukowego badań. Nowoczesna medycyna jeszcze nie odkryła wszystkich tajemnic starych receptur.

Peter Parker
(Tobey Maguire) stoi,
jego ukochana
Mary Jane
(Kirsten Dunst) wisi

Świat bez trzymanki

STEWART LEE



FOT. WARNER

Potrafi zrobić wszystko to, co pajak. Pajakopodobny antybohater zdobywa ekrany i bije rekordy wpływów do kinowych kas. Czy jednak film o człowieku-pajaku ma ten sam kontrkulturowy ładunek, który stanowił zaletę komiksu?

Cztery dekady po tym, jak Spider-Man po raz pierwszy pojawił się w 15. numerze pisma „Amazing Fantasy”, film o nim zrealizowany w wytwórni Columbia Pictures uhonorował młodocianego antybohatera budżetem tak wysokim, że – jak twierdzi reżyser – „gdybyście poznali sumę, doznalibyście szoku”. Spider-Man przeżył wprawdzie kiedyś atak obcej istoty wyglądem przypominającej jego samego, ale czy ten wytrzymały bohater zdoła bez szwanku umknąć z Hollywood?

W roku 1962, kiedy piszący komiks za komiksem 40-letni Stan Lee przedstawił swój najnowszy pomysł, jego wydawca Martin Goodman nie tryskał entuzjazmem. Peter Parker, osierocony nastolatek, po ukąszeniu przez radioaktywnego pajaka mógł prząść pajęczyny, wspinać się po ścianach i huśtać między wieżowcami, ale mało brakowało, by nigdy nie wydostał się ze szkicownika swego twórcy. „Goodman powiedział, że chyba straciłem rozum – mówi Lee, recytując znaną historię niczym wyczoną lekcję, czym zdaje się nie być ani trochę zmęczony. – Twierdził, że to nie wypali – z trzech powodów. Po pierwsze, ludzie nie lubią pajaków, więc nikt nie kupi książki o człowieku-pajaku. Po drugie, nastolatek może być najwyżej postacią drugoplanową, nigdy głównym bohaterem. I po trzecie, nie podobało mu się, że Peter Parker ma tyle problemów: cierpi na kłopoty finansowe, nie podoba się dziewczynom, chłopcy go nie lubią, trapią go sprawy rodzinne, uczulenia, astma, wrastające paznokcie. Goodman uznał, że nie mam pojęcia, jaki ma być bohater, bo bohaterowie nie mają problemów i dlatego właśnie są bohaterami”.

Ostatecznie pierwsza historia o człowieku-pajaku ukazała się w ostatnim numerze „Amazing Fantasy”. Pismo upadało, więc nic już nie mogło mu zaszkodzić. Lee zlecił narysowanie postaci Steve'owi Ditko, sądząc, że jego ostry styl lepiej będzie pasował do człowieka-owada niż surowa kreska jego dotychczasowego współpracownika Jacka Kirby'ego, skądinąd twórcy imponującej postaci Niezrównanego Hulka. Przychylność fanów wkrótce uczyniła Spider-Mana sztandarowym bohaterem wschodzącego wydawnictwa Marvel Comics.



Czy Spider-Man zdoła przetrwać także przygodę z Hollywood?

Z perspektywy czasu opowieść Lee o powstaniu Spider-Mana porbrzmiewa smakowitą ironią. To urodzony opowiadacz, który nie tylko czaruje swą skromną powierzchownością i bujnymi wąsami, lecz także jest świadom wagi zachowania integralności mitu, czy to swego własnego, czy postaci, które spłodził. Ponieważ promocja filmu osiąga właśnie punkt kulminacyjny, łatwo zapomnieć, jak radykalnym pomysłem był kiedyś Spider-Man.

Akcja nagrodzonej Pulitserem powieści Michaela Chabona „Amazing Adventures of Kavalier and Clay” toczy się w świecie powojennych nowojorskich wydawnictw komiksowych. Sam Lee, dawniej Stanley Lieber, pojawia się w książce jako jeden z pobocznych bohaterów. Na początku lat 60. superbohaterami byli przeważnie wychudzeni patrioci. Jednak Lee, ubierając nowojorskiego nastolatka Petera Parkera w kostium pająka, wyczuł jakby społeczne przemiany, które miały określić tę dekadę.

Kiedy Ditko odszedł w roku 1965, Lee wraz z różnymi artystami uczynili z komiksu o Spider-Manie jedną z żelaznych pozycji na liście kontrkulturowych gadżetów. Przyszła romantyczna partnerka Parkera Mary Jane Watson

próbowała sił jako tancerka erotyczna. Jego pierwsza miłość Gwen Stacy pomstowała na szowinizm swego szefa – wydawcy gazety Jonaha Jamesona. Zaś obecne w obsadzie wiarygodne postacie czarnoskórych podkreślały retorykę walki o prawa obywatelskie. W czerwcu 1971 roku, kiedy Spider-Man uratował swego pogrążonego w halucynacjach współlokatora przed skutkami działania niezidentyfikowanego narkotyku, Lee wymierzył cios w dziedzictwo ery McCarthy’ego w postaci Komisji do spraw Komiksów (Comics Code Authority) – 97. numer zeszytu „Amazing Spider-Man” był pierwszym od czasów lat 50. komiksem, który wypuszczono na rynek bez okładki oficjalnie przez nią zaakceptowanej.

W końcu dzieło Lee kontynuowali młodszy autorzy, on zaś pełnił rolę kierowniczą, przyglądając się z rozpaczą, jak w latach 70. Spider-Man bryluje w telewizyjnym programie rozrywkowym na żywo. „To było dziecinne – pomstuje. – Spider-Man nie miał osobowości ani poczucia humoru. Co tydzień jakiś gość wyskakiwał i mówił: »Hej, ktoś popełnił zbrodnię«, a na to Peter Parker: »Zaraz założę maskę i zrobię z tym porządek«. To

było strasznie papierowe. Nie chciałbym mówić, że telewizja i film są mniej wyrafinowane niż komiksy, ale ich adaptacje często są znacznie gorsze”.

Wielbiciele komiksów jak zwykle traktują najnowsze superbohatera-zdobywcę ekranów z podnieceniem i obawą. Ale w porównaniu z przygotowywaną ekranizacją komiksu „Daredevil” z Benem Affleckiem w roli głównej dzieło Lee wydaje się znajdować w dobrych rękach. Zdobywca Oscara Ang Lee czuwa nad ekranizacją „Niezrównanego Hulka”, a filmowy Spider-Man jest czymś więcej niż tylko katastrofalnym komiksowym mutantem – choć ma swoje wady.

Grana przez Kirsten Dunst Mary Jane Watson z zadziornej heroiny przeistacza się w ochłap wrzeszczącego mięsa. Motywy działania odwiecznego wroga Spider-Mana Zielonego Goblina są mętne, a jego komiecznie pozbawiona wyrazu maska jak na ironię kryje prawdziwie groźną twarz Willema Dafoe. Mamy też niezręczne nawiązanie do solidarności nowojorczyków po 11 września w sekwencji finałowej. Sekwencje akcji mają duszny, komputerowy połysk rodem z gier wideo typu „Tomb Raider”. Jednak Tobey Maguire jako Peter Parker jest odpo-

wiednio zafrasowany, zaś scenariusz nie próbuje przerobić tej lekkiej historii w rzecz mroczną i brzemienne w znaczeniu. Jest lepszy niż większość tak zwanych filmowych wydarzeń. No i pobił rekordy sprzedaży biletów, przynosząc 114 milionów dolarów w premierowy weekend. Można zatem wnioskować, że jeśli producenci podejną do sprzedaży i promocji z większą troską niż Warner Bros w przypadku „Batmana”, filmowego Spider-Mana czeka długi i zyskowny żywot.

Sukces filmu w znacznej mierze jest zasługą renesansowej postaci reżysera Sama Raimiego. To on się uparł, by Petera Parkera grał Maguire, dziwakowaty odtwórca głównej roli, na tyle ekscentryczny, na ile może pozwolić renomowane studio. Wykazał się tym samym zrozumieniem bohatera swych lat dziecińczych. „W opracowaniu Stana Lee i Steve’a Ditko – dyplomatycznie wyjaśnia Raimi – piękno polegało zawsze na tym, że Peter Parker był jednym z nas. Peter nie jest urodziwy, nie jest lubiany, wszyscy się nad nim znęcają, pochodzi z nizin społecznych. Nie jest kwadratowo-szczętkim, pewnym siebie przystojniakiem. Brak mu wiary w siebie. Tak więc kiedy staje się bohaterem, to tak jakbyśmy my sami stawiali się

bohaterami wraz z nim. To właśnie pociągało mnie w tych historiach”.

Patrząc na Raimiego palącego papierosa w pokoju londyńskiego hotelu, trudno nie czuć do niego sympatii. Ma w swym dorobku scenopisarską współpracę z braćmi Coen i udział w produkcji serialu telewizyjnego „Xena, wojowniczka księżniczka”. Porusza się na pograniczu kultury niskiej i wysokiej równie łatwo jak Lee, który wtrącał do swego komiksu cytaty z Szekspira i Kafki. Jednak obróbka postaci tak sławnej jak Spider-Man wiąże się z nieodłącznymi problemami. „Robiąc ten film, przez cały czas myślałem o oczekiwaniach widzów – wyjaśnia ze znużeniem. – Spider-Man to dla wielu osób bardzo ważna postać i myślę, że nie chcą, by ktoś na nim eksperymentował”.

Problemem był nie tylko ewentualny sprzeciw fanów. Raimi musiał też uzyskać zatwierdzenie istotnych zmian przez kierownika produkcji z wydawnictwa Marvel Comics, który niepokoił się, czy zmiany kreacji postaci nie wpłyną niekorzystnie na sprzedaż gadżetów.

Raimi jest zachwycająco skromny: „Starałem się być niewidoczny na ekranie. To nie jest Spider-Man Sama Raimiego. To Spider-Man Stana Lee. Ale byłem bardzo wyczulony na wszelką możliwą krytykę. Niektórzy filmowcy są artystami. Inni to rzemieślnicy. Siebie uważam za dostarczyciela rozrywki. Chcę dać widowni trochę zabawy. Wtedy czuję się spełniony. To żałosne. Jakbym mówił: »Proszę, niech się wam podoba«. Więc kiedy czytam nieprzychylnie opinie o moich decyzjach, jestem bardzo zaniepokojony”.

Raimi jest przesadnie skromny. To rzemieślnik. Robiąc w roku 1982 swój pierwszy film pod tytułem „Evil Dead”, dysponując budżetem 385 tysięcy dolarów, opatentował tak zwaną drżącą kamerę zamontowaną na drewnianej desce mającej symulować zbliżanie się nadnaturalnych istot. 20 lat później jest to nadal przerażające. Czy nie obawia się zatem, że – tak jak postaci z komiksu może stłamsić wielki budżet – jego zdolności zostaną ograniczone przez komputerowo stworzony świat filmu? Czy nie czuje się nieobecny w gotowym produkcie?

„Rzeczywiście, mam wrażenie, że jestem trochę z boku. W »Evil Dead«

dosłownie biegałem po lasach z kamerą, czasem nawet lądowałem na tyłku. To coś innego niż siedzieć z zespołem animatorów, kolorystów i projektantów efektów specjalnych, którzy wspólnie zastanawiają się, czy tu i ówdzie nie trzeba dodać w tle więcej mgiełki albo więcej cienia. Zamierzam jednak wkrótce wrócić do bardziej naturalnego, instynktownego typu filmów. Nie wiem jak, ale to we mnie dojrzewa”.

Na razie nie będzie jednak miał na to czasu. Raimi już podpisał umowę na *sequel* i kupił udziały w Marvel Comics, firmie, której raczej wątpliwa ostatnimi czasy kondycja finansowa ustabilizuje się dzięki ciężkiej pracy nad filmem o Spider-Manie. Raimi mówi, że kiedy Lee obejrzał wstępną wersję filmu, płakał. „Bałem się spytać dlaczego. Czy był aż tak rozczarowany, czy może wzruszony? – śmieje się Raimi. – Chcę, żeby mu się to podobało” – dodaje, poważniejąc.

Teraz jednak zadanie jest już wykonane i podbijająca dziś widownię wersja Spider-Mana jest co najmniej zarówno rozpoznawalna dla czytelników, jak i satysfakcjonująca dla wytwórni. Dziś Spider-Man to wartościowy produkt, który nabrał nowych znaczeń. W zatarciu jego pierwotnej wyrazistości można dostrzec wpływy znacznie liczniejszej grupy twórców niż dwuosobowy zespół, który powołał go do życia w roku 1962.

Lee rozmawiał ze mną po obejrzeniu filmu w dniu premiery i był wyraźnie uszczęśliwiony. Raimi zyskał też parę punktów u miłośników komiksów, bowiem napisy początkowe ze skromnością przypisują stworzenie postaci Spider-Mana Lee i Ditko. Czy Raimi zaprosił Ditko na projekcję? „Hm... nie. Nigdy go nie poznałem. Żałuję, że tego nie zrobiłem, ale go nie zaprosiłem. Czułem, że powinienem wymienić go w napisach, ale nie jestem pewien, czy postąpiłem właściwie. Jedynie z przeczytanych artykułów, nie znając prawdziwej historii, wywnioskowałem, że jego nazwisko powinno się tu pojawić. Wciąż przecież nie wiemy, kto stworzył Spider-Mana”.

STEWART LEE

© Stewart Lee / „The Sunday Times”
Przełożyła KATARZYNA SENDECKA

Dwa tygodnie w kinie

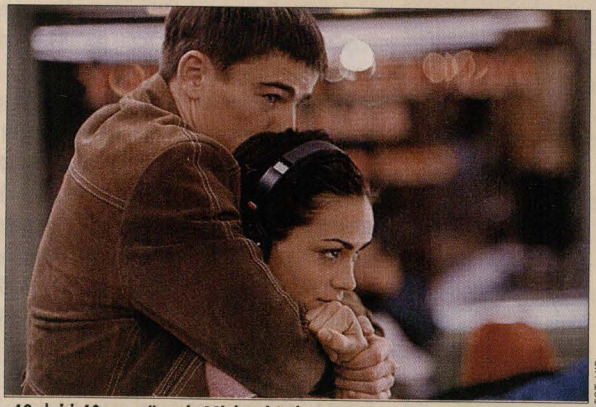
Smętnie się robi w kinach, więc osobom podatnym na depresję radzę trzymać się od nich z daleka. W czerwcu przed nami już tylko jeden istotny film – nagrodzona Złotym Niedźwiedziem na festiwalu w Berlinie „Krwawa niedziela” Paula Greengrassa, o której więcej w numerze następnym.

A poza tym? Nadlatuje „Spider-Man”, który w Stanach zarobił ponad 300 milionów dolarów (Jezus Maria, jakież to podniecające!). Josh Harnett natomiast ślubuje w komedynie Michaela Lehmana „40 dni i 40 nocy” wielki post od seksu. I co tu oglądać?

Na horyzoncie mającą już sympatyczną komedię braci Weitz „Był sobie chłopiec” z Hugh Grantem i druga część przygód „Asteriksa i Obeliksa”. Ale to dopiero w lipcu.



„Krwawa niedziela”, reż. Paul Greengrass

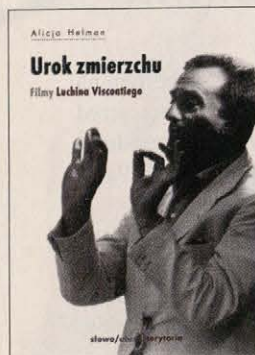


„40 dni i 40 nocy”, reż. Michael Lehmann

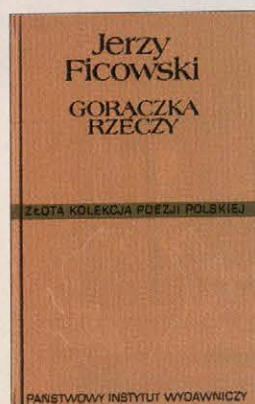
Jak więc żyć w takich warunkach? Poradź, „Przyjaciółko”! Nadrabiać zaległości. Zwłaszcza że wiele wartościowych filmów nawet do dużych miast trafia ze sporym opóźnieniem, ze względu chociażby na znikomą liczbę kopii. Nie przegapcie ostatniego majstersztyku mistrza Roberta Altmana – „Gosford Parku”. Zobaczcie bezwzględnie „Fanatyka” Henry’ego Beana – poruszającą opowieść o Żydzie, co chciał być antysemitą. Znajdą też swoich miłośników „Samotne” Hiszpana Benita Zambrana, bogaty w niuanse portret podwójny matki i córki.

A jeśli już to wszystko widzieliście, to obejrzyjcie jeszcze raz. I może tak, wspólnymi siłami, uda nam się przetrwać kolejne lato.

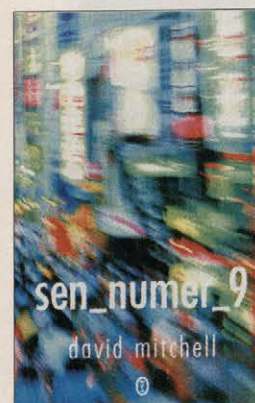
BARTOSZ ŻURAWIECKI („Film”)



Alicja Helman „Urok zmierzchu”.
Filmy Luchino Viscontiego”,
słowo/obraz terytoria,
Gdańsk 2002



Jerzy Ficowski „Gorączka rzeczy”,
PIW, Warszawa 2002



David Mitchell „Sen numer 9”,
przeł. Janusz Margański,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002

Kto dzisiaj ogląda filmy Luchino Viscontiego? Ja, na przykład. I niech będzie, że robię to ze snobizmu, bowiem dzieła tego reżysera są dla mnie idealnym uosobieniem arystokratyzmu kina, współcześnie już nieosiągalnego i niemożliwego. Visconti pokazuje świat tuż przed dekonstrukcją, w ostatecznym zryw i gigantycznym orgazmie. Widowiskową agonię idei, namiętności i konfliktów, które napędzały kulturę modernistyczną. Tytuł książki Alicji Helman „Urok zmierzchu” jest za słaby. Visconti to więcej niż „urok”. To „boska dekadencja”. Helman analizuje kolejno jego filmy, starając się ogarnąć całe bogactwo motywów i kontekstów. Czini to w sposób iście hipnotyzujący. Nawet jeśli niektórych filmów nie widzieliśmy lub nie pamiętamy, pióro Helman rekonstruuje je przed naszymi oczyma. Przelamując tradycyjny podział twórczości Viscontiego na wczesny okres neorealizmu i późniejszy „nostalgiczny”, traktuje całość jego dzieła jak wielką operę z powracającymi motywami, układami i sytuacjami, które łączy „snyderski kunszt” reżysera. Po tak dogłębnej analizie, jaką ofiarowuje nam Helman, rodzi się wręcz pokusa, by zdemaskować, zdekonstruować kunsztowne piękno pałaców Viscontiego, pokazując je z perspektywy tego, kto dorastał i żyje w świecie postdekadencjum. (BŻ)

Poeta Jerzy Ficowski zniknął w cieniu rzuconym przez inne swoje zatrudnienia. Jego nazwisko wywołuje automatyczny niemal ciąg skojarzeń – badacz twórczości Brunona Schulza, wytrwały poszukiwacz szczątków spuścizny drohobyczkiego nauczyciela rysunków, autor studiów poświęconych kulturze polskich Cyganów. A przecież poezja urodzonego w roku 1924 autora „Odczytania popiołów” należy do najistotniejszych fragmentów polskiej literatury powstałej w drugiej połowie XX wieku. Nie tak rewolucyjna jak lingwistyczna liryka Mirona Białoszewskiego, nie tak jaskrawa w egzystencjalnym oburzeniu jak wiersze Tadeusza Różewicza i wreszcie – nie tak czytelna jak parabole Zbigniewa Herberta czy Wisławy Szymborskiej zachwyca czystością obrazu, własnym, „ficowskim”, językiem i niezmierną czułością wobec piękna i okrucieństwa świata. A przywołany powyżej tom wierszy Ficowskiego poświęcony Zagładzie zaliczyć można w nie tak znów liczny poczet najbardziej przejmujących świadectw artystycznych tragedii narodu żydowskiego.

Warto też przypomnieć, że uważność Ficowskiego względem świata widoczna w jego wierszach miała swój odpowiednik w życiowych wyborach pisarza. Zajmował się przecież z pietyzmem obyczajowością cygańską, kiedy Cyganie należeli do „podejrzanych” grup społecznych. W drugiej połowie lat 70. był członkiem KOR-u, jego nazwisko i twórczość objęte były zakazem druku. W nocie poświęconej autorskiemu wyborowi wierszy więcej miejsca poświęcić by może należało samej twórczości, ale przecież „podliczając nieobliczalne”, pamiętać należy także o tym, czego z wierszy się nie wyczyta. (MARBAR)

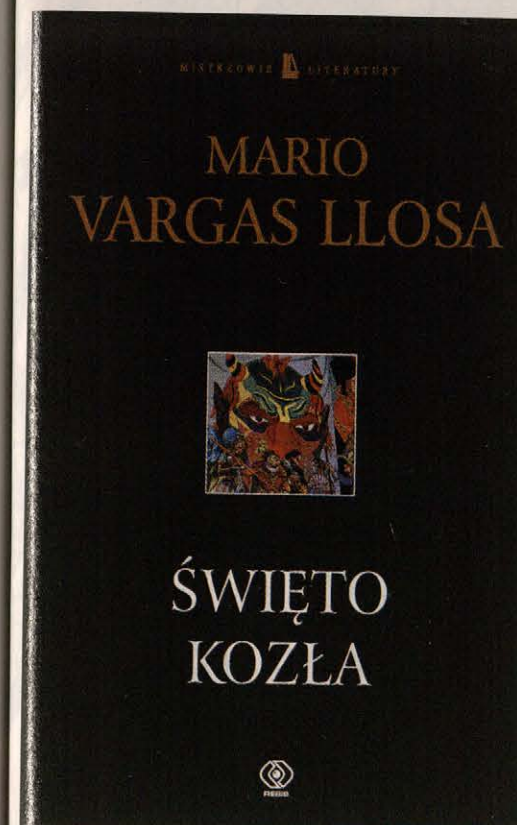
Świat tej powieści napisanej przez młodego Brytyjczyka zbudowany jest z popkulturowych klisz. 20-latek z japońskiej prowincji przybywający do Tokio w poszukiwaniu swojego ojca snuje wyobrażenia dalszego rozwoju własnych losów na podobieństwo scenariuszy sensacyjnych filmów. Wkrótce mrzonki stają się rzeczywistością: sam w taką sensacyjną historię wpada, wpłatając się w coraz paskudniejsze masakry. Mitchell zadbał o najbardziej atrakcyjne (pytanie, czy aby nie nazbyt stereotypowe?) atrybuty japońskości – z okrutną mafią Jakuzi i samobójczymi torpedami z czasów II wojny na czele. Należy jednak podejrzewać, że próba sfilmowania „Snu numer 9” – odwołującego się co chwila do świata kina – zakończyłaby się fiaskiem. Ta doskonała proza jest zdecydowanie do czytania, nie filmowania. Środki artystyczne lokalizują tę książkę gdzieś w pół drogi między cyberpunkiem Williama Gibsona i realizmem Martina Amisa. Ale jest to jednocześnie powieść o doświadczeniu, które porządkuje pragnienia bohatera znużonego nagłymi zwrotami akcji. (PDW)

Śmierć dziewczyna

Przez takich
jak Vargas Llosa
może upaść
rynek książki.
Bo po co kupować
więcej książek,
skoro w tej jednej
mieści się kilka?

Oto czwórka mężczyzn. Siedzą wieczorem w samochodzie zaparkowanym na poboczu szosy wylotowej z miasta. Gdzieś dalej czeka jeszcze dwóch, a potem jeden. Wszyscy ścisną w dłoniach broń i z ledwie skrywanym napięciem wpatrują się w ciemność drogi. Stamtąd ma nadjechać chevrolet bel air, a w nim pewien 70-letni facet. Ów facet to Bestia, a tych siedmiu to zamachowcy. Jeżeli uda im się zabić starszego pana, przejdą do historii, tysiące ludzi zaś odetchną z ulgą. Jeśli nie – ich nazwiska okryje hańba zapomnienia, a ich ciała zostaną poddane okrutnym torturom. Wszystko przygotowano w najdrobniejszych szczegółach... a może nie do końca?

„Święto Kozła” jest powieścią sensacyjną. Oto Urania Cabral, prawniczka około pięćdziesiątki. Po z górą 30 latach przyjechała ze Stanów Zjednoczonych do rodzinnego Santo Domingo, stolicy Dominikany, choć przysięgała sobie, że jej noga tu nigdy nie postanie. Przyjechała odwiedzić zniedołężniałego ojca, który niegdyś był „czcigodnym panem”, przewodniczącym senatu, ministrem, jedną z najważniejszych postaci w państwie, a dziś trudno powiedzieć, czy nadal jest Agustinem Cabralem. Ojca, który przez rodzinę uważany był za wzór uczciwości i szlachetności, a który nie zawahał się przed najgorszym. Urania Cabral przyjechała mu o tym przypomnieć. „Wolę, żeby tak węgował, martwy za życia, i cierpiał”



– wyznaje ze spokojem kogoś, kto wziął dożgonny ślub z koszmarem.

„Święto Kozła” jest powieścią o dramacie rodzinnym.

Oto Rafael Trujillo. „Dobroczyńca”, od 30 lat władający niepodzielnie (choć często nie nominalnie) Republiką Dominikańską. Na jego życzenie stolicę kraju przemianowano na Miasto Trujillo. W kraju roi się od nazw-pomników całej jego rodziny. Trujillo jest panem życia i śmierci kilku milionów Dominikańczyków, ale najbardziej boją się go najbliżsi współpracownicy. Żyją w strachu, że Generalissimus pewnego dnia nie zaprosi któregoś z nich w skład swity towarzyszącej mu podczas wieczornego spaceru. Mamy okazję poznać kulisy funkcjonowania jednej z najbardziej okrutnych dyktatur XX wieku, i to od środka, od strony pałacu Trujillo.

„Święto Kozła” jest reportażem historycznym.

Każdego z zamachowców przywiodła w to miejsce przy szosie inna droga. Jed-

nego – przekonania religijne, innego – rozpacz po utracie ukochanej... Pogmatwane koleje, meandry życia nieuchronnie wiodące pojedyncze losy w jeden punkt. W punkt, gdzie przetną się być może z nicią żywota znienawidzonego dyktatora, który rozdziewicza upatrzone podczas oficjalnych ceremonii dziewczętą, który swoich przeciwników każe zabić ich własnym przyjaciółm, a ciąża wyrzuca rekinom na pożarcie.

Jak się zachować, gdy przyjdzie moment prawdy? Ten moment wygląda różnie. Dla Agustina Cabrala jest to chwila, gdy popada w niełaskę u Szefa, generalissimusa Trujillo. Dla Uranii Cabral – gdy zastanawia się, czy opowiedzieć wszystko, co dręczy ją od lat, czy może pozwolić upiorom odejść w niepamięć. Dla najstarszego ze spiskowców – czy powinien łamać piąte przykazanie. Dla innego – co winien robić, gdy przesłuchujący go szef bezpieczeństwa zechce uczynić zeń swoją popielniczkę.

Jak niemal cała dobra literatura od czasów „Iliady” „Święto Kozła” jest powieścią o wyborach moralnych.

Peruwiański mistrz powraca prozą polityczną, freskiem prezentującym kilkadziesiąt lat niewielkiej republiki karaibskiej. Niech nas nie zwodzi geograficzna skala: to nieprawda, że Dominikana jest mała i leży daleko. Po przeczytaniu „Święta Kozła” ja też jestem Dominikańczykiem. Tę powieść z czystym sumieniem można postawić obok „Rozmowy w »Katedrze«”.

I to pomimo wysiłków zespołu redakcyjnego, który do przekładu Vargasa Llosy podszedł z pewną dozą niechlujstwa. Sporo tu niedopatrzeń, które kłują w oczy, niestety. Do bardziej spektakularnych należy obrazek „dwóch niemieckich pastorów”. Pokraki i Brutusa, którzy biegają po dziedzińcu szkoły. W rzeczywistości chodzi o parę owczarków alzackich.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Vargas Llosa „Święto Kozła”,
Rebis, Poznań 2002



„Kinematografia w Polsce Ludowej”,
wydawnictwo specjalne Filmowego Serwisu
Prasowego, Warszawa 1975; 153 s.

W pracowni filmowej Pałacu Kultury i Nauki, gdzie pod koniec lat 60. zapisałem się z kolegami Łuczakiem i Majerskim na zajęcia fakultatywne, puste blaszane pudła po taśmie piętrzyły się wysoko pod ścianami. Zebrani w dużej grupie czekaliśmy na pierwszy zapowiedziany wykład z historii kinematografii polskiej, podczas gdy wykładowca, młody mężczyzna w zielonej kurtce wojskowego kroju, chodził tam i z powrotem po korytarzu, mamrocząc coś pod nosem i paląc papierosa. „Kolega denerwuje się, bo jego film jest na festiwalu za granicą” – wyjaśnił nam po półgodzinie inny mężczyzna w zielonej kurtce i propozycję przełożenia wykładu na następny tydzień przyjęliśmy w tej sytuacji ze zrozumieniem pełnym szacunku. W następnym tygodniu do wykładu nie doszło, bo któryś z nas, słuchacz, był może Łuczak lub Majerski, przypadkowo włączywszy stojący pod oknem gigantyczny reflektor, oświetlił na moment plac Defilad, co spowodowało natychmiastową interwencję Służby Pałacowej i żmudne ustalanie winnych tego incydentu. W kolejnym tygodniu wykładowca powiadomił nas, że pracownia otrzymała nowy lokal i całe jej wyposażenie przeniesieć trzeba z piętra XVIII na XXIV. Przez kilka godzin pomagaliśmy przy przeprowadzce, dźwigając blaszane pudła, z których nie wszystkie okazały się puste. Gdy upuściłem jedno z nich na ziemię, otworzyło się i ze środka wypadła mała plastikowa szpulka do filmowej taśmy. Wykładowca podniósł ją i zapytał: „Wiecie, jak nazywa się taka szpulka w fachowym języku?”. Nie wiedzieliśmy. „Bobinka” – powiedział i schował szpulkę do kieszeni kurtki. Wróciliśmy do domu nieładnie zmęczeni, ale i z przekonaniem, że o historii kinematografii polskiej nareszcie dowiedzieliśmy się czegoś konkretnego.

ZBMENTZEL@WP.PL



O pisarstwie Josefa Škvoreckiego czytelnik polski mógł sobie wyrobić pogląd na podstawie trzech tylko książek: powieści „Tchórze” (1970), noweli „Legenda Emöke” (1965) oraz wydanego w obiegu niezależnym wyboru „Wyjątki z autosztambucha” (1988). Przedłożony tom jest więc swego rodzaju częściowym spłaceniem długu prozaikowi, którego europejska (i nie tylko) krytyka literacka wymienia jednym tchem obok Milana Kundery i Bohumila Hrabala. Wybór „Pieśń zapomnianych lat”, z którego pochodzi opowiadanie „Z życia dzisiejszej młodzieży”, powstał jakby na przekór niezrozumiałej czytelniczej niechęci do opowiadania jako gatunku. Powód był jeden: Škvorecký jest na tym polu mistrzem. To urodzony narrator, który z samego opowiadania jakiejś historii, choćby o najbłahszej fabule, potrafi zrobić literackie dzieło. Bo, jak powiada sam autor: „Piszę dlatego, że mi to sprawia przyjemność, a nie dlatego, by zostać wielkim pisarzem”.

Ta przyjemność (a nie ból) pisania sprawia, że Škvorecký stał się jednak pisarzem wielkim.

Bodaj najistotniejszą cechą jego twórczości jest sposób postępowania z językiem.

Mowa potoczna, slang, realsojalistyczna drętwa mowa, wreszcie zabawna odmiana emigracyjnej czeszczyzny

– wszystko to znajduje funkcjonalne zastosowanie w poszczególnych utworach.

Pisarz bawi się językiem, pokazując swoje nieograniczone w tej mierze możliwości.

JAN STACHOWSKI

Z ŻYCIA DZISIEJSZEJ MŁODZIEŻY

**Z sekretnego dziennika Adolfa Machanina,
ucznia klasy XI b jedenastolatki im. Klementa Gottwalda w P.**

JOSEF ŠKVORECKÝ

RYSUNKI STANISŁAW MŁODOŻENIEC

Nasze wyznające naukowy światopogląd społeczeństwo z całkowitym powodzeniem zerwało z wszystkimi mieszczańskimi przesądami w dziedzinie wzajemnych kontaktów między obiema płciami, odnosząc w tym zakresie ogromne sukcesy. Niestety, że znacznie mniejszym powodzeniem zerwało z następstwami tychże przesądów, co mogę potwierdzić przykładem z własnego doświadczenia.

18 maja br. ktoś zapukał we francuskie okno mojego pokoju, które wychodzi na ogród. Otworzywszy je, zobaczyłem Janę, bodaj Prochazkową, która uczęszcza do dziesiątej klasy naszego liceum. Znałem ją z widzenia z praktyki robotniczej. Spytała mnie szeptem, czy nie mogłaby przynocować w moim pokoju. Swoją prośbę umotywowała tym, że podczas gdy jej rodzice przebywają akurat na wojewódzkiej konferencji nauczycielskiej, odwiedził ją, niby przypadkiem, sekretarz powiatowej organizacji ZMS z Pardubic, który koniecznie chce z nią zadzierzgnąć stosunki, choćby nawet za cenę małżeństwa. A jako że ona nie zgadza się z jego poglądami na cały szereg zagadnień literatury i jazzu, nie dopuszcza więc myśli o utrzymywaniu z nim jakichkolwiek stosunków, w tym także powszednich stosunków cielesnych. Co więcej, ów sekretarz ZMS z Pardubic spił się jak bela, zatem tym bardziej nie za-

mierza spędzić z nim nocy, ponieważ w razie gwałtu obawia się *ejaculatio praecox*, które niemal zawsze przydarza się zalanym facetom.

Ponieważ tej nocy moich rodziców także nie było w domu, zgodziłem się, żeby Jana, bodaj Prochazkowa, nocowała u mnie. Nadmieniam, że do rana w sumie trzykrotnie uległszy naturalnym dla naszego młodego wieku żądom.

Następnego dnia, w sobotę, jak zwykle każdego tygodnia, między czwartą a szóstą wpadłem do swojej dziewczyny Pauliny Kralowej, uczennicy naszej szkoły. O tej bowiem porze jej rodzice regularnie biorą udział w czynie społecznym pod hasłem „Upiększamy P.”, a wtedy my korzystamy z okazji, żeby dać upust swoim naturalnym potrzebom. Także tej soboty, zresztą jak zwykle, pofolgowaliśmy sobie w sposób jak najbardziej naturalny.

Kilka dni później zaobserwowałem ku swemu niezadowoleniu, że moje zdrowie doznało sekretnego uszczerbku. Co niebawem potwierdzono mi w przychodni. Na żądanie lekarza rejonowego jako sprawczynię podałem Janę, bodaj Prochazkową, ponieważ sądziłem, że jej zawdzięczam tę przypadłość, ona sama zaś złapała ją wskutek stosunku z pijanym sekretarzem ZMS, który to stosunek przede mną zataiła. Poza tym

nie chciałem narażać Pauliny na zbędne biurokratyczne postępowanie choćby dlatego, że jej rodzice niecałkowicie pozbyli się burżuazyjnych przesądów moralnych.

Tuż po powrocie z przychodni powiadomiłem telefonicznie o tym smutnym fakcie Janę, jak się tymczasem dowiedziałem, Pospiszilową. Zapewniłem ją, że sam jestem wyzwolony z wszelkich przesądów i dlatego nie czuję wobec niej najmniejszej urazy, nalegałem jednak, aby w interesie umocnienia zdrowia społeczeństwa także i ona natychmiast skorzystała z pomocy lekarskiej. Obiecała tak zrobić – zresztą i tak doczekałaby się wezwania.

Z kolei stanęło przede mną zadanie delikatniejszej natury: przestrzec Paulinę przed prawdopodobnymi następstwami sobotniego pofolgowania. Spodziewałem się najgorszego – i miałem rację. Paulina, chociaż tak w ogóle ma ugruntowany naukowy światopogląd, bez przyczyny uderzyła w bek i urządziła scenę, w trakcie której postawiła mi kompletnie nielogiczny zarzut, że „zmarnowałem jej życie”. A przecież w grę wchodziło raptem kilka dni, bo działanie penicyliny skutecznie likwiduje wszystkie następstwa w ciągu tygodnia. Dopiero gdy uzmysłowiła sobie, że zaświadczenie o przypadłości mogłoby jej przynieść ewentualne korzyści na maturze, uspokoiła się i poszła do domu.

Na tym jednak jeszcze nie koniec: następnego dnia zadzwoniła do mnie Jana Pospiszilowa, domagając się natychmiastowego spotkania. Przyszła na nie okropnie podenerwowana. Powiedziała mi, że po wykonaniu wszystkich testów oraz badań ginekologicznych lekarz rejonowy uznał ją za całkowicie zdrową, jeśli pominąć nieżyty oskrzeli spowodowany paleniem papierosów. Nie rozumiałem więc, dlaczego jest tak podenerwowana, skoro dla niej wszystko skończyło się dobrze. Wyjaśniła mi, że w przypływie pierwszego, trudnego do opanowania wzburzenia napisała list z wymówkami do swojego chłopaka, niejakiego Karola Stejskala z Hradca Králové, gdzie uczęszcza on do zawodówki. Podobno to jedynie ów Karol mógł być źródłem przypadłości, o którą rzekomo Jana mnie przypawiła. Teraz będzie miała ogromny problem, jak zadowalając odpowiedzieć swemu chłopcu na pytania, które niewątpliwie nasuną mu się po przeczytaniu listu, jeżeli badania

lekarskie wykażą, że jest zdrowy (chyba że sam podłapał gdzie indziej tę przypadłość, co, jak się zdaje, mogłoby Janę jeszcze uratować). Ja jednak nie umiałem poradzić jej, jak rozwiązać ten problem, a tym bardziej, jak odpowiedzieć na pytania, które zaczęły mnie nurtować właśnie teraz.

Ledwie zdążyłem wrócić do domu, a tu znów dzwonił telefon. Była to matka Pauliny Kralowej. Niezwykle surowym tonem oznajmiła, że zmusiła Paulinę terrorem do przyznania,



że to ja przypawiłem ją o tę przypadłość. Następnie powiedziałem – obnażając tym samym swoje prawdziwe, pełne burżuazyjnych przesądów oblicze (miałem dawniej w rodzinie prywatną księgarnię), że żywi nadzieję, iż po tym, co się stało, zachowam się jak dżentelmen. Początkowo nie rozumiałem, co chciała przez to powiedzieć, ale mniej więcej po godzinie

głowienia się uznałem, że przypuszczalnie miała na myśli ślub, i cały aż zakipiałem z oburzenia.

Prędko przemyślałem informacje uzyskane od Jany Pospiszilowej, a także dokonałem przeglądu wszystkich swoich kontaktów z płcią odmienną w ostatnim okresie. Stwierdziłem, że były raczej skąpe. Oprócz wspomnianego młodzieńczego porywu z Janą i regularnego folgowania z Pauliną nie doszło do niczego z wyjątkiem przygody z nauczycielką rosyjskiego, (która w rewanżu poprawiła błędy w zawałonej przeze mnie klasówce), a także w pociągu wiozącym nas z wojewódzkich zawodów LOK-u z tą towarzyszką, którą zapomniałem spytać o imię. Ale oba incydenty miały miejsce na długo przed inkubacją, mogłem je więc z czystym sumieniem wykluczyć.

Pozostawała zatem tylko Paulina. I chociaż było to dla mnie zaskoczeniem, inna możliwość nie wchodziła w rachubę.

Zanim jednak zdążyłem wziąć ją na spytki, ponownie pojawiła się Jana z nieoczekiwaną nowiną: jej chłopak, ten Karol z Hradca Králové, przysłał pełen skruchy list z prośbą o wybaczenie. Z czego Jana będąca dobrą matematyczką wysnuła logiczny wniosek, że Karol (który, w odróżnieniu od niej, widać ma złą pamięć) musiał złapać przypadłość już po ostatnim z nią spotkaniu, do którego doszło niemal cztery tygodnie temu. Oboje bowiem, z powodu oddalenia Hradca Králové od P., folgują sobie tylko raz na miesiąc. Wynikało z tego, że podminowany Karol pośpieszył się z przyznaniem do niepopelnionego czynu, nie dostrzegając sprzeczności między tym faktem a listem od Jany, data którego grubo przekraczała okres inkubacyjny. Niemniej według Jany sytuacja nadal nie była klarowna: Karol wyrwał się z wyznaniem jeszcze przed wizytą u lekarza, wychodząc z błędnego założenia, że Jana mówi prawdę, która pozwoliła mu wnioskować o stanie zdrowia jego przyjaciółki. Fakt, że dotychczas nie zauważył u siebie żadnych objawów, tłumaczył sobie zapewne odpornością nabytą wskutek wcześniejszych zachorowań. Jednak jeśli testy w przychodni będą negatywne, nie można wykluczyć, że na podstawie dostępnych danych dojdzie do logicznego wniosku, który Janie jest bardzo nie na rękę. A wtedy ona będzie musiała się przed nim gęsto tłumaczyć ze swojego pełnego wymówek listu. Niemniej list Karola stanowił dla niej także pewien atut.

Natychmiast po wyjściu Jany udałem się do Pauliny. Powiedziałem jej, czego dowiedziałem się o stanie zdrowia Jany, i w ten sposób w końcu przyparłem ją do muru. Paulina przyznała się, że źródłem mojej przypadłości była rzeczywistość: ona: idąc na ostatnie ze mną spotkanie (podczas którego omyłkowo przyznałem się do winy), postanowiła mi wszystko wyznać. Skoro jednak uczyniłem to ja, odstąpiła od wcześniejszego zamiaru. Umyśliła sobie bowiem, zresztą całkiem słusznie, że jej zacofani rodzice lepiej zniosą wiadomość o przypadłości, którą spowodowałem ja, niż gdyby powiedziała im o rzeczywistym sprawcy, którego w ogóle nie znają, a którego ona sama spotkała w życiu tylko jeden raz.



Ku mojemu zdumieniu wyszło na jaw, że tym przypadkowym sprawcą okazał się nikt inny tylko Karol Stejskal z Hradca Králové. Przyjechał z niezapowiedzianą wizytą do Jany mniej więcej przed dwoma tygodniami, a jako że była ona akurat na dwudniowym szkoleniu dla druhów zastępowych, przypadkowo poznał na kąpielisku Paulinę, po czym oboje jednocześnie ulegli naturalnym w ich młodym wieku żądom w kabine rodziców Pauliny, którzy co roku rezerwują ją sobie u ratownika na dogodnych warunkach.

Ledwie skończyła mówić, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Wyjrzelśmy. O wilku mowa, a wilk tuż. Stał tam winowajca Stejskal, który, kiedy Paulina wpuściła go do środka, natychmiast zaczął ją winić za spowodowanie przypadłości. Najwyraźniej nie uzmysłowił sobie jeszcze rozdziwki między listem od Jany a ostatnim z nią stosunkiem.

Przez chwilę zachowywałem milczenie, lecz wkrótce wmięszałem się do rozmowy i zarzuciłem mu, że nie Paulina jego, tylko on ją przypawił o przypadłość. On jednak okazał lekar-

skie zaświadczenie, z którego wynikało niezbicie, że tuż przed ostatnią randką z Janą właśnie został wykurowany. Pod ciężarem takiego dowodu Paulina przyznała, że źródłem przypadłości Stejskala i mojej jest ona sama, a sprawcą jest prawdopodobnie albo Jerzy Benda z dziewiętej „b” naszego ogólniaka, który w rewanżu już od pół roku pisze za nią zadania domowe z matematyki, albo niejaki Peterka z Pragi, asystent reżysera, który niedawno szukał u nas odpowiednich dziewcząt do filmu o naszej młodzieży. (Ostatecznie jednak sprawcą okazał się zootechnik ze spółdzielni rolniczej w L., o którym Paulina zapomniała). I w ten oto sposób ta cokolwiek nieprzejrzysta sytuacja naszych wzajemnych stosunków międzyludzkich została wyjaśniona i wszystko wróciło do normy.

Z tym wyjątkiem, że Jana Pospiszilowa odkryła, że zaszła w ciążę, a wszystkie okoliczności oraz daty wyraźnie wskazywały na mnie. W tej sytuacji zachowałem się reakcyjnie, czyli jak dżentel-

men. Dziecko, które się urodziło, ma niebieskie oczy, co zgodnie z prawami genetyki (znajomość których wymagana jest przy maturze) wyklucza moje ojcostwo. Ja bowiem mam oczy dziedzicznie brązowe, a jest to kolor dominujący. Więc chociaż Jana jest niebieskooka, niebieskookie dziecko jest w takim wypadku czystą bzdurą. Rzecz jasna, o ile ktoś nie pominął lub nie zataił jakichś innych dat lub okoliczności.

Na pewno dziecko zmajstrował były chłopak Jany, ten Stejskal. Tyle że teraz jest już za późno na jakiegokolwiek zmiany. Mógł być też w to wmieszany sekretarz powiatowej organizacji ZMS z Pardubic (ma niebieskie oczy) albo – jak to w takich razach zwykle bywa – ktoś zupełnie inny.

Przełożył JAN STACHOWSKI

Tom opowiadań „Pieśń zapomnianych lat” ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa Pogranicze

Kici Kici

Jak powiedzieć komuś,
żeby się nie wtrącał w nie swoje sprawy

- w Polsce: **NIE WKŁADAJ PALCA MIĘDZY DRZWI; NIE WCHODŹ Z BUTAMI W CUDZE ŻYCIE; NIE WTRĄCAJ NOSA DO CUDZEGO PROSA**
- w Wielkiej Brytanii i USA: **NONE OF YOUR BUSINESS** (nie twoja sprawa) lub **MIND YOUR OWN BUSINESS** (pilnuj swojego interesu)
- w Hiszpanii i Ameryce Południowej: **NO TE METAS DONDE NO TE LLAMAN** (nie wtrącaj się tam, gdzie cię nie wołają) lub **NO TE METAS EN LO QUE NO TE IMPORTA** (nie wtrącaj się w to, co cię nie obchodzi)
- we Włoszech: **BADA AI I FATTI TUOI** (troszcz się o swoje sprawy), **VAI PER I FATTI TUOI** (idź za swoimi sprawami), **IMPICCIATI DEGLI AFFARI TUOI** (mieszaj się w swoje sprawy) lub **NON FICCARE IL NASO** (nie wtykaj nosa)
- w Portugalii i Brazylii: **METER-SE ALGUÉM ONDE NÃO FOI CHAMADO** (nie pakuj się tam, gdzie nie byłes wołany)
- w Niemczech: **MISCHE DICH NICHT IN FREMDE ANGELEGENHEITEN EIN!** (nie wtrącaj się w cudze sprawy), **STECKE NICHT DEINEN FINGER IN DIE TÜRSPALTE** (nie wkładaj palca między drzwi), **KEHRE ERST VOR DEINER EIGENER TÜR!** (zamieć w pierw pod swoimi drzwiami)
- w Turcji: **HER ŞEYE MAYDANOZ OLMA** (nie bądź natką do wszystkiego)
- w Iranie: **SARAK DAR ZENDEGI-JE KASI KESZIDAN** (wtykać głowę w cudze życie - tego sformułowania używa się jednak, mówiąc o kimś trzecim) lub **LOTFAN KÂR BE KÂR-E MÂ NADÂSZTE BÂSZIN** (bardzo grzecznie - proszę nie zajmować się naszymi sprawami), lub **FOZULI MOUQUF** (koniec ze wścibstwem - tak mówi się do dzieci lub osób młodszych)
- we Francji: **OCCUPE-TOI DE TES OIGNONS!** (pilnuj swojej cebuli), **MOUCHE TON NEZ!** (wytrzyj sobie nos), **ON NE TE DEMANDE PAS L'HEURE** (nikt cię nie pytał o godzinę), **MÊLE-TOI DE CE QUI TE RAGARDE** (mieszaj się w to, co cię dotyczy), **NE MET PAS LE DOIGT ENTRE L'ARBRE ET L'ÉCORCE** (nie wkładaj palca między drzewo i korę)

RYŚ: MAREK SOBCHYZYAFRYKI

SENNICZEK

ŚCIŚLE JAWNY

Labalbal lozgotowany jeść
- przestań wreszcie
odkładać tę wizytę
u dentysty.

List wysyłać
- zapomnisz o wysłaniu
listu.

Łódówkę rewidować
- to nie był sen, tylko
lunatyczny marsz
do kuchni.

Los główny na loterii
wygrać

- nie czujesz się
atrakcyjnym rynkowo
fachowcem.

Luksusu odrobinę
podać sobie
- przy porannym myciu
zębów uśmiechniesz się
do siebie w lustrze.

Baraneusz Dobrodziejewicz

- Szczypta pieprzu, szczypta soli,
tylko mi nie szczypta Joli.
- Kończmy już, gościom spać się chce.
- Proste jak spirala.
- Co można powiedzieć o życiu pszczoł,
jak się w ulu nie było.
- Nie śpij, bo ci złota do kieszeni nawkładają.
- Gadasz bzdury jak rzadko który.
- Ja się panu podobam, a pan mnie?

HECA

Za 1000 złotych można (sprzątnąć) • biuro o powierzchni 200 m²; w cenie mycie biurek i mebli, odkurzenie wykładzin, mycie naczyń, zlewów, luster, glazury i armatury, podłóg w łazienkach, kuchniach i ubikacjach, dezynfekcja ubikacji, wyrzucanie śmieci, sprzątanie innych miejsc, w których zbiera się kurz i brud • 10 razy wirusy z komputera; w domu klienta, o dowolnej porze dnia i nocy • suche liście z trawnika o powierzchni 909 m² • wykładzinę o powierzchni 250 m² z praniem, jeżeli nie jest bardzo zabrudzona i była prana nie dawniej niż półtora roku temu • ścianę, usuwając z niej graffiti zajmujące 12 m² • pięć razy okna o powierzchni do 40 m² w wieżowcu, technikami alpinistycznymi • 50 stulitrowych akwariów z glonów za pomocą glonojadów przy średnim zagęszczeniu pięciu glonojadów na jedno akwarium • część Morskiego Oka przy pomocy 10 płetwonurków przez jeden dzień (sprzątanie całego stawu trwało 19 dni).

PIATKA KLEPKA

Ponieważ kultura obrazka i okrzyku wypiera kulturę słowa, a młodzież szkolna unika lektur szkolnych, przygotowaliśmy dla niej specjalne streszczenia najważniejszych dzieł, jakie każdy Polak powinien przeczytać. Dla wygody młodych maksymalnie ograniczyliśmy obecność słowa artykułowanego.

Henryk Sienkiewicz „Krzyżacy”:
Patataj, patataj, patataj. Szczęk, szczęk!
Oj oj oj. ? Mój ci on jest! ☺! Tamdaradei,
tamdaradei! Szczęk, szczęk! ☺☺☺☺ Hurra!

Henryk Sienkiewicz
„W pustyni i w puszczy”:
Klopiti, klopiti, klop. ☺☺☺!!! Bismillah!
Rrroaarr!!!
Grroarr!!! Buch, buch! ☺☺☺☺ Bwana
kubwa! Fumba kufa! Hurra!

Zofia Nałkowska „Granica”:
Oj. Oj oj oj. Ach! Ach! Aaaaaaach!!! Aj?
Ach!!! Oj. Oj oj oj oj oj. Oj oj oj oj oj oj oj ☺

Maria Dąbrowska „Noce i dnie”:
Hm? Mmm... Eee... Blee... Faj... Ojej! Bum!
☺☺☺☺☺!!! Aj!!! Uff... Hm? Mmm...
Eee... Blee... Faj...

Obraz wyrażen

Podaj hasło, które zilustrował
Mariusz Wilczyński



Odpowiedz: Na kogo padnie, na tego bęc

teraz szczęście

Z wyrażenia „walka sportowa” na całym świecie wybija się coraz bardziej słowo „walka”. Teraz sukcesem wydaje się już tylko pierwsze miejsce. Pierwsze, oczywiście, na całym świecie. A nigdy jeszcze tylu sportowców naraz nie uczestniczyło w olimpiadach i mistrzostwach świata. Świat się przekształca. Czyżby się udoskonalą? Niektórzy uważają, że coś traci. W każdym razie wydaje się, że w sporcie coraz mniej zabawy dla przyjemności. Czy dlatego tak mało mamy doniesień o zwycięstwach na olimpiadach specjalnych? Co to za walka, skoro zdarza się, że taki zawodnik zapomni o medalu i wraca podnieść przewracającego się kolegę?

Wielu ludzi na świecie zna i lubi Chrisa Burke’a. Znają go, bo to przecież sympatyczny Corky z serialu „Dzień za dniem”. Chris gra tu chłopca z zespołem Downa, czyli w pewnym sensie także samego siebie.

14-letni Chris na olimpiadzie specjalnej nieźle zaskoczył dziennikarzy telewizyjnego, dumnie się chwalić i ciesząc, że zajął trzecie miejsce w biegach. Właśnie rozmawiano z tym, który zajął pierwsze, i nikt nie czuł potrzeby myślenia o pozostałych dwóch. Nawet na nich nie cze-

O punkcie widzenia

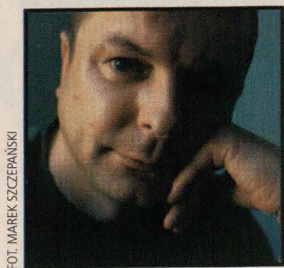
kano. W tym biegu brało udział trzech zawodników. Co miał robić dziennikarz? Z Chrisem także przeprowadził wywiad. I jego radość, tak niepasująca do pierwszych miejsc na świecie, przedostała się przez ekran.

Bettie B. Youngs, autorce książki o ważnych chwilach życia, zależało, aby Chrisa włączyć do swej galerii bohaterów. I rzeczywiście - on zwraca uwagę. Bo z całym swoim opóźnieniem, z całkowitą niezdolnością do podporządkowania się stereotypom, żyje i wypowiada się bez żadnych uprzedzeń.

Pisarka roześmieszyla Chrisa pytaniem, czy chce zostać aktorem. - Przecież już jestem aktorem, i to zupełnie niezłym. Właśnie. Fantastyczne wydaje się to, że nie ma właściwie sposobu, by do Chrisa dotarły wątpliwości, złe nastroje i poczucie nieszcześcia czy niewygody ludzi tak zwanych normalnych. Chris zawsze to jakoś przekręci. Zostaniemy ze swoim zgorzknieniem bezradni.

Małgorzata Baranowska

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów w różnych językach świata



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Odważa w eksperymentach kulinarnych popłaca (choć nie zawsze)

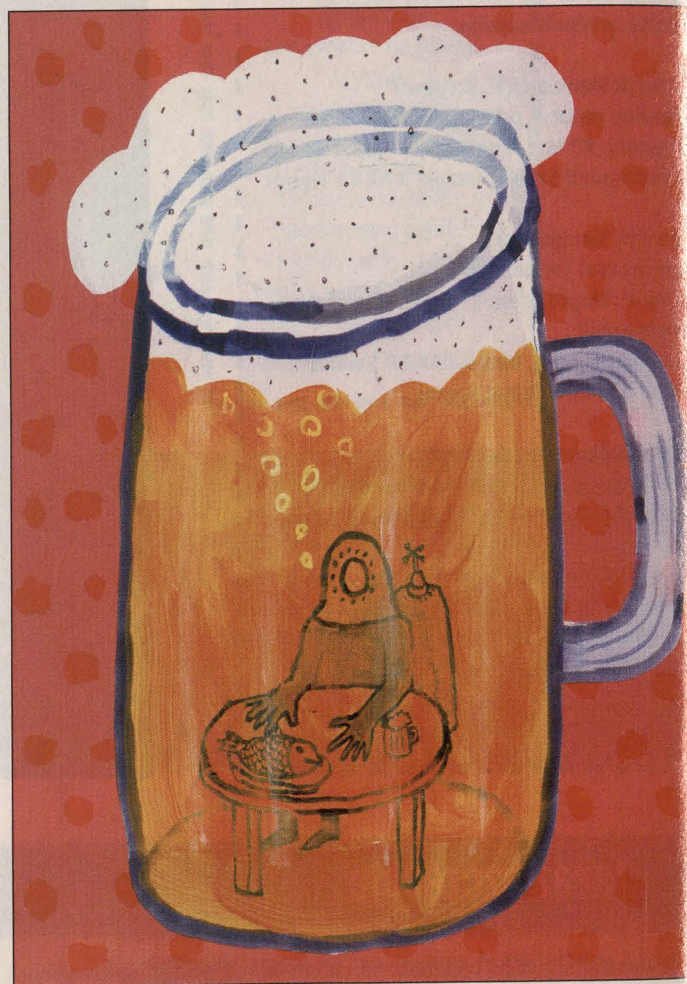
Piwa wszystkich smaków

W pogoni za kulturą śródziemnomorską zaczęliśmy przywiązywać tak wielką wagę do wina w kuchni, że chyba zapominamy o piwie. I choć podczas długiej i nudnej zimy złapany w butelkę promyk prowansalskiego słońca może rozstrzygnąć, czy zniesiemy ten czas godnie, czy też popadniemy w rozpacz, to w olśniewające dni późnej wiosny i lata warto przypomnieć sobie o trunku, który w naszym północnym kraju ma świetne tradycje, zaś mnogość jego zastosowań kulinarnych zapłodnić może wyobraźnię kucharzy wina niechętnych. Piszę: mnogość, lecz w restauracjach widzę na ogół tylko golonkę duszoną w piwie (przez okrągły rok), polewkę piwną (zimną) oraz podawane ze słomką piwo z sokiem.

Różnorodność piw jest bodaj tak wielka jak win. Spotkałem się z opinią, że piwa jasne różnią się smakiem w tych samych granicach co wódki czyste. Przytaczam ten nonsens dlatego, że wielu amatorów piwa obraca się w kręgu tuzina piw typu pilzner oraz dwóch tuzinów piw „mocnych” sprzedawanych w sklepach spożywczych. Tymczasem pilzneńska odmiana piwa, choć z pewnością najbardziej rozpowszechniona na świecie, nie daje pojęcia o tym, jak różnorodne i niezwykle mogą być smaki piwa. Najłatwiej się o tym przekonać w Belgii, gdzie działa ponad tysiąc browarów, produkując trunki tak do siebie niepodobne, jak piwo trapistów, białe piwo pszeniczne czy lambik. W Niemczech i na Wyspach Brytyjskich, a także w USA, gdzie od kilkunastu lat bardzo dynamicznie rozwijają się małe lokalne browary warzące „butikowe” piwa, również nietrudno wyrobić sobie pojęcie o bogactwie piwnych smaków.

Tradycyjne przepisy kucharskie, w których piwo stosuje się do bejcowania i duszenia potraw lub smażenia ich w piwnym cieście, na ogół rozróżniają tylko pomiędzy piwem jasnym i ciemnym. Lecz w obrębie każdej z tych kategorii można przeprowadzić wiele eksperymentów. Każdy rodzaj piwa oznacza nowy pomysł kulinarny. Sęk w tym, że niekoniecznie udany.

Pewien smakosz i znawca przyrody mieszkający w Brukseli zaprosił mnie kiedyś na degustację kilkunastu potraw, które przyrządził z użyciem belgijskich piw. Była biała kiełbasa ugotowana w białym piwie pszenicznym, bardzo udana; była, a jakże, wołowina po flamandzku duszona w porcie z niezapomnianym słodko-cierpkim smakiem; lecz była również katastrofa w postaci kaczki duszonej w piwie wiśniowym, bo choć kaczka lubi owoce, to jednak piwo owocowe ani trochę. Wieprzowina duszona w bardzo mocnym piwie trapistów również była „przełajnowana” – o wiele lepiej posłużyłoby jej zwyczajne piwo typu pilzner. Za to kura w sosie z delikatnego piwa jasnego typu, ale z cytrusowymi akcentami, potwierdziła, że warto to i owo schrzanąć, żeby dojść do takiej perfekcji smakowej. Daniem najoryginalniejszym podczas tego weekendu był duszony karp w sosie z dwuletniego lambiku. To mocne piwo ma smak przypominający porto lub kseres. Niezwykle połączenie słodczy i goryczki z multi-stym smakiem dennej ryby miało w sobie coś diabolicznego. Być może dlatego, że wiele belgijskich piw nosi nazwy nawiązujące do swych klasztornych korzeni: diabeł, nagła śmierć, zakazany owoc, lucyfer – oto co kojarzyło się średniowiecznym mnichom z piwowarstwem.



RYS. MARIUSZ WILCZYŃSKI

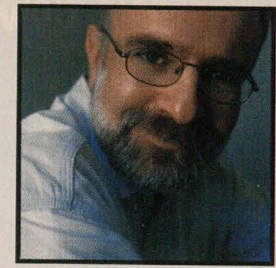
Kiedy w rewanżu podejmowałem u siebie smakosza z Brukseli, starałem się wymyślać dania nietuzinkowe, choć właściwie kalifornijskiemu zwyczajowi łączenia różnych tradycji kulinarnych. Jedno z nich zawierało piwo i było zaprzeczeniem wszelkich przyzwyczajzeń gastronomicznych: krewetki w piwie Guinness z rozmarynem. Gambit ten oparłem na ryzykownym rozumowaniu: skoro uwielbiam każdą z tych rzeczy z osobna, to w połączeniu mogą sprawić mi potrójną radość. Nie pomyliłem się, choć mój gość od razu zaczął fantazjować, z jakim to belgijskim pi-

wem można by adekwatniej niż z Guinnessem przyrządzić to danie. Na taką obsesję nie ma rady. Krewetki są znakomite w cieście piwnym (zamiast mleka czy woły dodajemy piwo, które godzi się wcześniej otworzyć i przelać do szklanki). Obtoczone w cieście i usmażone na złoto, podane z ćwiartką cytryny i kuflem zimnego piwa są świetną przekąską letnią. W takim cieście dobrze smakuje dorsz lub podobna ryba, a do niej sos tatarski i domowej roboty frytki. I, co ważniejsze, piwo.

TADEUSZ PIÓRO

Kto kogo w Polsce robi w bambuko

Amelio, pomóż!



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Raz do roku w porze wakacji bierze we mnie górę poczucie absurdu. Nie ma rady, oddaję mu głos:

1. Uwaga, Francuz robi Polaka w bambuko. W maju, miesiącu młodości, widziałem w jednym z supermarketów Géant młode *beaujolais nouveau*, tyle że z roku 2000 (2000, nie 2001!), po, a jakże, normalnej cenie 24 złotych. To mniej więcej tak, jakby sprzedawano mleko rok po upływie daty ważności. Albo jakby w dzisiejszym „Przekroju” informowano o wynikach ostatnich wyborów prezydenckich. Młode *beaujolais* nada się bowiem do picia przez niecały rok. Później można nim co najwyżej podlać bigos, też nie bez ryzyka. Jeden z pracowników, którego zagadnąłem (chyba krzyczałem), wyznał smętnie, że wie, ale „każą handlować”, więc co? Pewnie gdyby zaprotestował, straciłby pracę. Czyli że robią to z premedytacją, bo przecież Polak ledwo co zlał z drzewa i wśród win porusza się na czworakach, machając ogonem, choć przemyka się już, ha, ha, do Europy.

U siebie, we Francji, Géant nigdy na taką bezczelność by sobie nie pozwolił; zaraz by stracił licencję albo wmieszałby się w to prokurator. Absurd, absurd. Kochani Francuzi, którzy tak biadają, że im się eksport kurczy, olewają nas (swoim zepsutym *beaujolais*), a potem się dziwią, że Polak kupuje wino z Chile i kicha na francuskie specjały (z wysokości swego drzewa). Ogłaszam bojkot win Géanta, hi, hi, na pewno nie skutkuje. A może by tak coś zrobili francuscy Racy Handlowi albo Jego Eksceleńcja Ambasador, albo prezydent Chirac, skoro go wybrali? Ach, gdyby Wiktor Hugo żył... Amelio Poulain, pomóż!

2. Uwaga, Polak robi Polaka w bambuko. Wydawnictwo Mada wypuściło książeczkę polskiego autora pana Aleksandra Byrda „Alkohole wykwinne. Wino gronowe, czyli od białego do czerwonego”. Gratuluję tytułu i ostrzegam czytelników: czegoś tak absurdalnego dawno nie czytałem. Ten słowniczek wina przy pierwszej lekturze wydaje się wręcz pysznym żartem, kabaretowym skeczem. Niestety, żartem nie jest.

Z kurtuazji ograniczę się do dwóch haseł. Oto hasło poświęcone Saint-Emilion, magicznej

dla wszystkich kochających wino nazwie oznaczającej słynną apelację bordoską, w której powstają najwybitniejsze wina świata: „SAINT-EMILION. *Ugni blanc*”. Koniec cytatu. Dla autora słownika win w nazwie Saint-Emilion ważne jest to, że jest ona przy okazji nieistotnym synonimem szczepu *ugni blanc*, z którego powstają koniaki (od białego do czerwonego, no nie?). To tak jakby w słowniku pisarzy polskich pod hasłem SŁOWACKI było napisane: „przymiotnik od państwa Słowacja graniczącego z Polską od południa”. Albo: „Karol Słowacki. Autor wiersza »W krainie Bambuko«”. Czy też hasło poświęcone winom Medoka. Wśród wymienionych apelacji znajduje się: „Lafite”. Otóż Château Lafite nie jest apelacją, jest legendarną posiadłością

ogólnopolskiego pisma o winach robić nie wolno. Możemy kupować zepsute *beaujolais*, lecz polskiego wina polska ustawa sprzedawać właściwie nie pozwala. Prawo jest absurdalne i obostrzenia są absurdalne: wymagają one między innymi stworzenia na miejscu produkcji specjalistycznego laboratorium kontroli, na które pozwolić mógłby sobie producent milionów butelek rocznie, a nie dwóch tysięcy. We Francji czy Włoszech jedno laboratorium obsługuje kilka tysięcy winiarzy. Słyszałem, że w nowym rządzie są znawcy win wykwinnych. Może by tak odstawili na bok swoje Château Pétus za setki euro i zainteresowali się winami z Winnicy Golez pod Jasłem? Pytam, choć nie wierzę. Och, Amelio, pomóż!

4. Na szczęście, w krainie absurdu są i inne, miłsze dla nerwów, kolory (od czerwonego do białego, rzec można). Albowiem docierają tu również prawdziwi miłośnicy wina poszukujący określeń, które oddałyby sprawiedliwość geniuszowi win przez siebie degustowanych. Coś takiego zdarzyło się francuskiemu znawcy Michelowi Bettane, któremu dostał się do kielicha mozelcki



w Medoku. Autor miesza groch z kapustą, apelacje z nazwami słynnych win: to tak jakby napić się, że największymi miastami w Polsce są Warszawa, Kraków i Pałac Kultury. A *propos*, czy znają Państwo szczep bambuko? Powstają z niego wykwinne wina, od białego do czerwonego.

3. Tak, Polak Polakowi Polakiem. Ileż to ja miałem pytań o wina pana Romana Myśliwca, który od kilku lat w swej posiadłości Winnica Golez pod Jasłem wytwarza ze szczepów odpornych na mróz bardzo dobre wina, które pije się z przyjemnością. Gdzie te wina kupić, gdzie je dostać? Jak to gdzie? W słynnej sieci sklepów „Zrobieni w bambuko”. Wina z Golez są coraz lepsze, mają coraz ciekawsze bukiety; niedawno degustowaliśmy w szerszym gronie białą Siberę 2000 (Sibiera to nazwa krzyżówki winorośli) – nikt nie chciał uwierzyć, że pijemy polskie wino. Mija kolejny rok, Roman Myśliwiec wciąż nie może handlować swoimi winami. Możemy kupować w empiakach zagraniczne pisma winiarskie (cała Europa ma takie), a nam

riesling Wehlener Sonnenuhr Riesling TBA 59 od J.-J. Prüma. Wino, mówi Bettane, „będące z pewnością największą doskonałością, jaką wytworzyła ziemia”. Trudno sobie wyobrazić, snuje dalej swe wrażenia, „więcej wdzięku w jego mocy, więcej przejrzystości w jego gęstwinie, więcej finezji, złożoności i oryginalności w jego smaku”. Nie znajdując słów, konkluduje tak: „To wino jest absurdalnym podbojem absolutu. Absurd miesza się w nim z boskością”. Jakże chciałoby się napić kiedyś tego wina, pomodlić się absurdalnie, bosko puknąć się w głowę. Obawiam się, niestety, że nici z tego marzenia, fi-ga z bambukiem. Och, Amelio, pomóż!

MAREK BIEŃCZYK

Letnie wieczory z pewnością umili czerwone włoskie wino z Apulii: Tormaresca 2000 (około 41 złotych). Wino dość lekkie, powstałe z lokalnego szczepu *aglianico* z dodatkiem *cabernet sauvignon*. Wkrótce pojawi się też na naszym rynku Tormaresca Boca di Lupo – wino z tych samych szczepów, lecz wyższej klasy, naprawdę dobre.

daje słowo

Jeszcze o jeszcze

Czyli - **jeszcze** raz. To częsta prośba, częsty apel, wyrażany także okrzykiem. *Noch einmal*, ptaszku mój. *Encore*. *Iszcho raz*. Ech, *iszcho mnogo, mnogo raz*. Albo **jeszcze** ten jeden tylko, ostatni już raz.

Mów do mnie **jeszcze**...

Trudno skończyć, zrezygnować. Poranek świta, a my **jeszcze**. **Jeszcze** jeden mazur dzisiaj! A panna Krysia - proszę bardzo.

„**Jeszcze**” trwa. **Jeszcze** jest. Nie przestało być. Chociaż pewnie niedługo przestanie. **Jeszcze** trzeba trochę poczekać. Pan dyrektor **jeszcze** zajęty.

Albo: nie przestało nie być, czyli się **jeszcze** nie zaczęło. **Jeszcze** nie ma. Za jakiś czas będzie. Pan dyrektor **jeszcze** nie przyszedł. Czekam.



RYŚ: MAREK SOBCHYZAFRYKI

A czasem mogę się nie doczekać. Ja albo kto inny. Nie doczekanie ich. **Jeszcze** dam radę. **Jeszcze** im pokażę.

„**Jeszcze** Polska nie zginęła”. To w końcu mimo wszystko raczej optymistyczne niż defetystyczne.

Może być dawne. **Jeszcze** jak byłem chłopcem... Pamiętam, **jeszcze** w szkole... Wspomnieniowe, nostalgiczne.

Albo bardzo niedawne. **Jeszcze** wczoraj myślałem inaczej. Dziś zmieniłem zdanie. **Jeszcze** przed chwilą tu był. Dopiero co! A teraz go nie ma.

Pisałbym **jeszcze**, ale już miejsca nie ma. Koniec.

Jerzy Bralczyk

nie ma głupich pytań

Irena Poniatowska z Łodzi pyta Stefanię Grodzieńską

Już po raz kolejny w tym roku widziałam Panią w Łodzi. Czy zamierza się Pani do nas przeprowadzić?

Tylko gdyby mnie wysiedlono z Warszawy. A jeśli miałabym w takim wypadku prawo wyboru, rzeczywiście zdecydowałabym się na Łódź. Moja droga życiowa od samego urodzenia prowadziła przez różne kraje. I nie wiem, jakim czarom to przypisać (nie wierzę, żeby zadziałał tu przypadek), ale co jakiś czas między Genewą, Moskwą, Berlinem, Lublinem i Paryżem lądowałam w Łodzi. Łódź - to dzieciństwo, Łódź - to pierwsze lata normalnego życia po wojnie. Łódź - to do dziś przyjaciele.

Łódź ma opinię miasta brzydkiego i pozbawionego atrakcji. Osoby starsze, które pamiętają ją właśnie taką, zachęcam, żeby tam wpadły. Nigdzie indziej nie widziałam takiej zmiany na lepsze.

Polecam też Łódź paniom, które marzą o dziecku. Co jakiś czas, cyklicznie, któraś kobieta z mojej rodziny zatrzymuje się na krótko w Łodzi, aby urodzić tam dziecko, z reguły zresztą dziewczynkę. Tak urodziłam się ja, tak urodziła się moja córka. Mój wnuk nie jest wnuczką tylko dlatego, że urodził się w Warszawie. Proszę to traktować jako ostrzeżenie dla pań, które nie planują powiększenia rodziny albo marzą o synu.



RYŚ: MAREK SOBCHYZAFRYKI

Od razu zaznaczam, że jeżdżę do Łodzi nie w celu projekcji. Często mówię miło o moim rodzinnym mieście i okazało się, że miłość może być wzajemna: Łódź czuje się w obowiązku zapraszać mnie do siebie na spotkania z publicznością. A przy okazji mogę spotkać się z bliskimi ludźmi, którzy pozostali jej wierni.

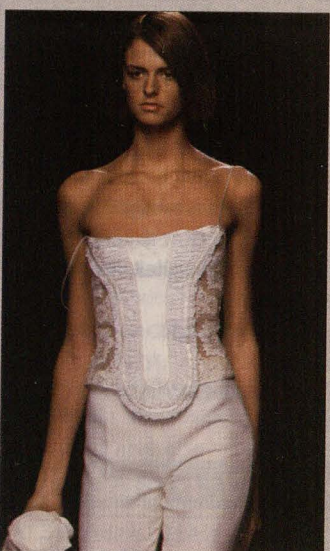
Jest jedna sprawa, którą przy okazji chciałabym z Łodzią załatwić: nikt nie mówi, że pochodzi z miasta Piotrkowa, miasta Radomia, miasta Pułtuska. Natomiast mówi się: pochodzę z miasta Łodzi. Wynika z tego, że to jedyne miasto w Polsce.

Odpowiadała Stefania Grodzieńska z miasta Łodzi, zamieszkała w mieście Warszawie.

Zapraszamy do współredagowania tej rubryki! Autorów pytań do Stefani Grodzieńskiej nagrodzimy jej książkami „Już nic nie muszę” i „Kawałki żeńskie, męskie i nijakie” z dedykacją. Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem: „Nie ma głupich pytań”.



RYŚ: MAREK RACZKOWSKI



Nosimy go jak bluzkę, jak mały trykocik na szelkach

Zaczęło się niedobrze. Kilka lat temu J.P. Gaultier pokazał jakieś stare, dość nieswieże gorsety wkładane na zupełnie niespodziewające się tego inne części garderoby. Był to dekor, bez konkretnej funkcji, zdecydowanie abominacyjny. Nie, to nie był ten cudny gorset z czarnej koronki modny w czasach młodej Brigitte Bardot. Tamten był jakimś zamierzczym rekwizytem z epoki, która wtedy wcale nie była natchnieniem. Sprawa się rozplątała. I teraz, po latach - tak to bywa - mamy w modzie gorsety, a raczej ich bliskich krewnych. Znane z ostatnich sezonów balowych - na wystawach sklepowych w karnawale widać było dwuczęściowe długie suknie z tafty, których góry były właśnie gorsetami: ciasne, bez ramion, z licznymi modelującymi je cięciami. Ale to na wieczór - myślało się - zawsze są różnie rozwiązane suknie odsłaniające ramiona.

A tu gorset. Nie będziemy się nim ścisnąć ani sznurować tak, żeby nam żebra pękały, nosimy go jak bluzkę. Jak mały trykocik na szelkach. Jest to nowa propozycja w dziale: mała góra. Może być bez ramion albo - jak gorsety w strojach ludowych - z bardziej zabudowaną górą. Sznurowany, na haftki, a nawet guziki. Gruby, cienki, na podszewce, skórzany jak z westernu, czarny jak ze sklepu z sadystycznymi gadżetami, naiwny z bieleżnianym wykończeniem, ze starych dżinsów itp. Tu się zatrzymuję, żeby przypomnieć, że teraz wszystko znowu może być ze starych dżinsów. Lub raczej zrobione na stare dżinsy. *Dżins for ever*.

Jedno, czego nie lubimy w gorsecie, to to, że trzeba mieć do niego trochę figurę, że się tak delikatnie wyrażę. Bo nie będziemy przecież eksponować czegoś, czego nie ma. Ale prawdą jest, że taka gorsetowa bluzeczka poprawi nam sylwetkę. Chociaż nie do końca wierzę w to, że liczne pionowe cięcia odejmą komuś nieco bekonu, ale po co psuć dobre samopoczucie?

Gorset nosi się ze wszystkim: ze spódnicami długimi i krótkimi, ze spodniami różnych kształtów, szortami. Można na bluzkę czy sukienkę, to już jest bardziej frymuśne. Bo gorsety występują też w wersji skróconej: nie zasłaniają biustu. Na pokazach jest to oczywiście mile widziane. W życiu taka wersja skrócona to już raczej szeroki pas. I patrzcie, jak się dajemy wcisnąć w ten symbol upodlenia kobiety, który robił z niej bóstwo o talii jak osa.

Skąd się bierze ta moda? Z tendencji do ciasnej góry, z mody na rzeczy seksy - ciasny gorset podpycha ładnie biust do góry - z jednego z nurtów obecnej mody na *fin de siècle*, z projektantów, którzy szukają natchnienia w starych kufrach. Ale trochę go zmieniliśmy i już udaje nową modę.

HOFF

Zdjęcia: Rafał Strzechowski/Free

Gorset do wszystkiego





inne pytania

FOT. BARTĘK BOBOWSKI/AG

Co mam powiedzieć?

Andrzej Chyra, aktor, w rozmowie z Marią Czubaszek

Fakt. Brad Pitt narzeka na przykład, że jego przekleństwem zawsze była uroda.

– Co Kubuś poradzi, że jest taki śliczny? Mnie to nie dotyczy.

To inne pytanie. Wiesz, co jadali na śniadanie Casanova i Don Juan?

– Sądzę, że to mnie jeszcze mniej dotyczy. **Nie jadasz na czczo?**

– Nie o to mi chodzi.

A mnie właśnie o to! Casanova otóż zjadał na śniadanie 50 ostryg, a Don Juan omlet z 10 jaj przyprawiony lubczykiem... Dzisiaj wystarczyłaby jedna niebieska tabletki i po herbacie.

– Niektórym wystarcza sama herbata. Bez tabletki.

Tak mówią.

– Bo tak jest. I jeśli chcesz spytać...

Czy bierzesz viagrę? Nie. Chcę spytać, czy zgadzasz się z opinią, że mężczyźni oceniają swoją wartość poprzez seks?

– Każdy ma własną hierarchię wartości.

To nie jest odpowiedź.

– Dlaczego? Może wymijająca, ale odpowiedź.

OK. Według badań CBOS-u blisko 90 procent Polaków jest dumne z tego, że są Polakami. **A Ty?**

– Nie mam szczególnych powodów do dumy.

Z tego, że jesteś Polakiem?

– Oprócz tego. Myślę, że wszystko, co składa się na moją osobowość, jest całkowicie przypadkowe i do tego wątpliwe.

To znaczy?

– Cokolwiek by nie znaczyło, nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy.

Jesteś mistrzem uników.

– Dzięki Twoim pytaniom.

Przeceniasz mnie. A właśnie. Co jest większą wadą? Przeceniać się czy nie doceniać?

– W dzisiejszych czasach chyba to drugie.

Skromność nie popłaca?

– Przesadna na pewno.

Obawiam się, że żadna.

– To, przepraszam, po co pytasz?

Bo mi za to płacą. A skoro już o pieniądzach... Co sądzisz o prośbie Polskiego Związku Piłki Nożnej o zwolnienie naszych piłkarzy z podatku od nagród pieniężnych, jakie ewentualnie wywalczą podczas mundialu? Dla ułatwienia przypomnę, że chodzi o spore sumy. 25 tysięcy dolarów na głowę za wyjście z grupy, 50 tysięcy za wejście do ćwierćfinału i 150 tysięcy za tytuł mistrza świata.

– Dla utrudnienia musieliby wyjść z grupy, wejść do ćwierćfinału i wygrać mistrzostwa.

Coś za coś. I myślisz, że za to powinni być zwolnieni z podatku?

– Mam nadzieję, że byłby to precedens. I w razie czego mnie by też zwolniono.

Na przykład... w razie czego?

– Bardzo intratnej propozycji z Hollywood. Co też można by potraktować jako sukces narodowy...

A coś się kroi?

– Gdyby się kroiło, nie mówiłbym! Żeby nie zapeszyć! Ale teoretycznie wszystko jest możliwe. A już zupełnie poważnie... Myślę, że taki precedens byłby niebezpieczny.

A byłbyś w stanie mi wytłumaczyć, co jest takiego w piłce nożnej, że teraz wszyscy dzielą się na kibiców i resztę? Tylko nie mów, że reszty nie trzeba.

– Więc co mam powiedzieć?

Na czym to szaleństwo polega?

– Na tym, że 22 facetów gania za jedną piłką.

A nie mogłoby być tylu piłek, ilu graczy? Żeby każdy miał swoją?

– Sama na to wpadłaś?

Niestety. Karolak.

– Pozdrów go serdecznie.

Dziękuję.

MINISTER SIĘ POMYLIŁ

W dość interesujący, aczkolwiek nieco eksperymentalny wywiad z ministrem kultury p. Celińskim (nr 22/2971) wkraśli się nieścisłość wymagająca sprostowania, bowiem dotyczy imputowanej Polakom niezbyt miłej cechy. Otóż opinię, że „dla Polaków można zrobić wiele, ale z Polakami nic”, wyraził nie marszałek Piłsudski, lecz dużo wcześniej inny rodak – margrabia Wielopolski, który usiłował to i owo zrobić dla kraju znajdującego się w rosyjskim zaborze, a między innymi zapobiec Powstaniu Styczniowemu.

Przy okazji życzę panu ministrowi radosnego ratowania ginącej polskiej literatury współczesnej, odzwierciedlającej codzienne bytowanie Polaków, a tak niechętnie widzianej przez obecnych wydawców.

WIESŁAW STRADOMSKI,

Warszawa

MUZEA BEZ KAPCI

Do napisania kilku spostrzeżeń skłonił mnie artykuł „MacMuzeum” („P” 2971).

Kiedy byłem uczennicą, słowo „muzeum” kojarzyło mi się z miejscem skostniałym, w którym panowała grobowa atmosfera i surowy zakaz dotykania czegokolwiek. Co parę metrów byli rozstawieni ludzie, którzy pilnowali, aby tak właśnie było. Konieczność trzeba było zakładać kaptcie do froterowania, a gdy ktoś się zmęczył, to musiał odpoczywać, stojąc, bo krzesła były tylko dla osób z nadzoru.

PRZE
KRÓTZałożył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

DYREKTOR KREATYWNY – WYDAWCA:

Piotr Najsztub

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKI REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Anna Romotowska, Maria Świątlik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorowska

KULTURA:

Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Marcel Andino Velez, Marcin Baran, Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Jacek Podsiadło, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Agnieszka Litorowicz-Siebert, Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Michał Wójcik

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominika Szczepowicz, Dominika Raczowska

FOTOEDYCJA:

Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:

ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 25 25, faks (0-prefiks-22) 584 25 21 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:

Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 22 00, faks (0-prefiks-22) 584 22 01

Ten obraz zarejestrowany w młodości utkwił w pamięci na długie lata, aż do momentu gdy znalazłam się we Francji. Nie wiedziałam, że przekroczyłam wtedy również granicę w czasie. Kiedy zaproponowano mi zwiedzenie muzeum samochodów w Miluzie, nie miałam na to najmniejszej ochoty.

Zwiedzanie zajęło nam pół dnia, a po wyjściu żałowałam, że trwało tak krótko. Z niecierpliwością czekałam na wizyty w pozostałych muzeach.

Za każdym razem było to wielkie przeżycie, gdyż w tych muzeach jest miejsce na animację, prezentację eksponatów, które „ożywają się” za pomocą przycisków, czy wykonywanie doświadczeń wraz z kustoszem.

Aby te miejsca tętniły życiem, organizowane są: Halloween z pracownikami poprzebieranymi w potwory i rodzącymi łakocie, mikołajki z paczkami dla wszystkich dzieci przybyłych w tym dniu itp. Dzieci są o takich atrakcjach zawiadamiane w przedszkolach, a ceny biletów wstępu są symboliczne.

Inne muzea zajmują się organizacją przyjęć urodzinowych: w muzeum tkanin solenizant i jego goście poznają techniki druku na materiałach, a następnie pod przewodnictwem animatora każdy dekoruje swój materiał i... zabiera go do domu. Solenizant zdobi sobie dodatkowo koszulkę – prezent od muzeum. W muzeum elektryczności dzieci i młodzież poznają w sposób ludyczny właściwości prądu i wykonują doświadczenia z elektrostatyki. Czyli przyjemne z pożytecznym. Na zakończenie muzea przygotowują poczęstunek – tort i napoje.

Sztuka, kultura i konsumpcja przeplatają się. Oczywiście w tłumie i zgiełku nie ma miejsca na kontakt ze sztuką przez wielkie „S”, ale wystarczy powrócić w te znane już miejsca, gdy nie odbywają się tam imprezy komercyjne, i można odkryć inne oblicze sztuki.

EWA QUINIOU,

Miluza

KIEDYŚ SIĘ DOGADAJĄ...

Właśnie przeczytałam tekst „Mistrz, Lupa, guru” autorstwa Maryli Zielińskiej (nr 20/2969). Jestem jeleniogórzanką, wychowałam się na Lupie i jego przedstawieniach. I znów „Przekrój” pokonał czas i przestrzeń... teatr, Jelenia Góra i moje liceum im. C.K. Norwida...

Od lat uczę języków w Chicago. Polaków angielskiego, a Amerykanów polskiego, z nadzieją, że kiedyś się dogadają... Jeden z moich uczniów Donald Perry po dwóch latach nauki czyta dziś „Przekrój” i mówi, że polski zmienił się z pasji w obsesję.

BEATA SIEMASZKO I JEJ UCZNIOWIE,

Chicago

WYTĘŻ WZROK – SZCZEGÓŁ

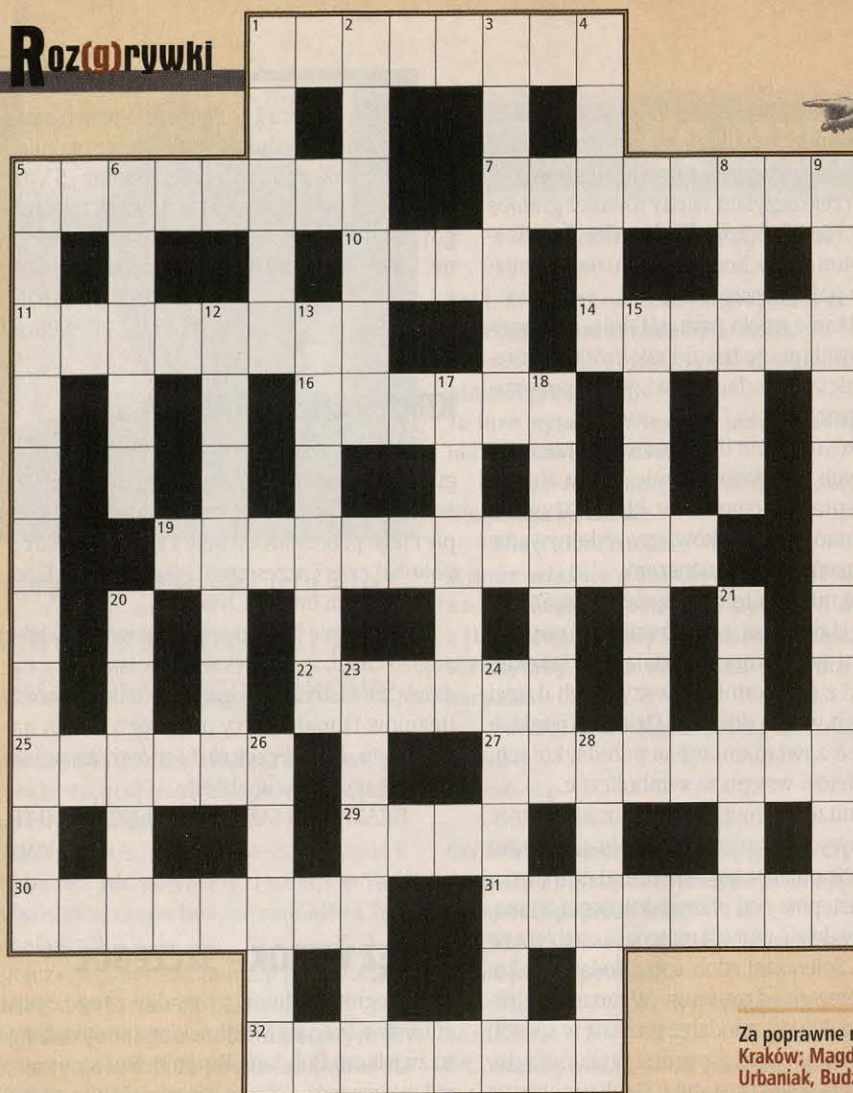
Ubiegłotygodniową zagadkę z tego cyklu autorstwa Patryka Mogilnickiego podpisaliśmy nazwiskiem Bohdana Butenki. Był to jeszcze jeden szczegół, którym różniły się oba rysunki. Od prawdy.

Obu autorów przepraszamy za tę pomyłkę.

„PAN ZENEK WESOŁY SANITARIUSZ” — ANDRZEJ MLECZKO



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Rodzajka zastrzega sobie prawo do zmian i skrótków w nadesłanych artykułach i listach.



KRZYŻÓWKA nr 25

POZIOMO:

- 1 nauczyciel „Demokr. savoir-vivre” u” w „Przekrojowym” ogródku
- 5 przesadnie nie pyszny
- 7 wykładzina z czasów „Człowieka z marmuru”, ale nie marmur
- 10 startuje w tym tygodniu
- 11 kura, która chce być dudkiem
- 14 Kloss poznawał po paprotce w oknie
- 16 Polska gola!
- 19 Nierozsądnych Kroków
- 22 alegat – potraktuj to dosłownie
- 25 Kozak nad Kozakami
- 27 miasto z rajem w środku o bynajmniej nie rajskiej przeszłości
- 29 16, 27 i 36 stopni
- 30 jedna z fuch Dyzmy
- 31 oś dość skryta
- 32 nie „rozlewa” między panem, wójtem i plebanem

PIONOWO:

- 1 Duńczyk przeciw Polakom (i Wielki z czasów Mieszka II)
- 2 margarynek, czy jakoś tak, szukaj w lesie
- 3 a tam znajdziesz Firycy
- 4 bryka pod kinem (hist.)
- 5 zdrowy, młody, piękny, bogaty
- 6 stan lekko wskazujący
- 8 do niej uderza początkujący pianista
- 9 nie jest to cecha H. Bielickiej
- 12 wszędobylski pojazd bojowy
- 13 tam schronisz się w górach, jeśli nie lubisz schronisk
- 15 ...natomiast uchożęgn (wersja dla abstynentów)
- 17 Eing, ..., Dreig lub Arnold – autor „Wielki wojny białych ludzi”
- 18 szuflada z czcionkami przed erą składu komputerowego
- 20 muzułmański goj
- 21 stuletnia nakrywka
- 23 nie piekarz, nie aptekarz (choć bardziej)
- 24 świta przez cały dzień
- 26 antyzenit
- 28 waflowa

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 20 nagrody wylosowali: Irena Boratyńska, Kraków; Magdalena Kordziałek, Warszawa; Jadwiga Setkiewicz, Łapanów; Barbara Urbaniak, Budziszewo Kościelny; Zdzisław Zieniewicz, Łódź. **Gratulujemy!**

Rozwiązanie krzyżówki nr 22:

- Poziomo:** 1. szparagi 5. półmisek 9. kucek 10. odwyk 11. tango 14. denuncjator 15. zameczek 18. karateka 21. Ala 23. dorobkiewiczostwo 29. programista 30. barok 32. Antek 33. cacko 34. latarnia 35. akrobata
- Pionowo:** 1. szklarz 2. Poczdam 3. rak 4. indyczka 5. prywatka 6. mit 7. sznyclę 8. kłonica 12. rusznikarz 13. rozrusznik 16. auto 17. echo 19. tors 20. krew 22. lew 23. demobil 24. rozbrat 25. Eugenia 26. Izabela 27. trąbka 28. ochłoda 31. kur 33. do

Rozwiązanie krzyżówki nr 21 (poprawionej):

- Poziomo:** 1. zwłoki 4. skutek 8. kran 10. altanka 11. interna 12. róże 13. Zygryd 15. pliszka 17. atu 18. Leokadia 19. boa 20. strach 21. Beocja 25. pas 26. Karuzela 27. tuz 28. cekin 29. zмова 30. grāt 31. firanki 33. winieta 35. auto 36. kłamka 37. lekarz
- Pionowo:** 1. zmarzłak 2. łut 3. kontrolka 5. kotwica 6. tur 7. Krakatau 8. kardiochirurgia 9. niepodobieństwo 14. głuptasek 16. zabójstwo 22. oparzenie 23. specyfik 24. działacz 26. kanonik 32. rwa 34. Ewa

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

Władek powiedział „tak”

W rozwidleniu dróg stała karczma.

Z racji swego zainteresowania tajemnicami ludzkiego umysłu często odwiedzam Logiklandię – krainę pełną zagadkowych, a często tajemniczych osobiowości.

Kiedyś trafiłem tam na rozwidlenie dróg – nie wiedziałem, w którą stronę powinienem skręcić. Potrzebowałem kogoś, kto powiedziałby mi, w którą stronę mam się skierować... Udałem się więc do wspomnianej już karczmy.

Na drzwiach przeczytałem napis:

„Każdy, kto tu pije, potem albo cały czas kłamie, albo cały czas mówi prawdę”.

W środku przy stole zastawionym opróżnionymi butelkami siedzieli dwóch podchmielonych mocno osobników.

Podszedłem do pierwszego z brzegu i zapytałem:

– Czy ty mówisz prawdę?

– Bhugrlun – zagulgotał w odpowiedzi jak indyk i osunął się nieprzytomny pod stół.

Spojrzałem się na drugiego. Chyba był nieco trzeźwiejszy.

– Józek jestem – wybełkotał, wyciągając do mnie w geście powitania

drzącą rękę, i dodał: Władek powiedział „tak”, ale nie wierzę mu, on kłamie.

Czy Józek kłamał, czy mówił prawdę?

Odpowiedź sprzed tygodnia

Toy rozumował tak: Przypuśćmy, że ja mam na twarzy zwykłą maskę. Wówczas każdy z moich braci widzi jedną maskę zwykłą i jedną królewską. Obaj są prawie tak mądrzy jak ja i każdy z nich (niech to będzie Joy) może pomyśleć tak: Toy ma maskę zwykłą, więc jeśli Roy podniósł rękę do góry, to ja mam maskę królewską, jednak ani Joy, ani Roy nie doszli do takiego przekonania, mimo że upłynęło wystarczająco dużo czasu, aby mogli do niego dojść. Zatem nie mogę mieć zwykłej maski, czyli mam na twarzy maskę królewską.

To jest logiczny sposób dojścia do rozwiązania. Możliwy jest jeszcze drugi, nazwijmy go sposobem równych szans i sprawiedliwej oceny. Toy mógł powiedzieć: „Drogi ojciec, tylko w przypadku gdy każdy z nas ma na twarzy maskę królewską, każdy z nas ma do rozwiązania to samo zadanie”.

JOLKA nr 25

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

L11 – K2 – C1 – B16 – A15 – K8 / A11 – F3 – A6 – M6 – K14 – F16 – H1 – C15 – D7 – L14 – C5 – C13 / Ł12 – F1 – D14 / Ł4 – E4 – F7 – K10 – C2 – C4 – H11 / L8 – D12 – H7 – A5 – C9 – Ł1 – E1 / I5 – M15 / G6 – I6 – F9 – M10 – M2 – J16 / F10 – Ł16 – B11 – J12 / H16 – E9 – Ł3 – H3 – K5 / F14 – M5 – J4 – E6.

Wyrazy 11-literowe:

- wpadł na sen • sałatki – poruczone cytrynie

Wyrazy 10-literowe:

- złośliwość deski w ogólności
- w jednym z trzech płaszczy, z jedną z trzech szpad • na przykład broszurka „Kibicowanie w weekend”
- harley wiedzmy

Wyrazy 9-literowe:

- łąkowy grąjek w czterech tysiącach gatunków • słodsza niż cukier, lecz nie krzepi

Wyrazy 8-literowe:

- Poncjusz Piłat korzystałby z niej dziś
- razem z wesołkiem wyprowadza z równowagi • królował w nieskomplikowanych czasach
- jeśli cechuje ocenę, to ocena dostaje wyższą ocenę • z umazaną buzią
- odbyseja z poboczami

Wyrazy 7-literowe:

- złośliwość deski w szczególności
- co pewne, jej nie ulega

Wyrazy 6-literowe:

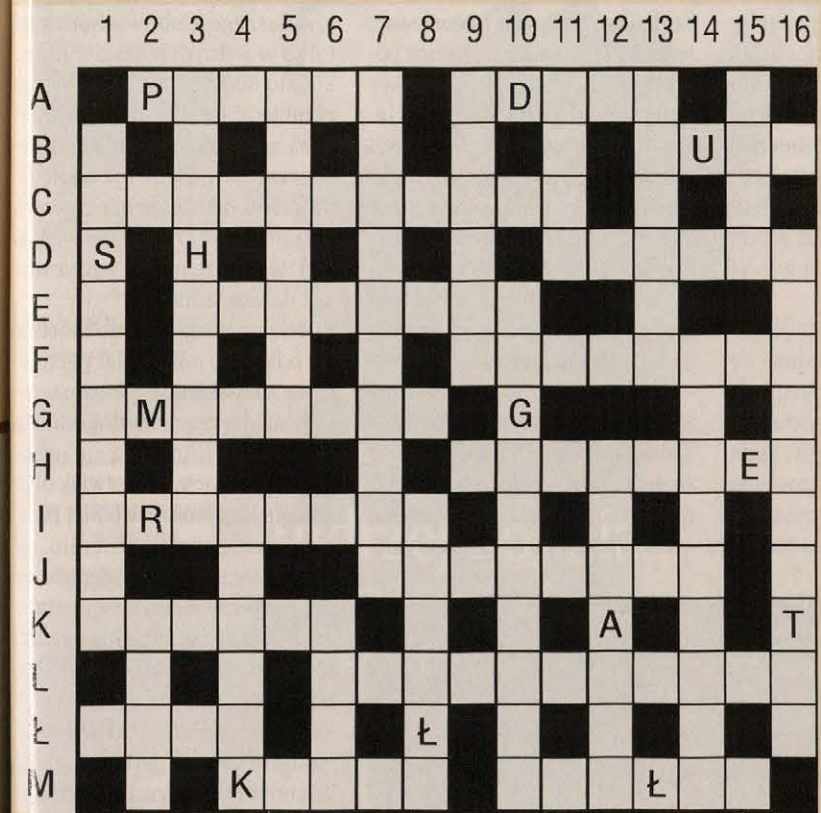
- przewoźnik z opery Moniuszki
- satelita głównej akcji • reklamowane nogami • mniejsza rybka na większą
- pięknotwórstwo • gruzu mimo zakazu – psuciem krajobrazu
- papka do kaczki • spleatany przez zbytnika

Wyrazy 5-literowe:

- kryminal z językiem
- Degas jako kolega

Wyrazy 4-literowe:

- zetnie Wisłę, zetnie Wartę • jej Strefa
- na czerwonej głowie kardynała
- kuźnia Wulkanu • ośmiotysięczniki mu matecznikami • kapryśna staje na przeszkodzie alpinistom



AUTOR: JERZY BUCZEK

Rozwiązanie jolki nr 22: W PIĄTEK MIĘSO SMAKUJE JAK RYBA

(z „Księżniczki Anginy” Rolanda Topora).

Rzędami: sroczka, nutria, patrol, żelazko, ślubny, Maryna, powidło, Gretkowska, kosmonauta, Bielich, renons, węgiel, arsenat, samiec, epizod, jawajka.

Kolumnami: pokrowiec, drzewo, wysięgnik, szczudło, resor, nieład, zapomoga, rurociąg, Internet, taksacja, nośnik, bulla, ofensywa, Trąbalski, chatka, padyszach.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 20 nagrody wylosowali: Bożena Brzezińska, Poznań; Krystyna Matuszczyk, Częstochowa; Urszula Matuszek, Gliwice; Jan Polak, Szklarska Poręba; Agnieszka Wieczorek, Stronie. **Gratulujemy!**



W numerze 17/18 ogłosiliśmy **KONKURS WIEDZY O SZTUCE**. Przypominamy: należało odgadnąć co najmniej osiem z 10 obrazów, które zainspirowały Pawła Mostowskiego do stworzenia kolażu-zagadki. Oto prawidłowe odpowiedzi:

1. Pablo Picasso „Guernica”
2. Salvador Dali „Płonąca żyrafa”
3. René Magritte „Syn człowieczy”
4. Giorgio de Chirico „Niepokojące muzy”
5. Władysław Podkowiński „Szał uniesień”
6. Józef Chełmoński „Bociany”
7. Vincent van Gogh „Słoneczniki”
8. Amadeo Modigliani „Akt z rozłożonymi rękami”
9. Andy Warhol „Campbell's Chicken Soup”
10. Jan Vermeer van Delft „Koronczarka”

Nagrody wylosowali: Natalia Hryciuk, Woźniki Śląskie; Barbara Łubkowska, Wrocław; Małgorzata Karpiel, Kościelisko; Elżbieta Kierska-Łukaszewska, Kraków; Bruno Vigneri, Como, Włochy. **Gratulujemy!**

Pomiędzy Czytelników, którzy do **niedzieli 30 czerwca** (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy

10 egzemplarzy powieści Johna Irvinga „Czwarta ręka”

(wydawnictwo Prószyński i S-ka)

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem **Jolka 25 lub Krzyżówka 25.**



Przyszłość jest krótsza niż przeszłość

Pierwszymi mieszkańcami
Ziemi były bakterie.
Zapewne będą też ostatnimi

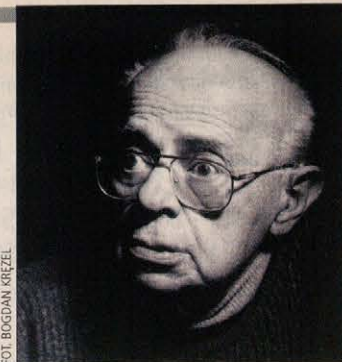
W ubiegłym wieku po kłękach futurologii pojawiło się porzekadło, że nic nie zmienia się tak bardzo jak przyszłość. Obecnie jednak okazuje się, że taka sama reguła obowiązuje w stosunku do przeszłości. Mam przy tym na myśli w obu tych przypadkach nie to, co skryte za dekadami, ani to, co składa się na historyczne dzieje naszego gatunku. Ambicje nasze urosły do tego stopnia, że usiłujemy pogłębić wiedzę o narodzinach Wszechświata, a jednocześnie przewidzieć jego dalsze losy.

Zadanie wysondowania zjawisk sprzed 15 miliardów lat jest niełatwe i dlatego wciąż ze sobą konkurują rozmaite hipotezy kosmogoniczne pragnące ustalić, co było na początku. Ostatnio zaś rozzuchwaleni badacze poczęli nawet wysnuwać dość fantasmagoryczne koncepcje ukazujące to, co było jeszcze wcześniej. Jedną z ostatnich takich wizji sugeruje, że wszechświat w liczbie mnogiej mogą następować kolejno po sobie, aczkolwiek nie bardzo wiadomo, w jakim superczasie by się to odbywało, ponieważ każdy kosmos winien mieć czas własny, jako ograniczenie jego trwania od rozbłysku do zagaśnięcia w mrocznej nicości.

Dzieje naszego systemu słonecznego (szczególnie w wypadku Ziemi) są łatwiejsze do odtworzenia jako element wszechświa-

towego ogromu. Wiemy, że nasze Słońce podtrzymujące życie na Ziemi rozjarzyło się nuklearnie wiele miliardów lat przed jego narodzinami. Słońce jako pożar jądrowy spala wodór, obracając go w hel. Co najmniej półtora do dwóch miliardów lat będzie jeszcze gorzało ognisko słoneczne rozgrzewające się w ciągu każdych stu milionów lat tak, że nasza ojczysta planeta będzie w tym okresie zyskiwała mniej więcej jeden stopień Celsjusza.

Kiedy Słońce obróci prawie cały swój wodór w hel, rozedmie się w tak zwanego czerwonego olbrzyma. Zanim jeszcze pochłonie ogniem najbliższe planety, takie jak Merkury i Wenus, przeciętna temperatura na Ziemi osiągnie 1800 stopni. Wskutek tego oceany



FOT. BOGDAN GRZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

zagotują się i wyparują. Powstała z nich para wodna rozłoży się na tlen i wodór, który umknie w kosmiczną przestrzeń. Rzecz oczywista, wszystko, co żywe, zginie znacznie wcześniej. Ziemska cywilizacja ma przed sobą jeszcze wiele milionów lat istnienia – o ile sama się nie zgładzi w jednym z samobójczych zamachów wojennych, do których ma taką słabość.

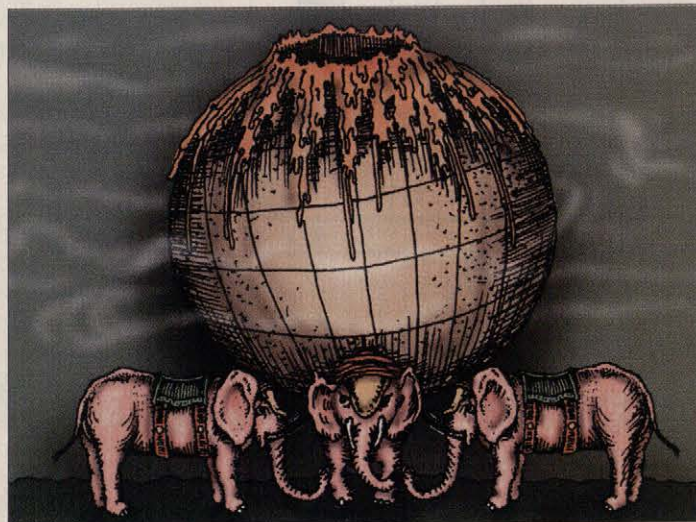
Można by powiedzieć, że stan Ziemi całkowicie już martwej nie bardzo powinien nas interesować. Jednakowoż uczeni nie mogą przestać na zamknięciu sprawy w momencie likwidacji życia. Według najnowszych symulacji typu astrofizycznego późny los naszej zmartwiałej planety nie daje się jednoznacznie określić. Rzecz w tym, że Słońce promieniuje kosztem swej masy i tym samym natężenie jego grawitacji będzie słabło. Jeśli tak, Ziemia – przyciągana coraz słabiej przez Słońce – będzie się od niego oddalała, wskutek czego może się znaleźć poza powierzchnią czerwonego olbrzyma słonecznego – nawet jeśli jego średnica wynie-

sie 300 milionów kilometrów. W ciecha z tego co prawda wielka, ponieważ nawet niekończąca się przez rozpuchnięte Słońce żyć na Ziemi musi zniknąć.

Inne symulacje sugerują jednak, że ostateczny los planety sprowadza się do tego, że będąc ona po spirali zapadała w czerwone Słońce i tym samym ulegnie definitywnemu zniszczeniu. Konkurujące ze sobą hipotezy nie przynoszą nam jednak żadnego opisu przyszłych dziejów naszego globu i schodzą się tylko w jednym punkcie: już za 700 do 800 milionów lat zaczyna obumierać roślina, co pociągnie za sobą zgon wszystkich gatunków zwierzęcych. Życie rozwijało się na Ziemi od niespełna czterech miliardów lat, zaś czas, w jakim będzie jeszcze mogło wegetować, jest daleko krótszy.

Nie musimy zbytnio martwić się odległą o miliony lat perspektywą ziemskiego bytowania, ponieważ dręczące niedogodności egzystencji kumulują się już na naszych oczach. Jakkolwiek obniżenie kolejności, w jakiej ziemskie życie będzie zamierało, nie wydaje się sprawą szczególnie pilną, możemy z pewnością orzec, że podobnie jak istnienie narodziło się pod postacią bakterii zdolnych trwać miliardy lat w najcięższych warunkach, tak samo też bakterie będą ostatnią generacją organizmów żywych wegetującą głęboko pod powierzchnią wyschłego i wypalonego globu, aż i one od słonecznego pożaru rozpadną się na atomy. Kwintesencją powyższego opisu jest prostota: wszystko, co miało początek, ma też swój koniec.

STANISŁAW LEM
8 czerwca 2002



RYŚ. DMITRI SZEWIONKOW-KISIELCOW

Św. Andrzej Bobola

XVII-wieczny męczennik – nowym patronem Polski

Odcinek 31 (6) Św. Andrzej Bobola cena 4,29 zł (zawiera VAT 8%)

Jan Paweł II KOLEKCJA

NIEZWYKLE HISTORIE LUDZI WIARY

Księga Świętych

MIEJSCA PIŃSK – BIALORUSKIE MIASTO Z POLSKĄ HISTORIĄ

ZBLIŻENIA CZY UNIA BRZESKA BĘDZIE DZIELIĆ CHRZEŚCIAN

LEGENDA JAK ŚW. ANDRZEJ BOBOLA UKAZYWAŁ SIĘ PO ŚMIERCI

KRONIKA

JAN PAWEŁ II W AZERBEJDŻANIE I BULGARII

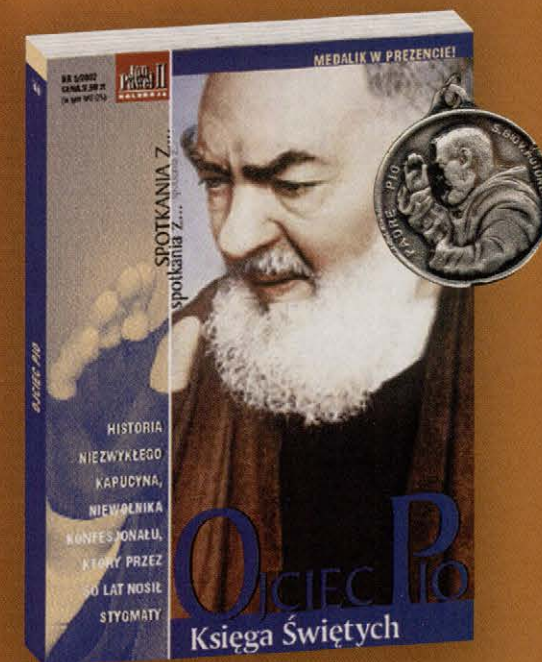
PONADTO: LISTA LAUREATÓW PLEBISCYTU „CZY ZNASZ SWOIEGO PATRONA?”

Andrzej Bobola

Nowy patron Polski



Księga Świętych
poleca:



z serii „Spotkania z...”
Ojciec Pio – wydanie II
na kanonizację

Najnowszy numer
i książka już
w kioskach!

HISTORYCZNY SKOK

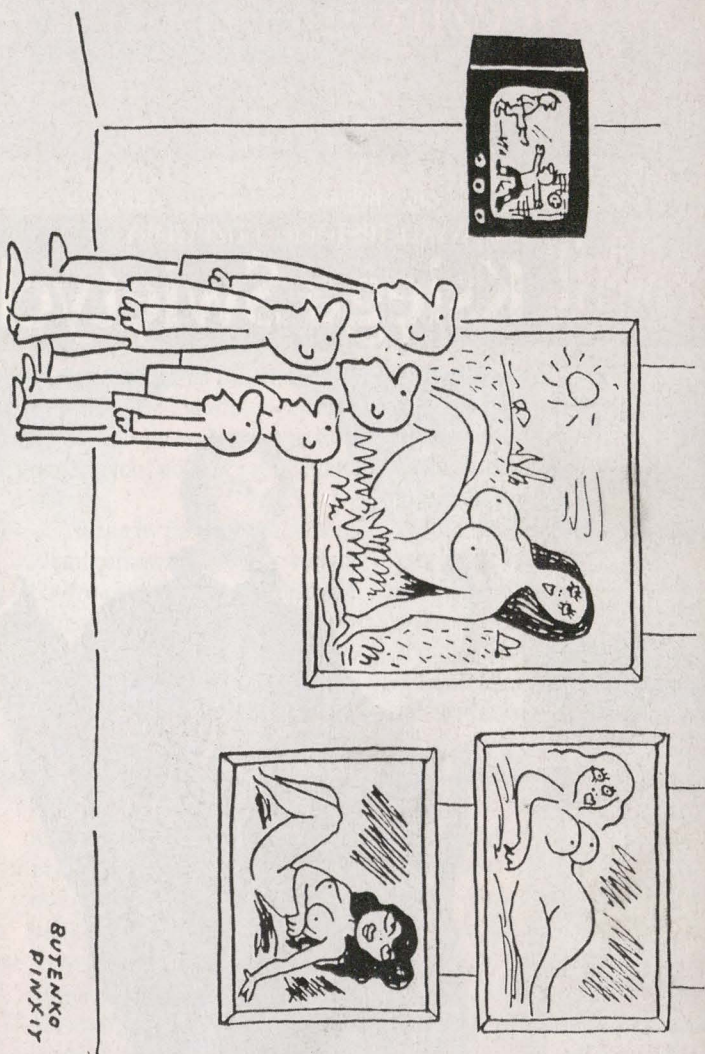
"Gazeta Wojewódzka" z 8 maja zamieszcza relację z otwarcia sezonu w lekkiej atletyce:

"Revelacyjnie wypadł 160-letni skoczek wzwyż z "Szerzenia" Bogatynia Rafał Kaczerewski, który skoczył 200 cm!"

A cóż to za rewelacja! Ja też skoczę tyle centymetrów, ile mam lat...

(Nadesłała Alicja Flasińska z Tych)

FILUTEK



BUTENKO
PINKXY

Rys. Bohdan Butenko

DRUGA MŁODOŚĆ

W informacji zamieszczonej w legitymacji emeryta-rencisty czytamy między innymi:

"Emeryt i rencista ma prawo do (...) bezpłatnych świadczeń z zakresu pomocy pożożniczej".

I o to chodzi! Jest to bezpłatny przywilej zarówno dla emeryta (a właściwie emerytki), jak i dla ZUS-u.

(Nadesłała Maria P. z Przemysła)

Z GŁOWY...

Nie rób sceny, schodząc z niej.

...KRZYSZTOFA BILIC

HE!

Mężowie kłamałby o wiele mniej, gdyby żony nie zadawały im tak wielu pytań.

RZĄDZA PIENIĄDZA



Microsoftem żądzą

Bill Gates i Steve Ballmer

(Zdjęcie z „Gazety Wyborczej” z 16 kwietnia nadesłała Jadwiga Boboli z Warszawy)

KINO TEATRZYK

P. JURKA

„Atak klonów”

Występuje:

CZŁONEK CHORU KRYTYKÓW (partia solowa)

CHÓRU KRYTYKÓW:

– Oczywiście – Fellni, Bergman, zwłazsza ten o poziomkach, albo, dajmy na to, Greenaway... Taa... Niemiżej, proszę pana, prawdziwe kino to jest wtedy, gdy w poprzek ekranu śmiga kosmiczny myśliwiec i naparza z potężnych dział laserowych. Więc taki „Atak glonów” – cha, cha, dobre, nie? – to jest dla mnie film idealny.

Panście zdrowie.

(wypowiedź prywatna)

THE END/KURTYYNA

HUMOR LESZYSTO SZKOLNYCH

Jacek chwycił za broń i strzelił Stolinę.

Matejko malował obrazy historyczne, bo innych nie umiał.

Po powrocie Tadeusz zastał swój pokój w odmiennym stanie.

Jednym z utworów o średniowiecznym ideale ryceza była „Pieśń o Roładzie”.

Życie Aleksa składało się z ciągłego usmiertniania się i innych nietypowych czynności.

Turcja nas nie rozbięrała, a Habsburgowie tak.

AUTOR ANDRUS

Wiersz, w którym autor zauważa, że na początku XXI wieku coś się stało z prawdziwymi mężczyznami

Dom zbudować, syna spłodzić, Drzewo wsadzić w ziemię żywną. Trzy warunki, by mężczyzna, By mężczyzna był mężczyzną...

Ta zasada ma się nijk Do mojego brata Jurka. Mieszka w bloku, nie ma szpadla, Urodziła mu się córka,

Nie buduje i nie sadi, Synem też się już nie zajął... Oj, panowie! Strasznie nam się Wymaganie obniżają!

Jak tak dalej pójdzie, to Dwa dowody nam wystarczą: Trzeba będzie mieć depresję I działalność gospodarczą.

Z DROGI

Wielce polecający jest program „4 x 4” w TV Polsat. Około 20 mała prowadzący z przejęciem poinformował widzów, iż:

„Kierowcy nie zaryzykowali, tylko założyli opony na mokre nawierzchnie”. To się chyba nazywa roboty publiczne.

(Nadesłał Gustaw P. z Ilawy)



Żona beżbędnie wymienia swoje prawa, a mąż jej obowiązk.

Jeśli mężczyzna wtyka gdzieś swoje trzy grosze, to najęceściej chodzi mu o znacznie większą sumę.